Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NR 38 (1434) ROK XXVIII 21 WRZEŚNIA 1985 ROKU CENA 20 ZŁ

- Na krótko przed dramatem
- Noc z Violettą Villas
- Król westernu
- Wskrzeszenie staruszki
- Miss Lata'85
- Paradoks Witkacego

Monsieur Thys, czeka na pana Holandia

— czytaj str. 6

Foto: Andrzej Wach

My i Niemcy

EDMUND LEWANDOWSKI

Najstarszym aktem prawnym o znaczeniu międzynarodowym określającym granice naszego państwa jest „Dagome iudex" (Dagome — sędzia). W dokumencie tym, wystawionym ćwierć wieku po przyjęciu chrztu, książę Mieszko I przekazał swój kraj pod opiekę papieżowi. I stał się użytkownikiem „własności św. Piotra" zobowiązanym płacić określoną daninę.

Zachowany regest (skrót) dokumentu informuje, że państwo gnieźnieńskie zaczyna się „od pierwszego boku długim morzem" i dalej rozciąga się „granicą Prus aż do miejsca które nazywa się Ruś, a granicą Rusi, ciągnąc aż do Krakowa i od tego Krakowa aż do rzeki Odry, prosto do miejsca, które nazywa się Alemure, a od tej Alemury aż do ziemi Milczan i od granicy Milczan prosto do Odry i stąd wzdłuż rzeki Odry aż do rzeczonego miasta Schinesghe..." Innymi słowy — państwo Mieszka I posiadało następujące punkty graniczne: Bałtyk, Prusy, Ruś, Kraków, Ołomuniec (Alemure) Milsko i Odrę. Tak wyglądała 1000 lat temu kolebka narodu polskiego.

W późniejszych wiekach Polska stopniowo przesuwała się na wschód i utraciła piastowskie obszary Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej oraz Pomorza. Na te ważne strategicznie tereny napływał żywioł niemiecki. Kiedy w 1466 r., wróciło do nas Pomorze Gdańskie, wzruszony Jan Długosz napisał, że chciałby jeszcze doczekać *„zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i słupskiej, w których są trzy biskupstwa od Bolesława, wielkiego króla polskiego i ojca jego, Mieszka, założone, to jest wrocławskie, lubuskie i kamieńskie"*.

Pragnienie kronikarza spełniło się jednak dopiero w XX wieku. Po zakończeniu II wojny światowej nastąpiło przemieszczenie geograficzne Polski o około 200 km na zachód. W ten sposób przekreślono rezultaty niemieckiego „Drang nach Osten", oraz polskie zdobycze z epoki jagiellońskiej. Władysław Gomułka 21 lipca 1945 r. mówił: *„Historia dała nam dzisiaj jedyną okazję dla odrodzenia Polski w granicach piastowskich"*.

Ziemie utracone przez Niemcy na rzecz Polski oraz przez Polskę na rzecz Związku Radzieckiego były ojczyzną dla milionów Niemców i Polaków. Przesiedleńcy musieli opuścić strony rodzinne, które ich przodkowie zamieszkiwali nieraz od wielu pokoleń. Pozostawili tam efekty pracy i — co szczególnie bolesne — groby swych najbliższych. Nie pojmują tych subtelności tylko ludzie bezmyślni lub gruboskórni.

Ale z drugiej strony trzeba też rozumieć, że istniejący stan rzeczy jest politycznie nienaruszalny, a moralnie dość sprawiedliwy. Polska ustąpiła z rejonów o przewadze etnicznej ludności niepolskiej. Na wschód od Bugu i Sanu nie – Polacy stanowili aż 62 proc. obywateli. *„To nie była rdzenna Polska"* — powiada Czesław Miłosz o ziemi wileńskiej. Słowa te można również odnieść do krańców południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. Trudno dziś uwierzyć, że nawet wsie pod Przemyślem były w większości ukraińskie.

Nie lepiej dla nas wyglądała sytuacja etniczna na ziemiach które odzyskaliśmy. Tutaj bowiem udział Polaków wynosił przed wojną zaledwie 15 proc. Według spisu z 1939 r., na przejętych przez Polskę terenach zachodnich i północnych było 8,4 mln osób — w tym 7,1 mln ludności niemieckiej i zgermanizowanej oraz 1,3 mln polskiej. Jednakże są to nasze dawne ziemie, na których pozostały ślady twórczości naszych pra-

3

Ofiary z byków pod złotym półksiężycem

ANDRZEJ BETULSKI

Tatar kojarzy nam się najczęściej z kawałkiem surowego mięsa, którego spożycie może obecnie być niebezpieczne dla życia albo z krępą postacią o wyostrzonych wschodnich rysach twarzy, która pędzi przez step na niewielkim koniku, rabując, i paląc wszystko co napotyka po drodze. W takim stereotypie utwierdzają nas i ryciny z podręczników historii, z których straszy zatknięta na tatarskiej dzidzie głowa Henryka Pobożnego i hejnał mariacki, codziennie obwieszczający Polsce, że ongiś Tatarzy u wrót kraju stali.

Toteż nie ma się co dziwić, że obarczony takimi stereotypowymi wyobrażeniami z biciem serca zjechałem z asfaltowej drogi i w tumanach kurzu pomiędzy łanami zbóż, dotarłem do wioski polskich Tatarów. Ale ani nikt nie galopował na konikach, ani nie słyszałem świstu tatarskiej strzały ni zakrzywionej szabli. 45 kilometrów za Białymstokiem, nad samą granicą Polski, wśród malowniczych wzgórz porośniętych laskami leżą dwie tatarskie wsie — Bohoniki i Kruszyniany.

Mimo licznych wojen polsko-tatarskich i polsko-tureckich, Polska stała się miejscem, gdzie osiedliło się stosunkowo dużo rodzin tatarskich. Początkowo byli to jeńcy wojenni. Osadzani na rubieżach kraju bronili jego granic przed obcym najazdem. Władcy muzułmańscy z aprobatą obserwowali politykę królów polskich, gdyż Rzeczpospolita troszczyła się o interesy Tatarów. Pozwalała im na praktyki religijne i na wznoszenie świątyń. Wielu Tatarów służyło na dworze królewskim w Krakowie, głównie jako straż porządkowa. Nie można zapominać, że byli oni urodzonymi wojownikami, toteż władcy polscy chętnie korzystali z ich usług. Wielki Książę Litewski Witold szanował Tatarów nadając im liczne przywileje. Za Jagiellonów Tatarzy mogli zawierać związki małżeńskie z Polkami, ale pod warunkiem zmiany nazwiska na polskie. Jednak żony musiały przyjąć religię muzułmańską. Nie brakowało Tatarów pod Wiedniem, gdzie przetrwali próbę lojalności i stanęli po stronie Jana III Sobieskiego. Dzisiejsi Tatarzy z Bohonik i Kruszynian są potomkami tamtych Tatarów, którzy otrzymali od Jana III ziemie w powiatach brzeskim i grodzieńskim, w zamian za zaległy żołd, którego Korona nie była w stanie wypłacić.

Przystępowali potem do konfederacji barskiej, ginęli pod Maciejowicami i Olszynką Grochowską, brali udział w powstaniach listopadowym i styczniowym, a w 1919 roku utworzono w Polsce Niepodległej Pułk Tatarski im. Mustafy Achmatowicza, kapitana, organizatora szwadronu tatarskiego przy wojsku polskim w 1812 roku. W pułku służyli ochotnicy z całego kraju, także Tatarzy, aż do sierpnia 1920 roku, kiedy to pułk przestał istnieć. W 1936 roku, na życzenie Tatarów, utworzono Szwadron Tatarski przy 13 Pułku Ułanów Wileńskich, dając w ten sposób wyraz uznania dla dawnych tradycji oręża tatarskiego.

Społeczności Bohonik i Kruszynian stopniowo zatracały swoją „tatarskość". Na próżno teraz w języku mieszkańców czy w ich obyczajach szukać śladów przeszłości, odrębności etnicznej. Poza religią, tylko skośne oczy, wystające kości policzkowe i krępa budowa ciała są jedynym świadectwem ich inności.

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2767 P-2.

Przegląd prasy

Obywatelskie przedwyborcze zebrania konsultacyjne budzą spore zainteresowanie publicystów i badaczy naszego życia publicznego. Można bowiem w sposób dostatecznie uprawniony mniemać, że są one wiernym odwzorowaniem poziomu aktywności i świadomości elektoratu, przynajmniej tej jego części, która jest zdecydowana uczestniczyć w akcie głosowania. A także tej, która się waha, lecz znacznie bliższa jest aprobaty niż negacji.

I oto w publicystyce pojawia się delikatnie zarysowany

NURT OBYWATELSKIEGO NIEPOKOJU

z powodu zdecydowanej przewagi tematyki lokalnej, ściśle interwencyjnej zgoła, w treści tych zebrań. „*O czym wyborcy mówią tym, których głosy mogą, za parę tygodni, wypromować na ulicę Wiejską? O absolutnej konieczności wybudowania drogi w gminie Zielona Góra. O niezbędności nowej szkoły w mieście, w którym żyją. O konieczności usprawnienia handlu we wsiach i w miastach. O stu innych bardzo dla nich ważnych sprawach ich gminy, miasta, województwa. Ale przecież Sejm nie będzie zajmował się drogą w wybranej gminie...*" — napisał w „Polityce" (nr 37 — 85.09.14) Kazimierz Koźniewski. Dwa tygodnie przed nim podobny niepokój, że „szanowni ludzie" mówią na ogół o sprawach drobnych a dokuczliwych w tzw. życiu codziennym, wyrażał Daniel Passent...

Podzielam ten niepokój, co więcej — boję się, że wizja Sejmu jako superbiura skarg i zażaleń już dominuje w opinii powszechnej. Grozi to niezrozumieniem, nieprzyjmowaniem do wiadomości istotnych dla całego państwa zadań Sejmu, grozi brakiem wiedzy o sprawach publicznych, grozi powstaniem luki w obywatelskiej świadomości, luki, w którą natychmiast wciska się demagogia i wszechobecne mity.

Ma rację Koźniewski sądząc, że owa tendencja do absorbowania Sejmu drobiazgami swe źródło ma w słabości rad narodowych, działających jakby w izolacji od opinii publicznej i — z punktu widzenia interesów obywateli — mało skutecznie. Jest przeto sprawą zupełnie naturalną, że obywatele ze swoimi pretensjami, problemami i interesami wędrują wyżej. Tą bardzo ważną polityczną kwestią, towarzyszącą obecnym wyborom wypadnie się zająć nieco bliżej przy innej okazji.

Natomiast kilką innych spostrzeżeń Koźniewskiego wydaje mi się godnymi uwagi, zwłaszcza to o politycznej niewygodzie (i niewiarygodności) łączenia stanowisk poselskich z ministerialnymi czy w ogóle urzędniczymi w administracji państwowej i gospodarczej. Tak, poseł winien być człowiekiem wolnym — wolnym od uwikłań i zobowiązań natury służbowej. Poza zobowiązaniami politycznymi i wyborczymi oczywiście. Jeden tylko postulat Koźniewskiego nie podoba mi się, mianowicie gdy powiada że w przyszłości „*prasa winna podawać do wiadomości*

NAZWISKA TYCH, KTÓRZY BYLI PRZECIWKO

lub się wstrzymali (chodzi o głosowanie w Sejmie — przyp. TS), *bo to jest z rozmaitych powodów informacja podstawowo istotna*". Otóż nie — byłoby to sprzeczne z obyczajami parlamentarnymi. Głosowanie bowiem jest jawne — przez podniesienie ręki (tablice elektronicznego „liczydła" są urządzeniem pomocniczym; pod uwagę bierze się liczenie podniesionych rąk dokonywane przez sekretarzy) — ale nie jest imienne. Poseł może publicznie, podczas dyskusji plenarnej, zapowiedzieć, jak będzie głosował nad konkretnym projektem, ale ujawnić, jak w rzeczywistości głosował, można by chyba tylko za jego wyraźnym przyzwoleniem...

Odpowiada mi natomiast myśl Koźniewskiego, że „*(...) zebrania plenarne Sejmu (...) nadal być powinny szkołą współczesnej kultury politycznej całego społeczeństwa. Szkołą, która powinna uczyć obywateli zarówno sztuki porozumienia oraz kompromisu, jak i sztuki oraz korzyści niejednomyślności*". Ale bez przesady w końcu Sejm bywa nudnawy i nieco koturnowy, konwencjonalny, a niejednomyślność tylko po to, by zamanifestować w każdej sprawie autentyzm intencji władzy, wydaje mi się gestem przesadnym, bardziej wabikiem niż rzeczywistą wartością.

Natomiast uwaga Koźniewskiego o Sejmie jako nauczycielu kompromisu każe mi skierować uwagę na krótki, lecz istotny tekst prof. Czesława Mojsiewicza w „Życiu Partii" (nr 19—85.09.11) pt. „Co to jest kompromis polityczny".

„*Przez kompromis w polityce* — pisze prof. Mojsiewicz — *Lenin rozumiał ustępstwo z niektórych żądań, rezygnację z pewnych postulatów, tak, aby móc porozumieć się z inną partią. Każdy kompromis jest konkretny i może być oceniany i rozpatrywany tylko na tle sytuacji i warunków, w jakich do niego doszło. Ma on generalnie służyć sprawie postępu i rewolucji, a nie oznacza rezygnacji z celów klasowych. Nie ma kompromisów w dziedzinie ideologii. Nie można ustępować z własnych, fundamentalnych zasad, gdyż wtedy traci się tożsamość, kapituluje się przed inną ideologią. I nie ma to nic wspólnego z kompromisem*".

Zatem można przyjąć, że

KOMPROMIS JEST KWESTIĄ Z DZIEDZINY TAKTYKI

politycznej, jeżeli istotnie polityka jest sztuką tego, co możliwe. W tym ujęciu kompromis jest formułą działania, czyli pojęciem niemerytorycznym. Przeto owocem kompromisu nie może być program, cel do osiągnięcia — jedynie droga do niego. Zresztą prof. Mojsiewicz pisze o tym wyraźnie: „*Partia polityczna swój program zwykle realizuje stopniowo, zależnie od możliwości, siły oporu przeciwników politycznych i stanu świadomości tych, którzy ją w tym popierają. Właśnie istnieje tu możliwość kompromisów dla zjednania poparcia w sprawach o dużej doniosłości klasowej bądź narodowej...*" Ale — ostrzega prof. Mojsiewicz wszystkich neofitów „religii porozumienia" — „*kompromisy mogą dotyczyć spraw politycznych i gospodarczych w dłuższym okresie, bądź być obliczone na krótko. Decyduje o tym sytuacja*" Nie ma więc kompromisów wiecznotrwałych. Kompromis jest narzędziem, a nie celem samym w sobie. To spostrzeżenie dedykuję wszystkim miłośnikom liczenia diabłów na czubku szpilki, tak obficie rozmnożonym ostatnimi czasy...

Ten lekturowy wtręt teoretyczny przyda się do przefiltrowania paru pojęć, uporczywie wprowadzanych przez niektórych publicystów na nasz dziewiczy grunt polityczny. Jednym z tych nowych pojęć, do niedawna wyklętych jako objawy patologii demokracji burżuazyjnych, jest lobby, czyli po naszemu (a niezbyt precyzyjnie w stosunku do amerykańskiego pierwowzoru) grupa nacisku. Powiadam, że niezbyt precyzyjnie, jako że podtekst semantyczny „grupy nacisku" narzuca pojmowanie jej jako struktury niezbyt formalnej, działającej konfidencjonalnie, gdy tymczasem w USA np. są to po prostu zarejestrowane agentury, podejmujące się za pieniądze urabiać opinie parlamentarzystów, w celu osiągnięcia korzystnego dla zamawiającego fachową usługę rozstrzygnięcia ustawowego...

Ale istotą sprawy jest istnienie interesów grupowych, czy zgoła indywidualnych, których realizacja wymaga poparcia, często wręcz „przepchnięcia" sprawy na drodze regulacji prawnej. Słusznie zatem uważą Janusz Michalak, autor artykułu „Lobby w Sejmie" („Wprost" nr 37 — 85.09.15), że „*zjawisko grup nacisku istnieje u nas od dawna, tylko nie wypadało o tym mówić Było ono często zakamuflowane, często ukrywało się za zasłoną górnolotnej retoryki*". Dziś — jak twierdzi Janusz Michalak — spadły zasłony z parlamentarnych kulis i nikt już o interesach nie mówi wstydliwie. Wprost przeciwnie: ustawa o obowiązkach i prawach posła nakazuje wręcz interesy lokalne wyborców harmonijnie łączyć z interesem państwa jako całości... Nie ulega wątpliwości, że jawne popieranie interesów branżowych czy terytorialnych uzdrawia atmosferę polityczną wokół działań posłów w Sejmie a nadto ściślej ich wiąże z wyborcami oraz popierającymi posłów organizacjami, że o zobowiązaniach środowiskowych nie wspomnę.

Jak to może wyglądać w praktyce, objaśnia publicysta „Związkowca" Ryszard Naleszkiewicz (nr 36 — 85.09.15) w artykule „Po co nam związkowi posłowie" — pisząc o swoistym projektowanym „lobby" posłów rekomendowanych przez ruch zawodowy. „*Jedyną obecnie organizacją o powszechnym charakterze* — pisze Naleszkiewicz — *chroniącą interesy robotnicze, interesy grup słabszych ekonomicznie, są związki zawodowe. Mogą one działać na dotychczasowych zasadach korzystania z bardzo szerokich uprawnień sprzeciwu. Mogą paraliżować kategorycznym NIE zbyt śmiałe plany ekonomistów różnej maści, usiłujących przerzucić możliwie wiele kosztów na barki społeczeństwa (...) Mogą jednak związki przez swoich przedstawicieli także wejść do grona ludzi decydujących o rozwiązaniach długofalowych. (...) Wówczas sprzeciw związkowy zaczynałby się już w Sejmie...*"

Najważniejszym zadaniem lobby związkowców byłoby zdaniem Naleszkiewicza, powstrzymanie zwolenników

OGRANICZENIA SPOŻYCIA ZBIOROWEGO

— dlatego należy głosować na związkowców. No cóż, popieram taką agitację, jako formułę naszego życia politycznego, chociaż niekoniecznie muszę zgadzać się z argumentami, aczkolwiek jestem entuzjastycznym zwolennikiem komunikacji zbiorowej, bezpłatnego nauczania i takiejże służby zdrowia, nie mówiąc już o sprawiedliwym zaopatrzeniu emerytalnym, choć mi jeszcze daleko do przejścia w stan zawodowego spoczynku.

Z tym wszystkim pocieszam się tym tylko, że należę do obywateli, którym udało się swe stosunki z administracją państwową zminimalizować niemal do zera. Już nie pamiętam, kiedy byłem po raz ostatni w urzędzie jakimś we własnej sprawie — chyba zaraz na początku stanu wojennego stałem w kolejce po zezwolenie na podróż do stolicy... A jeszcze bardziej cieszę się, że nie mieszkam w gminie, albowiem po lekturze tekstu Błażeja Wierzbowskiego „Wasale i lex-teleks" w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 37 — 85.09.15) — o patologiach gminnego urzędowania — nabrałbym zapewne nieodpartej ochoty do czynnego praktykowania eremityzmu z dala o ubezwłasnowolnionego ekscelencji naczelnika. Autor po dłuższym wywodzie o uwarunkowaniach stosunków między władzą a lokalnymi społecznościami konstatuje: „*niestety, na wsi myśl o służebnej roli urzędnika wobec interesanta, (...) ciągle jeszcze uważana jest za herezję*". Przeto autorowi marzy się bieganie ze szpilką, iżby owe „inkwizytorskie" autorytety ponakłuwać Gdyby mu się udało to marzenie zrealizować, to i tak ogłuchnie z powodu nieustannego huku pękających gminnych balonów władzy...

Przy okazji

SAM MUSZĘ WBIĆ SOBIE SZPILKĘ

za lenistwo i bezkrytycyzm. Dwa tygodnie temu, pisząc o pamiętniku wrześniowego oficera Ewarysta Bartkowskiego podałem za „Polityką", że służył on w 29 DP w Armii „Łódź". Tymczasem okazało się, że „Polityka" popełniła błąd w odczytaniu kopii pamiętnika — chodziło o 28 dywizję. Natomiast 29 DP wchodziła w skład Armii „Prusy" i walczyła na początku kampanii w rejonie Sulejowa — Tomaszowa Mazowieckiego. Mogłem to sprawdzić, mając pod ręką na półce „Komentarze..." Mariana Porwita. Za lenistwo i zbytnią wiarę w słowo, głoszone przez „Politykę" moich Czytelników ze wstydem przepraszam.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

GMINNE DOŻYNKI W GŁOGÓWKU

na Opolszczyźnie miały w tym roku charakter wyjątkowy, ponieważ były jednocześnie centralnym, ogólnopolskim świętem plonów, w którym uczestniczyli przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych z gen. Wojciechem Jaruzelskim i Henrykiem Jabłońskim. Bochen chleba z tegorocznych zbiorów starostowie dożynek — Beata Pulst, dojarka z Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Twardawie i Jan Kozubek, rolnik indywidualny z Głogówka — przekazali starszemu mistrzowi z Huty im. gen. K. Świerczewskiego w Zawadzkiem Leonowi Chejnie, z prośbą o podział sprawiedliwy i konsekwentny.

W Łodzi dożynki odbyły się w dzielnicy Widzew, ponoć najbardziej rolniczej w naszym mieście.

PAŃSTWOWA KOMISJA WYBORCZA

zarejestrowała krajową listę kandydatów na posłów — znalazło się na niej pięćdziesiąt nazwisk ludzi znanych ze swej działalności politycznej, gospodarczej i kulturalnej; jedna trzecia to bezpartyjni.

W lokalach obwodów głosowania wyłożono już do sprawdzania spisy wyborców.

SZLACHETNIE NUDNY I BEZ REWELACJI

okazał się ostatni sezon filmowy, którego dokonania skupiły się w Gdańsku na dziesiątym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Przeto nagrodzono filmy najmniej złe: „Złote Lwy Gdańskie" zdobył film „Kobieta w kapeluszu" Stanisława Różewicza (zauważony na festiwalu w Moskwie), nagrodę specjalną jury zaś film „Kobieta z prowincji" Andrzeja Barańskiego. Publiczności zaś — co było do przewidzenia zresztą — najbardziej podobał się „Vabank II" Juliusza Machulskiego. Z tym wszystkim przydałby się jeszcze jeden werdykt — głównego księgowego mianowicie o kosztach, zyskach i stratach produkcji ekranowej PT. Reżyserów Polskich, przecież nie za prywatne pieniądze...

JUTRO MEKSYK

— skonstatowali piłkarze i kibice po „zwycięskim remisie" (który to już raz w historii rozmaitych eliminacji?) w meczu z Belgią na chorzowskim stadionie — ostatnim już z denerwującego cyklu rozgrywek o paszporty za Atlantyk. Całe szczęście, że to dopiero za parę miesięcy — może w międzyczasie trenerowi reprezentacji uda się skompletować i podkształcić drużynę, która obroni przynajmniej dobre wrażenie o polskim futbolu.

„WOJNA FUTBOLOWA"

— jeżeli już jesteśmy przy tej kwestii — tak rewelacyjnie opisana przez Ryszarda Kapuścińskiego, toczyła się — jak zapewnia trener Antoni Piechniczek w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego" (nr 37 — 85.09.15) — między Hondurasem a Kostaryką. Wolno trenerowi się mylić, ale redakcji nie przystoi wrabiać idola. Zresztą wystarczyło spojrzeć na mapę, by stwierdzić, że dwa te państwa nie mogły toczyć ze sobą regularnej wojny lądowej, gdyż nie graniczą ze sobą, przedzielone terytorium Nikaragui... W rzeczywistości wojna futbolowa toczyła się między Hondurasem a Salwadorem.

NIE BĘDZIE MODLITW W SZKOŁACH

publicznych w Stanach Zjednoczonych — senat odrzucił bowiem projekt ustawy dopuszczającej w szkołach dobrowolne praktyki religijne, w tym głównie tzw. medytacje Uznano, że ustawa taka czyniłaby niedopuszczalny wyłom w konstytucyjnym rozdziale kościołów od państwa. Wszelkie zatem inicjatywy ultrakonserwatywnych fanatyków w kwestiach religii muszą pozostać w sferze projektów lub działań o charakterze prywatnym.

ZA TRZY MILIONY DOLARÓW

sprzedano polskie araby na tegorocznej aukcji w stadninie w Janowie Podlaskim. Najwyższe ceny osiągnęły — ośmioletni ogier „Algierczyk" — 310 tys. dolarów i dziesięcioletnia klacz „Fantastka" — 240 tys. dolarów. Kupowali głównie Amerykanie (to już tradycyjnie), a prym dzierżyła firma Saihati Farms, należąca do mieszkającego w USA Kuwejtczyka.

PO KATASTROFIE „BUSKA-ZDROJU"

coś się ruszyło w naszym ratownictwie morskim — jak donosi PAP — Polska Żegluga Morska zakupiła 500 indywidualnych kombinezonów ratunkowych w RFN. Skierowano je na najmniejsze statki szczecińskiego armatora. Kombinezony mają rewelacyjne właściwości eksploatacyjne — praktycznie nie grozi w nich utonięcie, a utrata ciepłoty ciała jest minimalna — członków załogi norweskiego statku rybackiego podjęto z lodowatej wody po 28 godzinach od katastrofy żywych i zdrowych. Bez kombinezonu czas przeżycia w warunkach mórz północnych liczy się w minutach...

TRADYCJE I WIĘZI RODZINNE

stają się atrakcyjnym towarem rynkowym. Oto tygodnik „Rzeczywistość" proponuje swym czytelnikom ogłoszenia (płatne!) w rodzaju: „40 lat temu w Zamościu urodziła się Janka Wolska, moja żona i współtowarzyszka życia..." Poznański tygodnik „Wprost" reklamuje faceta, który założył firmę utrwalania „momentów" życiowych dla bogaczy — np. rejestruje śluby w technice video. A ostatnio zasłyszeliśmy o człowieku, który oferuje wykonanie gustownej pośmiertnej maseczki drogiego Zmarłego — do powieszenia na ścianie w salonie na przykład. Brr...

VICESEKATOR

Na krótko przed dramatem

ZENON JANUSZ MICHALSKI

„...pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My, w Polsce, nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę"

— Józef Beck

Rok 1935 obfitował w ważne wydarzenia polityczne. W Europie narastała świadomość zwiększającego się zagrożenia ze strony faszyzmu i lewica społeczna wychodziła z koncepcją jednolitego frontu klasy robotniczej i antyfaszystowskiego frontu ludowego. W Polsce, w której Konstytucja Kwietniowa zadała ostatni cios parlamentarnej demokracji, śmierć marszałka Piłsudskiego spowodowała początek rozłamu w, jak wydawało się dotąd — monolitycznej, grupie piłsudczyków. Do zajęcia miejsca po Komendancie dążyli przede wszystkim Ignacy Mościcki, Edward Rydz-Śmigły i Walery Sławek. Skłóceni ze sobą, co do jednego byli jednak zgodni, a mianowicie, że należy dążyć do nadania państwu charakteru jeśli nie w pełni, to półtotalitarnego i że z opozycją należy rozprawiać się żelazną ręką. A już na pewno nie chciano opozycji w Sejmie, bo mogłaby opóźniać działania rządu, bo mogłaby uczynić z Sejmu trybunę dla obrony demokracji.

Trzeba więc było dokonać zmiany ordynacji wyborczej i uczyniono to w taki sposób, że nowa ordynacja do Sejmu i Senatu uchwalona 8 lipca 1935 roku nie dawała nie myślącym prorządowo żadnej szansy.

Po pierwsze odeszła od zasady udziału partii politycznych w wyborach. Do tej pory partie, także opozycyjne, układały własne listy kandydatów i zgłaszały oczywiście ludzi aktywnych z partią związanych. Obecnie, to co dotąd zrobiły partie polityczne, przekazano „zgromadzeniom przedwyborczym" zgłoszonym z różnych organizacji i instytucji tak, by dać administracji większe możliwości manipulowania, zwiększyć jej wpływ na skład kandydatów na posłów i senatorów.

Zmniejszono liczbę posłów kierując się widocznie zasadą, że przy mniejszej liczbie trudniej będzie się przedostać komuś niepożądanemu.

Podwyższono natomiast cenzus wieku tak, że czynne prawo wyborcze otrzymały osoby, które ukończyły 25 rok życia — a bierne — 30 lat.

A tak na marginesie, nie sposób uchronić się od myśli, że my Polacy kochamy jednak skrajności. Myślę tu o propozycjach całkiem poważnie wysuwanych w tegorocznej przedwyborczej konsultacji, by bierne prawo wyborcze przyznawać od osiemnastego roku życia.

Wracając jednakże do 1935 roku, taka ordynacja z góry zakładała, jaki będzie skład przyszłego sejmu i w tych warunkach wszystkie ugrupowania opozycyjne poszły na bojkot wyborów i bojkot w pełni się udał.

W wyborach do Sejmu IV kadencji wzięło udział zaledwie 46 proc. wyborców, przy czym wystąpiła następująca prawidłowość. Największa frekwencja była na wsiach i w małych ośrodkach miejskich, gdzie łatwiej było ludzi zastraszyć; najmniejsza natomiast w dużych skupiskach ludności. Dla przykładu w Warszawie w wyborach wzięło udział zaledwie 29 proc. uprawnionych do głosowania.

Lepiej było w wyborach do Senatu, gdzie frekwencja wyniosła 61,9 proc. uprawnionych, ale była to zasługa ordynacji, która przyznała czynne prawo wyborcze do Senatu dla zaledwie ćwierci miliona obywateli, dopuszczając do wyborów tylko tak zwaną elitę społeczeństwa.

Wybrany w takich warunkach Sejm miał po raz pierwszy charakter jednolity — składał się wyłącznie z członków Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Stanowiło to poważny atut dla prezesa BBWR Walerego Sławka pretendującego do pozostałego po Marszałku miejsca. Kiedy jednak Sławek przekonał się, że jego partia nie jest jednolita, że część opowiada się za Ignacym Mościckim i Edwardem Rydzem-Śmigłym, już w październiku 1935 roku rozwiązał BBWR.

Z wyborem przewodniczących obu Izb oczywiście nie było problemów. Marszałkiem Sejmu wybrano Stanisława Cara, głównego twórcę kwietniowej konstytucji, a marszałkiem Senatu pułkownika Aleksandra Prystora.

Sejm IV kadencji był pierwszym sejmem w Drugiej Rzeczypospolitej, który całkowicie stracił wpływ na bieg życia politycznego w Polsce. Niewiele miał do powiedzenia i nieczęsto go zresztą zwoływano. Zwołano natomiast nadzwyczajną sesję Sejmu, gdy w 1937 roku arcybiskup krakowski Sapieha polecił przenieść trumnę ze zwłokami marszałka Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do krypty Srebrnych Dzwonów.

Tymczasem w krwawej walce o władzę nastąpiły dosyć daleko idące zmiany. Doszło do porozumienia między prezydentem Mościckim a generałem Rydzem-Śmigłym, czego wyrazem był budzący zdumienie i śmiech okólnik z dnia 15 lipca 1936 roku podpisany przez premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, a stwierdzający, że *„...zgodnie z wolą Prezydenta Rzeczypospolitej generał Rydz-Śmigły ma być uważany i szanowany jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej..."*

Teraz wypadki zaczęły szybko się toczyć. W lutym 1937 roku została utworzona nowa partia polityczna pod nazwą Obóz Zjednoczenia Narodowego, a na jej czele stanął pułkownik Adam Koc.

Walery Sławek próbował jeszcze odzyskać utracone pozycje i liczył na Sejm, który po śmierci Stanisława Cara wybrał go marszałkiem. Ale potężni przeciwnicy nie dali mu żadnych szans. W kilka tygodni później, 13 września 1938 roku prezydent Ignacy Mościcki przedterminowo rozwiązał Sejm i Senat.

Powtórzyła się historia z 1930 roku, z taką tylko różnicą iż wówczas prezydent przedterminowo rozwiązał parlament, dla rozprawienia się z opozycją przeciw piłsudczykom, teraz natomiast rozwiązanie nastąpiło w celu rozprawienia się z opozycją wśród piłsudczyków.

W listopadzie 1938 roku odbyły się wybory do Sejmu i Senatu V kadencji. Różnica celów, jakie stawiała przed wyborcami grupa rządząca była dość istotna. Dotąd chodziło o zdominowanie Sejmu przez obóz sanacyjny, teraz — o zdominowanie go przez część tego bloku przeciw pozostałym.

W wyborach do Sejmu wzięło udział 67,1 proc. uprawnionych, a do Senatu 70 proc. Powodów tego wzrostu szukać należało w wyłączeniu opozycji z walki wyborczej, w udoskonaleniu metod zastraszania, ale także i w fakcie świeżo w pamięci społeczeństwa tkwiącego — odebrania Zaolzia, co oczywiście ze względu na wybór czasu i partnera stanowiło poważny błąd polityczny, ale propagandowo zostało bezbłędnie wygrane jako dowód mocarstwowości.

Prawdziwe nastroje społeczeństwa ujawniły się jednak nieco później, w warunkach rozpisanych wyborów samorządowych, gdzie miały szansę działania partie opozycyjne i na przykład Polska Partia Socjalistyczna w środowiskach robotniczych odniosła poważne sukcesy, jak choćby w Łodzi, gdzie prezydentem miasta został socjalista.

Niewiele miał do powiedzenia ostatni Sejm Drugiej Rzeczypospolitej, ale jego dwie sesje na pewno godne są odnotowania.

Pierwsza przeszła do historii dzięki pamiętnej mowie ministra Becka w dniu 5 maja 1939 roku, a stanowiącej odpowiedź na zerwanie przez hitlerowskie Niemcy układu z Polską o nieagresji. Beck mówił pięknie i godnie, chociaż było to zaprzeczenie jego dotychczasowej polityki.

„...Układ polsko-niemiecki z 1934 roku był układem o wzajemnym szacunku i dobrym sąsiedztwie — stwierdził — i jako taki wniósł pozytywną wartość w życie naszego państwa, do życia Niemiec i do życia całej Europy. Z chwilą jednak, kiedy ujawniły się tendencje, aby interpretować to bądź jako ograniczenie swobody naszej polityki, bądź jako motyw do żądania od nas jednostronnych, a niezgodnych z naszymi żywotnymi interesami koncesji, stracił swój prawdziwy charakter...

O co właściwe chodzi? Czy o swobodę ludności niemieckiej Gdańska, która nie jest zagrożona, czy o sprawy prestiżowe, czy też o to, aby odepchnąć Polskę od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da!...

Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną... Ale pokój jak prawie wszystkie sprawy tego świata ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My, w Polsce, nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna, tą rzeczą jest honor..."

Zgubił wprawdzie wkrótce pułkownik Józef Beck swój honor na zaleszczyckiej szosie, ale wtedy jeszcze nikt czegoś takiego ne dopuszczał i kierownikowi polskiej polityki zagranicznej posłowie zgotowali burzliwą owację.

Druga sesja — nadzwyczajna odbyła się już w warunkach wojennych 2 września 1939 roku. Na trybunie stanął premier generał Felicjan Sławoj Składkowski i mówił optymistycznie, że swego nie damy i wroga zwyciężymy, że jesteśmy silni i zwarci. Zwarci wobec najazdu rzeczywiście byliśmy, silni niestety nie, nie zapewniły tego sanacyjne rządy.

A dramat już się rozpoczął. Razem z Drugą Rzeczpospolitą odchodził w przeszłość Sejm piątej i ostatniej kadencji.

My i Niemcy

ze str. 1

dziadów i szerokie enklawy ludzi mówiących naszym językiem. A poza tym względy strategiczne — mające znaczenie zasadnicze — w pełni uzasadniały powrót Polski nad Odrę i Nysę Łużycką.

Dzięki powojennym rozstrzygnięciom Polska stała się niemal jednonarodowym państwem w granicach notabene zbliżonych do podanych w akcie „Dagome iudex". Pośród 37,2 mln naszych obywateli żyje dziś w Polsce (około): 250 tys. Ukraińców, 200 tys. Białorusinów, 21 tys. Słowaków, 15 tys. Cyganów, 10 tys. Litwinów 8 tys. Rosjan, 7 tys. Żydów, 5 tys. Greków i Macedończyków 5 tys. Ormian, 3 tys. Tatarów 2 tys. Czechów. A ilu mamy jeszcze Niemców? Prawdopodobnie liczba ich nie przekracza jednego tysiąca. W sumie wszystkich nie-Polaków jest najwyżej półtora procent.

Wbrew podanym faktom niektórzy politycy i inni obywatele Republiki Federalnej Niemiec, jak np. osławiony Alois Mertes, doszukują się na polskich ziemiach zachodnich i północnych aż milionowej mniejszości niemieckiej (9 proc. ludności nad Odrą i Nysą). Równocześnie dla tego typu ludzi Rzesza Niemiecka nadal prawnie istnieje w granicach z 31 grudnia 1937 roku. Nie zrezygnowali oni z dążenia do zjednoczenia Niemiec i rewizji powojennego ładu w Europie. Współpracownik kanclerza, działacz CDU młodszego pokolenia, Volker Ruehe, podczas pobytu w naszym kraju stwierdził że właśnie Polacy powinni dobrze rozumieć pragnienia rewizjonistyczne Niemców. I przypomniał początkowe słowa polskiego hymnu narodowego. Zapewniał przy tym, że RFN będzie szanowała granice i nie ma zamiaru jednostronnie ich zmieniać, a tym bardziej użyć siły; lecz jednocześnie podkreślił, że oni nie mogą spisać Niemiec na straty i oczekują dnia, kiedy w sposób pokojowy granice utracą „swój dzielący charakter".

Złowrogą nadzieję, że Niemcy z 1937 r. jeszcze nie zginęły, podtrzymuje w społeczeństwie RFN nawet Kościół rzymskokatolicki. Polak — katolik bardzo zdziwiłby się, gdyby zobaczył dokumentację nr 16 z lipca 1984 r., przedstawiającą listę biskupów i wikariuszy generalnych Kościoła katolickiego w Niemczech. Wbrew realiom politycznym i decyzjom Stolicy Apostolskiej episkopat zachodnioniemiecki obsadził odpowiednie stanowiska we wszystkich okręgach jurysdykcji kościelnej z 1937 roku. W porządku alfabetycznym m.in. znajdujemy Breslau (Wrocław) oraz Danzig (Gdańsk). W pierwszej diecezji mianowano „wizytatorem" prałata Winfrieda Königa, a w drugiej dr. Franza Josefa Wothe.

Inaczej niż politycy i biskupi katoliccy widzą problem granic działacze Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. W czasie tzw. „aktualnej godziny o stosunkach polsko-niemieckich" w Bundestagu (7 czerwca 1984 r.) pani Antie Huber z SPD tłumaczyła rewizjonistom: *„Mówi wam to ktoś, kto pochodzi z Pomorza. Utrata ojczyzny bolała i wcale nie ukrywam tego. Ale równie otwarcie mówię wam, że nowe granice są wynikiem wojny, którą nie Polacy rozpoczęli. Nie chcę by przez takie dyskusje rozbudzone zostały spory, mogące stworzyć niebezpieczeństwo, w którego wyniku zginie więcej ludzi niż żyło w ogóle w ramach granic z 1937 roku* (oklaski w SPD). *Może taka wojna uczyniłaby zbędnymi wszelkie granice, ponieważ nie byłoby ludzi potrzebujących granic (...) Ostrzegam tych kolegów, którzy tu lub na zewnątrz przemawiają do grup, aby nie rozpalali ognia, którego potem nie bylibyśmy w stanie ugasić".* Ten trzeźwy i rozsądny głos złośliwie przerywali posłowie z ramienia chadecji — w tym Alfred Dregger, czyli sam przewodniczący frakcji CDU/CSU.

Alfred Dregger przebywał latem w Polsce z wizytą prywatną. Na ziemiach zachodnich bezskutecznie poszukiwał wielkiej liczby Niemców. Wyjechał zadowolony z polskiej gościnności i zaczął mówić o potrzebie pojednania i przyjaźni między naszymi narodami. Zaznaczył jednak, że nie można przy tym „zignorować 14 milionów wypędzonych ludzi, z których dwa miliony zginęło". Uznanie przez Polaków tej „prawdy" — i chyba jeszcze przyznanie się do „winy"? — ma być fundamentem pojednania.

W związku z ciągłym oskarżaniem nas o wypędzenie ludności niemieckiej i spowodowanie ogromnych ofiar śmiertelnych, warto przypomnieć rzeczywisty przebieg wydarzeń. Przede wszystkim należy podkreślić, że spośród 7,1 mln Niemców aż 4,5—5 mln opuściło ziemie zachodnie i północne już przed nadejściem armii radzieckiej i administracji polskiej. W czasie bezładnej ewakuacji — odbywającej się w trudnych warunkach zimowych — poniosło śmierć ponad 600 tys. uchodźców. Na ten temat zachował się niezwykle interesujący dokument. Jest nim pamiętnik księdza Paula Peikerta, proboszcza parafii św. Maurycego we Wrocławiu. W lutym 1945 r. pisał on: *„Cały wschód wielkoniemieckiej Rzeszy wyrzucił na drogi ponad 6 milionów ludzi. Ucieczka przypadła w środku srogiej zimy. Śmierć szerzyła pośród uchodźców straszliwe spustoszenie, zwłaszcza wśród dzieci i starszych osób. Już teraz ocenia się liczbę ofiar na 150 do 200 tys. osób, a twierdzi się, że nawet ta liczba jest zbyt niska. Setkami zbierano trupy w przydrożnych rowach, na skraju dróg i pochowano w masowych grobach na pobliskich cmentarzach. Ta gwałtowna ucieczka na rozkaz władz partyjnych jest chyba największą katastrofą, jaka kiedykolwiek dotknęła nasz naród. (..) Przymusowa ewakuacja jest wędrówką ludów niesłychanych rozmiarów, czynem rozpaczy rządu wyzbytego wszelkich zasad obyczajowych oraz bilansem nędzy i dwunastoletniego reżimu hitlerowskiego".*

Wobec uchylających się przed ucieczką Niemców władze hitlerowskie stosowały terror. Straszono okrucieństwami bolszewików; grożono pozbawieniem kart żywnościowych i zburzeniem domów. Ale plotka głosiła, że Rosjanie dobrze obchodzą się z ludnością cywilną, dlatego większość mieszkańców mniej się ich obawiała niż barbarzyństwa własnego wojska. W dniu 11 marca ks. Peikert notował: *„Im wcześniej przyjdą Rosjanie, tym rychlej skończy się dzieło zniszczenia, którego sprawcą jest przede wszystkim nasze dowództwo. Wszystkie bowiem podpalenia, całe spustoszenie budynków i urządzeń komunalnych pochodzi bezpośrednio od naszego dowództwa. (...) Aby położyć kres spustoszeniu, należałoby sobie życzyć, by Rosjanie zdobyli Wrocław, co jest gorącym pragnieniem wszystkich mieszkańców, wyjąwszy kilku bonzów partyjnych. Im dłuższe bowiem oblężenie, tym większe zniszczenia od własnych oddziałów".*

W 1939 r. Wrocław liczył 629 tys. mieszkańców, a przed ewakuacją ok. 700 tys. Ksiądz Paul Peikert uważał, że jest to jedno z największych i najpiękniejszych miast „narodu niemieckiego". Tym bardziej więc nie mógł pojąć szaleństwa hitlerowców, którzy wypędzali ludność i wyburzali całe ulice. *„Szał niszczycielski niemieckiego państwa wandali* — pisał 22 marca 1945 roku — *zhańbił po wszystkie czasy imię tego plemienia. Adolf Hitler i jego generałowie zepchnęli znów żołnierza niemieckiego do poziomu wandala, a imię niemieckie zhańbili znów przed całym światem, czyniąc z Niemca barbarzyńcę. Nie Rosjanin podpala domy i wznieca w nich ogień, lecz żołnierz niemiecki".*

Masowa ucieczka ludności cywilnej w głąb Rzeszy spowodowała, że do wysiedlenia pozostało mniej niż można było oczekiwać. Plan ustalony 20 listopada 1945 r. przez Sojuszniczą Radę Kontroli w Berlinie zakładał przeniesienie — „w sposób uporządkowany i ludzki" — 3,5 mln Niemców z Polski oraz 3 mln z Czechosłowacji, Węgier i Austrii. Nasze państwo do końca 1950 r. faktycznie opuściło 3 mln 155 tys. osób, a dalsze około 0,5 mln wyjechało w późniejszych okresach (w tym 300 tys. w latach 1954—1959).

W referendum przeprowadzonym 30 czerwca 1946 r., za utrwaleniem zachodnich granic Polski na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej opowiedziało się aż 91,4 proc., a przeciwko tylko 8,6 proc. głosujących. W tej kwestii naród polski był i jest zjednoczony. W liście z 24 maja 1948 r., skierowanym do ludności ziem zachodnich kardynał August Hlond określił rok 1945 jako „godzinę rownania rachunków stuleci". A następny prymas, Stefan Wyszyński, w 1965 r. mówił we Wrocławiu: *„Wróciliśmy w dom ojczysty, rozpoznaliśmy ocalałe znaki, rozumiemy je; tak, to nasza mowa. Rozumiemy tę mowę. Te kamienie wołają do nas ze ścian, te prochy pozostałe w podziemiach, te prochy, które ziemia nagromadziła, one do nas przemawiają w naszym ojczystym języku: jak do naszego Chopina przemawiały poszumem wierzby mazowieckie, tak do nas przemawiają ojczystą mową te relikty wydobyte z podziemi katedr milenijnych. I dlatego, najmilsi, gdy patrzymy na te świątynie piastowskie, gdy wsłuchujemy się w ich wymowę, to wiemy, że nie są one dobrem poniemieckim. To jest dusza polska. Nie były one nigdy dobrem poniemieckim i nie są".* W podobny sposób wypowiada się w tej sprawie również kolejny prymas Polski — kardynał Józef Glemp. Niedawno stanowczo zaprzeczył on, jakoby w Polsce istniała mniejszość niemiecka wymagająca odrębnego duszpasterstwa.

Z badań reprezentatywnych wynika, że nawet zdecydowana większość (76 proc.) społeczeństwa Republiki Federalnej Niemiec uważa, że Niemcy powinni pogodzić się z obecną granicą na Odrze i Nysie. Przeciwko tej linii granicznej jest 24 proc. dorosłych obywateli RFN. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w 1951 r., akceptowało naszą granicę zachodnią zaledwie 8 proc. społeczeństwa RFN, to trzeba stwierdzić, iż w ciągu ponad trzydziestu lat dokonał się ogromny postęp. I nie byłoby w zasadzie powodu do niepokoju, gdyby nie fakt, że z różnymi kłamliwymi i rewizjonistycznymi oświadczeniami notorycznie występują także czołowi politycy koalicji rządzącej dziś w Niemczech Zachodnich.

Już w połowie XVII wieku pewien poeta śląski słyszał w Polsce do dziś popularne przysłowie: *„Poky świat światem nie będzie Polak Niemczowy bratem".*

Czy takie jest nieuchronne Przeznaczenie stosunków polsko-niemieckich? Nasze pozytywne doświadczenia z Niemiecką Republiką Demokratyczną wskazują, że jest możliwa przyjaźń między oboma narodami. Okazuje się jednak, że łatwiej jest nam porozumieć się i pojednać z lewicą społeczną i protestantami, aniżeli z prawicą i katolikami. Pięć lat po słynnej wymianie listów między biskupami polskimi i niemieckimi prymas Stefan Wyszyński z ubolewaniem pisał do kardynała Döpfnera: *„Muszę wszakże Księdzu Kardynałowi wyznać całkiem szczerze, że odpowiedź Episkopatu niemieckiego na nasz pojednawczy list rozczarowała nie tylko Polaków, ale i światową opinię publiczną. Naszą tak serdecznie wyciągniętą rękę przyjęto nie bez zastrzeżeń. Jakże często słyszymy z ust naszych kapłanów i ludzi świeckich zarzut, że nasze, podyktowane chrześcijańską miłością, wyjście naprzeciw zderzyło się z polityką. Jest to tym smutniejsze, że niemieccy protestanci wychodzą naprzeciw katolikom polskim z postawą o wiele bardziej ewangeliczną i że to właśnie oni coraz częściej okazują żal za wszystko, co wycierpieliśmy w czasie wojny, oraz wolę pojednania w imię naszego Zbawiciela".* Na to kardynał Döpfner odpowiedział, że list prymasa Polski go *„zaskoczył, żeby nie powiedzieć — przeraził".* W sprawie układu między PRL a RFN z 7 grudnia 1970 r. stwierdził, że jest *„jakimś rozwiązaniem"*, ale czy najlepszym na przyszłość — to *„można być rozmaitego zdania".*

Jak widać, naród nasz wciąż musi czujnie i bez nadmiernej ufności obserwować nastroje polityczne w społeczeństwie zachodnioniemieckim. Nie wolno nam bagatelizować żadnych przypadków recydywy postaw odwetowych i rewizjonistycznych.

EDMUND LEWANDOWSKI

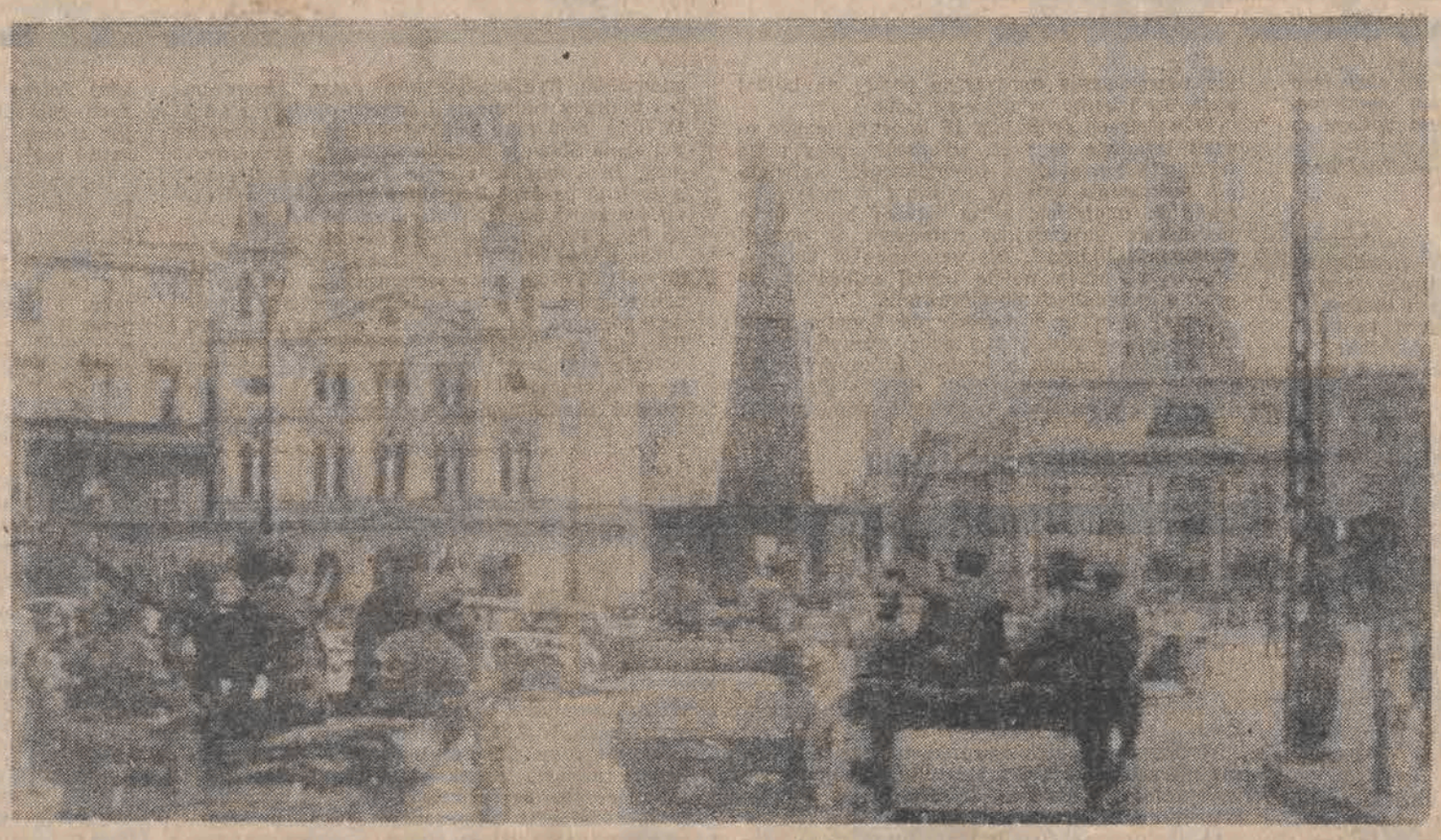

Hitlerowski wrzesień w Łodzi (2)

PAWEŁ DZIECIŃSKI

POCZĄTEK OKUPACJI

Pierwszy patrol niemiecki pojawił się w Łodzi 8 września wieczorem, nawiązał kontakt i podjął pertraktacje z Komitetem Obywatelskim. Delegacja Komitetu udała się następnie do niemieckiego dowództwa w celu ustalenia warunków wkroczenia wojsk niemieckich do miasta. W nocy z 8 na 9 września żołnierze niemieccy obsadzili jedynie rejon poczty głównej. W tym samym momencie ujawnił się zakonspirowany dotąd Selbstschutz — paramilitarna organizacja łódzkich hitlerowców. Bojówki te w dzikiej euforii przedefilowały przez ulicę Piotrkowską odbywając jakąś barbarzyńską odmianę rzymskich triumfów i następnie obsadziły Dom Niemieckich Stowarzyszeń Śpiewaczych i inne budynki, w których mieściły się przed wybuchem wojny różne niemieckie instytucje a także obiekty wojskowe oraz ważniejsze magazyny.

Oddziały VIII armii wkroczyły uroczyście do Łodzi dopiero następnego dnia (9 IX). Wejście nastąpiło z dwóch stron. Pierwsza grupa wkroczyła ulicą 11 Listopada w kierunku Placu Wolności, a druga ulicami Rzgowską i Piotrkowską w kierunku północnym. Wkraczający żołnierze Wehrmachtu zostali uroczyście powitani przez łódzkich Niemców, którzy dekorowali domy wcześniej przygotowanymi i trzymanymi w ukryciu flagami ze swastyką, obrzucali żołnierzy kwiatami i organizowali dla nich poczęstunki. Zajęcie Łodzi przez Wehrmacht określone przez łódzkich hitlerowców jako „wyzwolenie spod polskiego ucisku" stało się okazją do organizowania różnego rodzaju imprez i zabaw mających wyrażać wielką radość łódzkich Niemców z tego faktu. Natychmiast też ożywiły swoją działalność przyczajone w pierwszych dniach września różne niemieckie organizacje o sympatiach prohitlerowskich. Prym wiodły tu oczywiście przedwojenne partie Niemiecki Związek Ludowy, którego siedziba był budynek przy ul. Piotrkowskiej 157 i Partia Młodych Niemców z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 15. Hitlerowcom bardzo zależało na zintegrowaniu środowiska niemieckiego i poddaniu go bezwzględnej nazyfikacji, co wiązało się z rozprawieniem się z tymi Niemcami, którzy przed wojną występowali przeciwko hitleryzmowi. Kierownictwo nad łódzkimi Niemcami mieli przejąć ludzie powiązani już przed wybuchem wojny z hitleryzmem. W związku z tym, aby zachować zasadę rozróżnienia między Niemcami aktywnymi przed wojną w hitlerowskich organizacjach, a Niemcami biernymi oraz związanymi z polskością, którzy ewentualnie chcieliby korzystać z przywilejów w okupacyjnej rzeczywistości, organizacje te zaprzestały przyjmowania nowych członków.

Niemieckie władze wojskowe od początku okupacji otoczyły łódzkich Niemców opieką, faworyzując ich wyraźnie w stosunku do pozostałej ludności miasta. Hitlerowcy mieli teraz nieskrępowane możliwości działania. W dniu 10 września 1939 roku ponownie ukazała się zawieszona 1 września przez władze polskie hitlerowska gazeta „Freie Presse" która ukazywała się już do końca okupacji kilkakrotnie zmieniając nazwę (od 24 IX 1939 „Deutsche Lodzer Zeitung" od 9 XI 1939 „Lodzer Zeitung" od 1 I 1940 „Lodscher Zeitung" i od 12 IV 1940 do końca okupacji „Litzmannstädter Zeitung"). Zaczęły się również ukazywać inne nazistowskie wydawnictwa.

Prasa hitlerowska wzywała łódzkich Niemców do okazywania pomocy i poparcia władzom okupacyjnym. Nawoływano aby Niemki szły pielęgnować rannych żołnierzy niemieckich przebywających w szpitalu wojskowym, z którego zresztą wcześniej bezwzględnie wyrzucono rannych polskich żołnierzy. Zachęcano do przyjmowania do domów Niemców z innych okolic, którzy przejściowo znaleźli się w Łodzi. Władze wojskowe przy pomocy organizacji hitlerowskich roztaczały opiekę nad Niemcami, którzy ponieśli straty w wyniku działań wojennych. Już 15 września rozpoczęła działalność w Łodzi niemiecka organizacja opiekuńcza — NSV, która udzielała pomocy Niemcom będącym w trudnej sytuacji nie przejmując się zupełnie pozostałymi mieszkańcami miasta.

Również tylko Niemcy korzystali z pomocy żywnościowej zorganizowanej przez kwatermistrzostwo wojsk niemieckich w związku z fatalną sytuacją aprowizacyjną miasta. Bezrobotnym Niemcom organizacje hitlerowskie natychmiast załatwiały pracę. Wszystkie posunięcia miały na celu wzmocnienie prestiżu hitlerowskich organizacji wśród mniejszości niemieckiej. Szczególną uwagę zwracano od początku na młodzież. W ciągu tygodnia od wkroczenia wojsk niemieckich nazistowskie organizacje młodzieżowe podjęły działania mające na celu zintensyfikowanie swojego ruchu. Wkrótce też zaczęto jednoczyć ten ruch zgodnie z regułami obowiązującymi w Rzeszy. Już 23 września prasa hitlerowska zaapelowała, aby młodzież niemiecka wstępowała do Hitlerjugend i Bund Deutscher Mädel". Do pierwszych dni okupacji zaczęło też funkcjonować szkolnictwo niemieckie. W dniu 23 września zaczęto zapisywanie do szkół niemieckich dzieci tych łódzkich Niemców, którzy przed wojną posyłali je do polskich szkół, a teraz w warunkach okupacji gotowi byli posyłać je do szkół niemieckich. Rok szkolny w szkołach niemieckich w Łodzi został uroczyście otwarty 25 września.

Kokietując ogół niemieckiej społeczności hitlerowcy z całą bezwzględnością przystąpili do rozprawy z Niemcami będącymi przeciwnikami nazizmu. Przy pomocy łódzkich hitlerowców ujęto bardzo szybko większość działaczy niemieckich organizacji antyhitlerowskich oraz pastorów ewangelickich lojalnych wobec państwa polskiego, których następnie deportowano do obozów koncentracyjnych.

Od początku okupacji ujawniła się wroga w stosunku do Polaków postawa hitlerowskiego reżimu. Aczkolwiek w Łodzi nie doszło w pierwszych dniach okupacji do masowych egzekucji na Polakach, jak w wielu miastach Pomorza czy Wielkopolski, ale tym niemniej dochodziło do wielu antypolskich ekscesów. Już w momencie wkroczenia Wehrmachtu do Łodzi łódzcy hitlerowcy zaczęli załatwiać zadawnione porachunki z Polakami bijąc ich i poniżając. Wykorzystując też poparcie żołnierzy Wehrmachtu dokonywali rabunków mienia polskiego i żydowskiego. Władze hitlerowskie początkowo wstrzymywały się przed rozpętaniem terroru przeciw polskiej ludności, odkładając to do momentu ugruntowania się w Łodzi okupacyjnej władzy.

W celu łatwiejszego opanowania sytuacji hitlerowcy postanowili posłużyć się Komitetem Obywatelskim, któremu początkowo pozwolono działać nie uznając go jednak formalnie. Niemcom zależało na uruchomieniu łódzkiego przemysłu, który miał pracować na potrzeby gospodarki Rzeszy. Dlatego chętnie popierali wysiłki Komitetu na rzecz uporządkowania sytuacji w przemyśle, a niechętnie odnosili się do działań na rzecz uruchomienia polskich szkół. Ludność miasta od początku musiała znosić rygorystyczne zarządzenia władz okupacyjnych. Już 10 września nakazano wszystkim mieszkańcom stawić się w swoich miejscach pracy i ogłoszono, że jakiekolwiek zamachy na Niemców lub ich mienie będą karane śmiercią, podczas kiedy Polacy i Żydzi zostali praktycznie wydani na łaskę i niełaskę miejscowych Niemców.

Tymczasem okupanci w pośpiechu organizowali swój aparat terroru. Tworzono tzw. policję pomocniczą i rozbudowywano Selbstschutz wykorzystując tu siły miejscowych hitlerowców. Już 11 września pojawiły się w Łodzi specjalne oddziały policji bezpieczeństwa, które zaczęły dokonywać aresztowań czołowych polskich działaczy politycznych i społecznych. Było to jednak tylko preludium przed wielką, zbrodniczą akcją wymierzoną przeciw polskiej inteligencji, która miała nastąpić w najbliższych tygodniach. Hitlerowcy musieli mieć trochę czasu na zorganizowanie aparatu zbrodni oraz dokładne rozeznanie terenu, w czym korzystali z wydatnej pomocy miejscowych hitlerowców, dlatego we wrześniu nie było jeszcze masowych represji, a ofiarami aresztowań padały poszczególne osoby. Władze wojskowe jednak już w początkach września wprowadziły w życie szereg zarządzeń wymierzonych przeciw Polakom. Szczególne znaczenie miało zarządzenie o wprowadzeniu niemieckiego prawa karnego i sądów specjalnych z 5 września 1939 roku. Wkrótce też powstał w Łodzi sąd specjalny (Sondergericht), który zapisał ciemne karty w dziejach hitlerowskich zbrodni w Łodzi skazując tysiące Polaków na śmierć lub pobyt w obozach koncentracyjnych. Początkowo ferował głównie wyroki w sprawach o działanie na szkodę łódzkich Niemców przed wkroczeniem Wehrmachtu i był przez nich wykorzystywany do załatwiania swoich porachunków osobistych. Hitlerowska prasa prowadziła od początku ostrą kampanię przeciw Polakom. Lżyła państwo polskie, kpiła z polskich bohaterów narodowych. Starała się tworzyć negatywny stereotyp leniwego i nietwórczego Polaka, w przeciwieństwie do Niemca — pracowitego pioniera postępu, a przede wszystkim usiłowała rozpętać nienawiść do Polaków wymyślając różnego rodzaju kłamstwa o rzekomych zbrodniach Polaków na mieszkających w Polsce Niemcach.

Dzięki wysiłkom tolerowanego jeszcze przez władze wojskowe Komitetu Obywatelskiego udało się częściowo uruchomić polskie szkolnictwo. Napotykało to jednak olbrzymie trudności, głównie z powodu zajęcia wielu budynków szkolnych przez wojsko i władze hitlerowskie. Zaczynały się również konfiskaty mienia polskiego. W dniu 29 września władze okupacyjne wprowadziły komisaryczny zarząd w przedsiębiorstwach, które z powodu nieobecności właściciela lub innych przyczyn nie mogły zdaniem okupanta funkcjonować we właściwy sposób. Rozpoczynało to zorganizowaną i systematyczną grabież majątku polskiego i żydowskiego.

Osobnym zagadnieniem w zbrodniczej polityce władz hitlerowskich była sprawa stosunku do ludności żydowskiej. Na terenach zajętych przez Niemcy hitlerowskie obowiązywały dyskryminujące Żydów tzw. Ustawy Norymberskie czyli akty prawne wydane przez niemieckich faszystów w mieście zjazdów hitlerowskiej partii. Wkraczające do Łodzi oddziały hitlerowskiego Wehrmachtu wychowane były w duchu fanatycznej nienawiści i pogardy w stosunku nie tylko do Polaków, ale także i Żydów. Również łódzcy Niemcy poddani hitlerowskiej propagandzie odnosili się z niemal patologiczną nienawiścią w stosunku do mieszkańców miasta, którzy byli pochodzenia żydowskiego. W propagandzie tej sugerowano m.in. zorganizowaną akcję przedsiębiorców żydowskich mającą na celu usunięcie z kontrolowanych przez nich zakładów pracowników pochodzenia niemieckiego, a tym samym podcięcia im możliwości egzystencji. W rzeczywistości istniały w miesiącach poprzedzających wybuch wojny niekiedy przypadki usuwania przez Żydów, właścicieli przedsiębiorstw, pracowników pochodzenia niemieckiego, ale było to związane z ich jawnie antypaństwową działalnością albo z prowokacyjną postawą, która wywoływała zdecydowany opór pozostałej części załogi. Hitlerowcy jednak nie przejmowali się zbytnio przyczynami tych działań, lecz z całą bezwzględnością wykorzystywali te fakty w swojej propagandzie. Nie ma się więc co dziwić że tak nastawieni przez swoją prasę i swoich przywódców żołnierze Wehrmachtu oraz łódzcy Niemcy od początku okupacji z całą bezwzględnością wystąpili przeciwko Żydom. Już od momentu wkroczenia wojsk hitlerowskich zaczęły się ekscesy antyżydowskie. Żołnierze niemieccy przy czynnym poparciu bojówek hitlerowskich złożonych z łódzkich Niemców napadali na przechodzących ulicami łódzkich Żydów. Napadniętych bito grabiono i poniżano. Szczególnie ulubioną „rozrywką" żołnierzy hitlerowskich było obcinanie ortodoksyjnym Żydom brzytwami bagnetami. Był to zabieg" bardzo bolesny, zaś krzyki oraz jęki ofiar tych ekscesów wzbudzały wielką radość gromadzących się z reguły w takich wypadkach grup młodych łódzkich Niemców, którzy czerpali stąd model postępowania wcielany później przez nich w życie w różnych miejscach podbitej Europy. Pod płaszczykiem „zwalczania żydowskiego paskarstwa" rozpoczęła się akcja grabienia żydowskich, a także polskich sklepów, gdyż hitlerowscy rabusie oszczędzali tylko mienie należące do Niemców. Oprócz grabieży sklepów zaczęła się także grabież mieszkań; tu również hitlerowcom było w gruncie rzeczy wszystko jedno, kogo rabują, byle nie był to Niemiec. Grabieże mienia dokonywane przez Niemców na terenie miasta były tak duże że zaniepokoiły nawet sprzyjające najgorszym hitlerowskim ekscesom władze okupacyjne.

Już w kilka dni po zajęciu Łodzi władze hitlerowskie zaczęły wydawać pierwsze zarządzenia dyskryminujące ludność żydowską. Zakazano Żydom świętowania Nowego Roku i Sądnego Dnia. Zamknięto należące do nich konta bankowe i zabroniono im przechowywać gotówkę powyżej 2000 zł. Kiedy zaczęto znów uruchamiać łódzkie kina, hitlerowcy ogłosili natychmiast, że nie będą do nich uczęszczać Żydzi. Masowo stosowaną przez hitlerowców w pierwszych dniach okupacji metodą dokuczania Żydom było zmuszanie ich do wykonywania różnych prac na rzecz okupanta. Połączone to było zwykle z biciem i poniżaniem ich godności osobistej. Już 9 września żołnierze hitlerowscy urządzili na Żydów łapankę i zmusili grupę Żydów do czyszczenia czołgów i pojazdów wojskowych. W następnych dniach proceder ten się powtarzał. Zabierano Żydów z ulicy lub mieszkań, bijąc ich i znieważając w miejscach publicznych a nawet w mieszkaniach niektórych łódzkich hitlerowców.

Wydarzenia rozgrywające się we wrześniu 1939 roku ukazały ponure oblicze hitleryzmu, a stanowiły jedynie preludium przed mającą trwać ponad 5 lat posępną, pełną zbrodni i gwałtu rzeczywistością nazistowskiej okupacji. Łodzi udało się szczęśliwie uniknąć większych zniszczeń spowodowanych przez bombardowania lotnictwa niemieckiego. Hitlerowcy oszczędzali miasto bynajmniej nie powodując się ani prawem wojennym, ani żadnymi względami humanitarnymi, traktując Łódź z jej potężnym przemysłem jako cenny łup. Nie bez znaczenia był też fakt zamieszkania w Łodzi licznej mniejszości niemieckiej, która miała w przyszłości stanowić oparcie dla rządów okupanta, a wielu jej przedstawicieli zdążyło już czynną działalnością na szkodę państwa polskiego zasłużyć na względy swych hitlerowskich mocodawców. To natomiast, że nie było w Łodzi już we wrześniu gwałtownych akcji antypolskich jak np. w Bydgoszczy, wynikało nie z jakiejś dobroduszności dowództwa niemieckiego, ale z tego że hitlerowcy nie byli jeszcze zdecydowani co do podziału administracyjnego podbitego kraju i traktowali Łódź jak pozostałe tereny byłego zaboru rosyjskiego, które to terytoria miały być według hitlerowskich planów zgermanizowane później, dopiero po zniemczeniu ziem byłego zaboru pruskiego. I choć jednak nie było jeszcze we wrześniu masowych egzekucji i wysiedleń to jednak już przygotowywano pod nie grunt. Już szczucie Niemców na Polaków i Żydów, już organizowano zbrodniczą machinę okupacyjnej władzy. Wrzesień był tylko epizodem w długofalowych planach nazistowskich zbrodniarzy, których realizacja zaczęła się jeszcze przed wybuchem wojny w postaci działań hitlerowskiej V kolumny, a ujawniła się w pełni w ponurych latach okupacji, kiedy w Łodzi hitlerowscy zbrodniarze bezwzględnie tępili każdy ślad polskości.

Expo — Łódź'85

Z udziałem przedstawicieli władz politycznych i administracyjnych, organizacji handlowych państwowych i spółdzielczych, z wojskową orkiestrą uroczyście otwarto Wystawę Przemysłową Łódź — 85.

Na płycie głównej i w przejściach hali sportowej, w estetycznie przez plastyków urządzonych stoiskach zaprezentowało swoje wyroby 18 firm zagraniczno-polonijnych, 9 spółdzielni rzemieślniczych, 30 przedsiębiorstw należących do związku Cepelia, 19 spółdzielni inwalidów, 24 spółdzielnie pracy oraz 34 jednostki przemysłu kluczowego.

Obejrzeć było co — poczynając od przepięknych ikon firmy Wamart, poprzez wielkiej urody dzianiny z Teofilowa atrakcyjne wyroby pończosznicze Feniksa, dużo pożytecznych drobiazgów, zaprezentowanych przez spółdzielczość pracy i inwalidów, odzież, obuwie, dziewiarstwo, futra, które pokazały zarówno zakłady kluczowe jak i spółdzielnie i rzemieślnicy aż po elektroniczne cacka, wyposażone w słoneczne baterie firmy Stempo.

Trzeba przy tym podkreślić, że nie była to wystawa tego, co przemysł mógłby zrobić, gdyby miał z czego i czym — ale tego, co faktycznie jest produkowane. Wiele z tych wyrobów można po prostu i zwyczajnie kupić w sklepach, inne — bywają, choć ciągle jeszcze z ich nabyciem są kłopoty.

Wystawa została zorganizowana w krótkim czasie, co nie odbiło się na efekcie. Zwiedzający zadawali sobie jednak pytanie: po co? Tego właściwie nie wiadomo. Żeby zaprezentować mieszkańcom Łodzi aktualną kondycję i osiągnięcia naszego przemysłu? Żeby zebrać opinie, które wyroby podobają się nam, klientom, a których już nie warto produkować? Żeby zrobić konkurencję rozpoczynającym się za parę dni Targom Poznańskim, na których te same firmy pokażą to samo? Odpowiedź jest trudna — i właściwe każdy może udzielić sobie takiej, jaka mu odpowiada.

Z wystawy nic kupić nie można, natomiast przed halą odbywa się kiermasz, gdzie w wolnej sprzedaży — lodówki, artykuły szkolne i pamiątkarskie, odzież, dziewiarstwo i inne atrakcje — a także i towary mniej atrakcyjne, które w sklepach leżą sobie spokojnie, jednak przy okazji kiermaszu, w szale zakupów „pójdą jak woda". I może to właśnie jest główna korzyść z urządzania tego rodzaju imprez?

T. J.

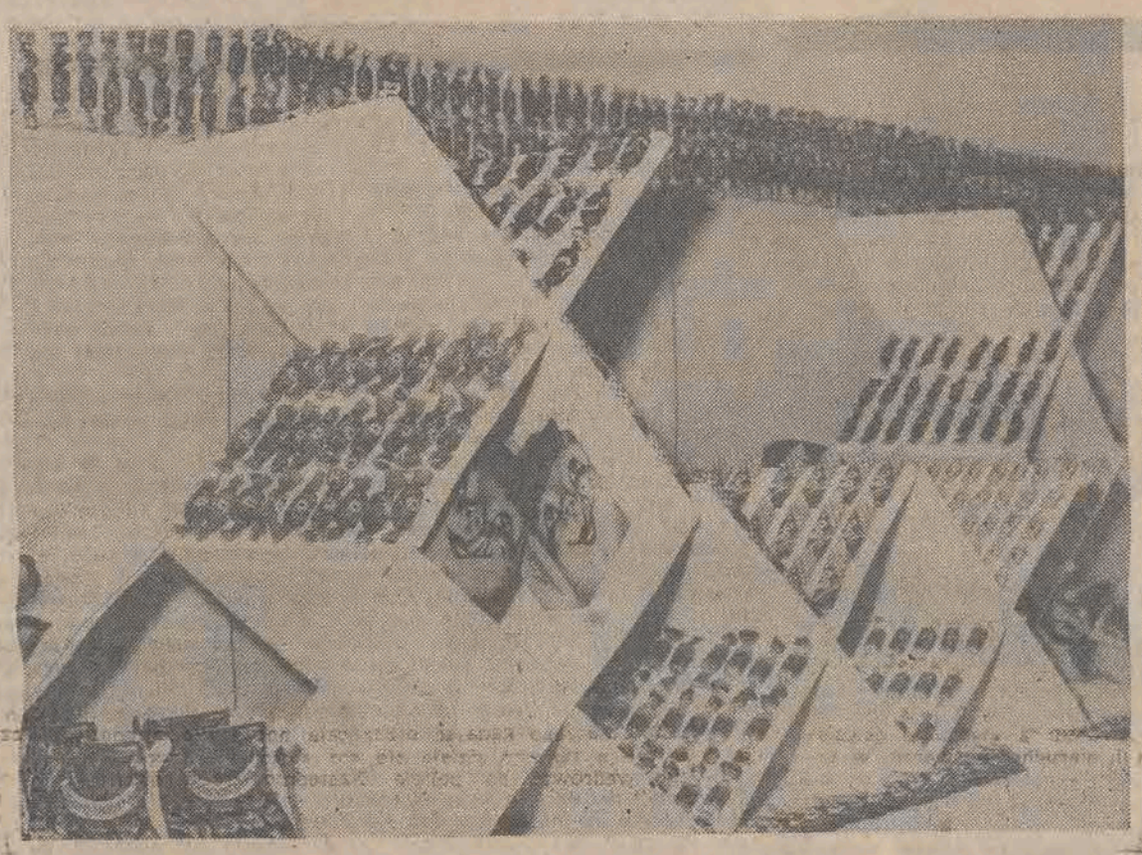

Fòto: Grzegorz Gałasiński

Wskrzeszenie staruszki

EUGENIUSZ IWANICKI

Półtora roku temu pisząc o łódzkim pralnictwie (Odgłosy, 17.III.1984 r.) przytoczyłem wypowiedź prezesa Spółdzielni Pracy „Czystość" Józefa Kowalczyka, który na moje pytanie o przyszłość jego firmy, powiedział: „Umiera. Jeszcze pięć, może dziesięć lat i koniec. Wkrótce nie będziemy mieli czym prać ani kim prać. Taka jest prawda. W styczniu br. (Chodzi o rok 1984 — przyp. E.I.) odwiedziła naszą spółdzielnię grupa posłów na Sejm, członków Sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytwórczości i Usług. Złożyliśmy na ich ręce alarmujący raport. Bardzo chciałbym wierzyć, że stanie się on ostrzegawczym dzwonkiem i spowoduje decyzje rządowe. Inaczej nic nas nie uratuje".

Pomyślałem więc, że dobrze by było zajrzeć do salonów i zakładów pralniczych i naocznie się przekonać, czy staruszka „Czystość" jeszcze oddycha, czy trzeba szykować wieniec żałobny. Z drugiej strony ciągle żyję z trwożliwym przeświadczeniem, że będę musiał jeździć z bielizną do prania nad jakiś strumień (gdzie takich szukać w Łodzi?) lub do którejś z odległych rzek i tam, tłukąc kijanką prać to, co dotychczas oddawałem do salonów pralniczych. Całe szczęście, że nie brak mydła i proszków, choć z czystą wodą jakby coraz trudniej.

Tak więc z twarzą żałobnika odwiedziłem pralnię, a potem stanąłem przed obliczem prezesa **Józefa Kowalczyka.**

— Spotkało pana nieszczęście? — zapytał ze współczuciem ściskając moją dłoń. — Proszę przyjąć najszczersze...

— Ależ panie prezesie! — wykrztusiłem. — To przecież pańska branża umiera bezpowrotnie.

Prezes roześmiał się wesoło.

— Nieboszczka ma się dobrze i myślę, że dzięki przeszczepom będzie z roku na rok coraz młodsza.

— Jak to? — nie mogłem ukryć zdziwienia. — Przecież nie tak dawno pralnictwo znajdowało się w przededniu katastrofy?

Prezes podał mi papier i długopis.

— Proszę notować.

Opowieść prezesa Józefa Kowalczyka nie była długa, ale prawie optymistyczna, choć do pełnego zadowolenia jest jeszcze daleko.

Tak więc są prognozy na lepsze. Po pierwsze: pralnictwo może wreszcie korzystać z niskoprocentowego kredytu bankowego bez kaucji. Po prostu — w przeciwieństwie do lat ubiegłych — jest to niższe oprocentowanie od tego, które obowiązuje inne spółdzielnie i przedsiębiorstwa w kraju. Po drugie: znalazło się trochę dewiz na zakup części zamiennych do maszyn i na sprowadzenie do kraju nowych maszyn pralniczych. Pamiętam, że była to niegdyś bariera nie do przeskoczenia, determinująca nie tylko rozwój, ale i modernizację pralnictwa w Polsce.

W tej sytuacji, biorąc pod uwagę warunki, modernizacja w pierwszej kolejności obejmie zakład nr 4 mieszczący się przy ulicy Felsztyńskiego 50. Będzie to zakład wyłącznie przeznaczony do czyszczenia chemicznego. Powstanie więc nowy budynek — i to już wkrótce — w którym zainstaluje się sprowadzony z Zachodu agregat do chemicznego czyszczenia dywanów. Praca będzie przebiegała pod nadzorem Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Pralnictwa, co gwarantuje wysoką jakość usług.

Nie byliśmy dotychczas rozpieszczani przez pralnie, szczególnie przez te, które zajmowały się dość prymitywnym czyszczeniem naszych dywanów, toteż opowieści o tym, co będzie się działo w zakładzie pralniczym przy ulicy Felsztyńskiego, słuchałem jak bajki o żelaznym wilku. A więc: oddamy poplamiony, postrzępiony, ciężki od kurzu i brudu dywan. Robotnik wrzuca go do maszyny, a nam proponuje wypicie w tym czasie kawy lub przejrzenie gazety. Po jakimś czasie możemy swój dywan odebrać. Jest wyczyszczony, przyszyte są nawet frędzle, całość zaś znajduje się w specjalnym foliowym worku. Wszystko to wykonuje maszyna, robotnik jedynie przyciska odpowiednie guziki na pulpicie dyspozycyjnym.

Będzie to jedyny tego typu zakład w Polsce!

Dalej, przy ulicy Wólczańskiej będzie odtworzony zakład nr 1, w którym będzie się prać jedynie bieliznę białą. W agregatach sprowadzonych z NRD. Jest tylko pewien szkopuł: nie ma zgody władz miasta na podłączenie się do miejskiej sieci cieplnej. W ostateczności trzeba będzie wybudować własną kotłownię, co w dzisiejszych czasach jest absurdem ze względu na ochronę środowiska naturalnego. Obecnie zakład nr 1 jest poddawany gruntownemu remontowi, jego czynności przejęły inne, w których na razie nic się nie zmieniło na lepsze, bowiem obowiązuje kolejność modernizacji. Jeśli jednak trzeba będzie budować kotłownię — czas postoju zakładu przedłuży się na całe lata.

Podobna sytuacja jest w zakładzie nr 3 mieszczącym się przy tejże Wólczańskiej pod nr 13. Centrum Łodzi. I sterczący, dymiący komin, zatruwający życie lokatorom pobliskich domów. A przecież gdyby tak dostarczyć parę z sieci miejskiej? Chyba, że do sieci zostanie podłączony wspomniany już zakład nr 4, wówczas ten truciciel zostanie zlikwidowany.

Zachodnioniemiecka firma Beve wyraziła chęć współpracy z polskim pralnictwem. Bo Beve pragnie za wszelką cenę utrzymać się na rynku europejskim. Otóż zaproponowała ona ni mniej ni więcej tylko chęć wyposażenia w Łodzi salonu pralniczego. I to takiego, jakiego w Polsce nie ma. Z zamkniętym obiegiem, a więc nie zanieczyszczającym środowiska. Byłby to salon, gdzie na poczekaniu można byłoby wyczyścić marynarkę lub spodnie łącznie z prasowaniem. Trwałoby to krótko, klient zdążyłby akurat przejrzeć gazetę czy wypić kawę. Ale cała sprawa rozbija się o przeszkodę — jak dotąd — nie do pokonania: chodzi o lokal. Jest propozycja by salon taki usytuować w popularnym „Adasiu" na Piotrkowskiej, w którym kiedyś była pralnia. Decyzja należy do władz miasta, bowiem rozmowy pomiędzy firmą Beve a Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym Pralnictwa były już przeprowadzone i w każdej chwili można przystąpić do instalowania maszyn.

Łodzianie wiedzą, że na tejże Piotrkowskiej pod numerem 116 Spółdzielnia Pracy „Czystość" posiada „salon" pralniczy, ale jest to przykład na to, że taki salon nie powinien istnieć, bo to jedynie wstyd i kompromitacja. Ale skoro nie ma tego z prawdziwego zdarzenia...

Tyle o sprawach najważniejszych. Z mniejszych trzeba odnotować fakt, że „Czystość" w tym roku ma otrzymać co najmniej 3 agregaty do czyszczenia chemicznego. Nie jest to dużo — przydałoby się co najmniej 20 — ale dobre i to. Ważne, że „coś drgnęło" i „idzie ku lepszemu".

W całej Łodzi mamy 104 punkty przyjęć bielizny do prania, 8 zakładów i 36 salonów pralniczych, które zatrudniają 519 osób plus 70 osób zajmujących się transportem brudnej bielizny. Czyli milionowe prawie miasto „opiera" zaledwie pół tysiąca osób. Przydałoby się co najmniej jeszcze z pół setki. Ale ludzie nie przychodzą, bowiem praca tu jest ciężka, a zarobki niższe od średniej krajowej. Dziennie jedna kobieta przerzuca około dwóch ton bielizny. Teraz, latem, zatrudnia się przy praniu junaków ze szkolnych hufców OHP, którzy pracują solidnie i chętnie. Jednak wakacje wkrótce się skończą i młodzież wróci do szkół. A wówczas w pralniach Łodzi wystąpi ostry kryzys, czyli brak rąk do prania. Może więc dojść do takiej sytuacji, że będą nowe maszyny, wprowadzi się nowoczesne technologie, tylko nie będzie nikogo, kto chciałby te maszyny obsługiwać.

By uzmysłowić ilości, jakimi posługują się w Spółdzielni „Czystość" podam, że za minione 6 miesięcy wyprano w Łodzi ponad dwa tysiące ton bielizny, dywanów, firanek, zasłon itp. Obliczono, że przeciętny łodzianin pierze dziś 4,5 kg bielizny rocznie. Spółdzielnia sprzedaje swoje usługi. W tym roku było ich za 223.653 tys. złotych. Czy to dużo? Raczej średnio zważywszy na fakt, iż wiele rodzin posiada pralki i woli robić przepierkę w domu. Wspomniane 4,5 kg na statystycznego mieszkańca Łodzi ulegnie zmianie z chwilą oddania do użytku zakładu chemicznego czyszczenia dywanów, bowiem to, co nazywamy dziś czyszczeniem, jest jedynie karykaturą tej czynności.

W gabinecie prezesa Spółdzielni Pracy „Czystość" wisi plan Łodzi, na którym kolorowymi chorągiewkami oznaczono punkty przyjęć bielizny oraz zakłady i salony pralnicze. Jest ich w sumie 149. Najgęściej jest w Śródmieściu, puste plamy to Górna, Widzew Wschód, Radogoszcz. Tu przydałoby się bodaj po kilka punktów przyjęć bielizny. Ludzie z tobołkami jeżdżą aż do Śródmieścia. Prezes twierdzi, że wystarczyłyby w każdym z wymienionych osiedli bodaj trzy takie punkty przyjęć. Niestety, nie ma lokali. A co będzie za lat pięć, dziesięć? Przecież miasto będzie się rozrastać, powstaną nowe bloki, nowe osiedla. Trzeba więc już teraz pomyśleć o pomieszczeniach dla pralni, które są równie potrzebne jak sklepy czy punkty napraw telewizorów.

Póki co cieszmy się z tego co będzie. A będzie lepiej, proszę państwa, staruszka „Czystość" wcale nie zamierza umierać.

Monsieur Thys, czeka na pana Holandia

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

Środa, 11 września 1985 r. Była dokładnie godz. 19.16. Szkocki sędzia Valentine dał sygnał do zakończenia eliminacyjnego meczu mistrzostw świata pierwszej grupy strefy europejskiej. Bezbramkowy remis, jaki uzyskała w spotkaniu z Belgią jedenastka biało-czerwonych, prowadzona przez Antoniego Piechniczka, dał nam po raz czwarty z rzędu awans do finałów piłkarskiego „Mundialu"! To już jest dzisiaj faktem. Nie wiem czy do wielu kibiców dociera jeszcze myśl, że jesteśmy piłkarską potęgą na świecie! Tak, tak. Podobnego wyczynu dokonały jak do tej pory takie piłkarskie firmy jak: Brazylia, RFN, Włochy i Argentyna. Jedziemy więc w przyszłym roku do Meksyku, a prezes Światowej Federacji Piłkarskiej, brazylijski multimilioner — Joao Havelange stwierdził już, że Polska znajdzie się przy losowaniu decydujących gier 24 finalistów wśród zespołów rozstawionych. Otwiera się zatem przed futbolistami kolejna medalowa szansa. Może zakręcić się w głowie. Nieprawdaż?

Osiemdziesięciotysięczna widownia stadionu Śląskiego w Chorzowie składająca się z najwierniejszych kibiców, a jednocześnie „wybrańców losu", którym udało się dostać bilet (cena: tylko 900 złotych) zgotowała więc dwunastce polskich piłkarzy, którzy w heroicznym boju osiągnęli tak liczący się na sportowej arenie świata sukces, gorącą owację. „Józek", czyli Józef Młynarczyk zginął w objęciach kolegów, Piechniczek obcałowywany przez wszystkich wywinął efektownego koźla, a publiczność na stojąco dawała upust swej radości. Rozległo się chóralne „Sto lat", piłkarze wykonali rundę wokół stadionu, a niejeden z nas ocierał po kryjomu łzę w oku. Minister Marian Renke mógł zaś spokojnie później zasnąć, wszak znów piłkarze mogą podnieść z trawy kilka milionów dolarów, które stanowić będą w perspektywie podstawę do budowania potęgi polskiego sportu. A zatem będą mogli „pożywić się" z tej kwoty również (jak było do tej pory) przedstawiciele innych dyscyplin. Sukces na boisku niesie za sobą wymierne korzyści finansowe, co nie jest bez znaczenia przecież.

Po meczu zaś statystycy zastanawiali się, który to już remis uzyskany przez polską reprezentację daje nam prawo startu w światowym „Mundialu". Okazuje się, że trzeci. Pierwszy, najbardziej utkwił nam w pamięci, bowiem wypłynęliśmy po nim na szerokie, piłkarskie wody To potyczka przeciwko Anglikom na Wembley w 1973 r. Znakomita postawa „Tomka", złapanie za koszulkę Lato przez Mc Farlanda, kiedy polski zawodnik miał przed sobą tylko bramkarza, celny strzał Domarskiego. Drugi miał miejsce na Stadionie Śląskim w Chorzowie przeciwko Portugalii w 1975 r. W efekcie tańczyliśmy argentyńskie tango na boiskach pierwszego mistrza świata. Padł rezultat nierozstrzygnięty 1:1, a gola bezpośrednio z rzutu rożnego strzelił Deyna, wygwizdany w tym spotkaniu przez kibiców. I wreszcie ten ostatni, z „czerwonymi diabłami", który zwłaszcza w końcówce tego boju okazali się z piekła rodem, mamy go jeszcze świeżo w pamięci. Warto również zauważyć, że trener Antoni Piechniczek będzie pierwszym polskim szkoleniowcem, który po raz drugi z rzędu zostanie sternikiem reprezentacji podczas finałów piłkarskich mistrzostw świata. Nie udało się to przedtem nikomu. A jeszcze kilka tygodni przed meczem z Belgami wtajemniczeni twierdzili, że jego miejsce może zająć Ryszard Kulesza. Czy byłoby to możliwe? Dziś wiadomo na pewno, że wypowiedzenia umowy o pracę nie będzie i pozwólmy trenerowi spokojnie przygotowywać zespół do meksykańskich finałów. Zanim jednak doszło do tej ostatniej chorzowskiej wiktorii, przeżyliśmy kilka nerwowych chwil.

Najpierw więc przeżywaliśmy niepowodzenie związane z niezakwalifikowaniem się biało-czerwonych do finałów mistrzostw Starego Kontynentu. Nie udało nam się to zresztą nigdy. Zbigniew Boniek, który wówczas występował w turyńskim Juventusie przekonywał spokojnie, że woli raz na cztery lata zagrać z najlepszymi na świecie, aniżeli w Europie. Niektórzy przyznawali mu rację, inni odsądzali piłkarzy od czci i wiary. Przyszły więc eliminacje do „Mundialu — 86". Wygrana z Grecją i wszystko jest o'key! Potem remis z Albanią i przegrana na Heysel z Belgami, doprowadziły do minorowych nastrojów. — Do roboty — wołali więc ci, którzy żądali krwi i sprawiedliwości. Łaska pańska jednak na pstrym koniu jeździ. Jestem pełen podziwu dla Piechniczka i jego wybrańców, choć muszę przyznać, że tylko gdzieś tam w podświadomości liczyłem jeszcze na możliwość wywalczenia awansu lecz nie przewidywałem absolutnie, że po kolei wygramy dwa wyjazdowe mecze przeciwko Grecji i Albanii. A tu tymczasem z planowanych trzech, zrobiły się cztery punkciki i Boniek, Młynarczyk, Wójcicki, Smolarek i inni, znów mieli przyjaciół. Teraz każdy by im nieba uchylił. A czas najważniejszej potyczki reprezentacji biało-czerwonych zbliżał się nieubłaganie. Pod koniec lipca rozpoczęła się liga. Piechniczek jeździł z meczu na mecz i podpatrywał kadrowiczów, choć koncepcję gry przeciwko Belgom miał już zapewne od dawna i potrzebował tylko korekt na dosłownie dwóch, trzech pozycjach. Zaplanowano dwa międzynarodowe testy, z których pierwszy ze Szwecją spowodował, że na piłkarzy wylewano kubły zimnej wody i niemal histerycznie wołano: — Co będzie 11 września w Chorzowie? Dziś już wiadomo, że w ramach prowadzenia tzw. piłkarskiej wojny psychologicznej, polski szkoleniowiec nakazał grę „na pół gazu", bowiem w loży... zasiadał pan Guy Thys. Czy ta dymna zasłona była konieczna to już oddzielne zagadnienie. Liczą się w sumie efekty końcowe. Zwycięski sparring z węgierskim zespołem Ferencvaros nieco poprawił nastroje, ale malkontenci z przekorą kręcili głową i stwierdzali: — To przecież tylko klubowa jedenastka...

Wreszcie po siódmej kolejce mistrzowskiej w ekstraklasie Antoni Piechniczek zarządził zbiórkę w Wiśle. Rozpoczął się normalny w takich przypadkach cykl przygotowań. Selekcjoner reprezentacji w chwilach wolnych od zajęć obmyślał taktykę na to spotkanie, zaś wieczorem udawał się do własnej willi, która położona jest niedaleko ośrodka sportowego „Startu". Tam wśród rodziny relaksował się i przynajmniej przez kilka godzin był z dala od futbolu. A od początku komplikacji nie brakowało. Oto Iwan przyjeżdża kontuzjowany i musi opuścić zgrupowanie. Znajdujący się w bardzo dobrej formie Tarasiewicz zwija się z bólu, gdy na którymś z treningów skręca nogę. Antoni Piechniczek podczas jednego, otwartego dla prasy dnia w Wiśle, prosi podczas konferencji prasowej, by nie pisać o tych kłopotach, ponieważ rywal czuwa i skrzętnie gromadzi o nas informacje. My też nie próżnujemy. Specjalny wysłannik podgląda sparring wybrańców Guy Thysa z drużyną armii belgijskiej. Kandydaci do reprezentacji przegrywają 1:4, ale wniosków żadnych wyciągnąć nie można. Odnosiło się wrażenie, że przewidziani na mecz z Polską piłkarze, wyszli na boisko by sobie pobiegać. Gość z naszego kraju, z kamerą w torbie, chce zarejestrować z kolei test — mecz z młodzieżówką. Nic z tego. Obowiązują przy wejściu specjalne zaproszenia. Rozpoczyna się już wielka gra. To co dzieje się poza boiskiem też jest niezwykle ważne.

We wtorek rano udaję się do Katowic. To dzień przed spotkaniem. W hotelu „Katowice" ruch ogromny. Akredytuję się w Biurze Prasowym. Otrzymuję specjalną wejściówkę, kartę z numerem miejsca w loży prasowej, biorę okolicznościowe suweniry (plastykowa torba, proporczyk i program), oraz kamizelkę dla fotoreportera, która przypomina barwy holenderskie. Wszyscy zgodnie stwierdzają, że to pozytywny objaw przed potyczką z Belgami. Henio Hermasz z katowickiego „Sportu", szef biura, informuje mnie, że zainteresowanie meczem ogromne. Około 400 żurnalistów z kraju i zagranicy. Najwięcej oczywiście Belgów i Holendrów. Są jednak przedstawiciele pism z USA, RFN, Francji, Wielkiej Brytanii, ze wszystkich krajów socjalistycznych oraz jeden radiowiec z Brazylii. Dowiaduję się, że jest także dziennikarz „Strażaka", a naczelny redaktor w piśmie proszącym o zarezerwowanie miejsca dla jego pracownika stwierdził, że redakcja zainteresowana jest stanem ...zabezpieczenia przeciwpożarowego na śląskim stutysięczniku. Przydałoby się bardziej, żeby wysłała ona swego przedstawiciela do Bielska-Białej, gdzie w dniu meczu, gdy większość załogi zakładów drzewnych emocjonowała się podczas telewizyjnej transmisji przebiegiem pojedynku, spłonęły hale z maszynami, na kwotę 40 milionów złotych...

W hallu spotykam rodziców Włodzimierza Smolarka. Oni też będą przeżywali ten mecz, a przede wszystkim występ swojego syna. Biorę na bok ojca (wiadomo mężczyzna z mężczyzną szybciej się dogada) i szepczę mu do ucha:

— Gdzie śpią piłkarze?

— Nie wiem.

— On naprawdę nic nie wie. Niech pan da mu spokój — włącza się do rozmowy matka piłkarza Widzewa. Włodek wczoraj do mnie dzwonił. Powiedział mi gdzie spędza ostatnie chwile przed meczem, ale prosił bym nikomu nic nie przekazywała. Chcą mieć spokój i wcale się temu nie dziwię.

— A może jednak? Po przyjacielsku?

— Nic nie da się zrobić. Mogę panu powiedzieć tylko, że czuje się dobrze i stwierdził, że nie powinno być źle.

No cóż, vis maior. Udaję się z kolei do położonego opodal hotelu „Warszawa". Za siedzibę obrali sobie go również belgijscy piłkarze i osoby im towarzyszące. Na miejscu dopadają mnie warszawscy dziennikarze, którzy oczekują już przyjazdu ekipy przeciwników. Zasypywany jestem pytaniami, czy coś wiem o konflikcie Dziekanowski — piłkarze Widzewa, ale przeniesionym już na grunt reprezentacji. Podobno atmosfera w drużynie nie najlepsza, podział na obozy, nie ma jedności. Uspokajam ich, że komu jak komu ale zawodnikom jedenastki z ul. Armii Czerwonej odmówić rozsądku nie można. Mówię, że doceniają jego umiejętności piłkarskie, a to że nie ułożyła im się współpraca w Łodzi, to już zupełnie inne zagadnienie. Informacja jako taka zaskakuje mnie jednak. Szybko więc ustalam, że podczas pierwszego treningu Zbigniewa Bońka wraz z kolegami doszło do wymiany piłek i zdań pomiędzy nim i Dziekanowskim. Znany ze swej złośliwości „Zibi" rzucił pod adresem Darka: — Widzę kolego, że powietrze warszawskie też ci nie służy. I po całej aferze. A potem wystąpili w jednej drużynie, mieli wspólny cel, wzajemnie wymieniali piłki na boisku. Piłkarze Widzewa nie zrobili nad nim kapturowego sądu, nie było więc żadnego konfliktu...

Reporter II programu Polskiego Radia i ja dopadamy sekretarza generalnego PZPN — Zbigniewa Kalińskiego. Wiemy od dawna, że nie zagra Tarasiewicz, który miał szansę przywdziać koszulkę z białym orłem na piersi. Kto go zastąpi? Dziekanowski czy Komornicki? Trener Piechniczek skłania się raczej ku zawodnikowi warszawskiej Legii. Zachowujemy więc tajemnicę do własnej wiadomości, ale jednocześnie jako pierwsi jesteśmy zorientowani w tym, że Dziekanowski na pewno wybiegnie na boisko. Zjawiają się Belgowie. Przed hotel zajeżdżają dwa jasnozielone mercedesy. „Pełna kultura". Szerokie panoramiczne okna rozpraszające promienie słoneczne, wygodne lotnicze siedzenia, klimatyzacja. Przyjechali prosto z lotniska Balice pod Krakowem, gdzie wylądował ich czarterowy Boeing — 747. Pierwszy zjawia się w hallu Guy Thys. Uśmiechnięty. Szybko pobiera klucz do pokoju, wydaje polecenia i znika w windzie. Po drodze kilka tylko słów: — Będzie naprawdę ciężko. Wam potrzebny jest remis, my musimy to spotkanie wygrać. Zawsze łatwiej jest bronić się niż atakować. Nie rezygnujemy jednak, bo byłoby to oczywistym nonsensem.

Dziennikarze podchodzą więc do Erika Geretsa. Zamieszany w piłkarskie afery, znalazł wreszcie miejsce w PSV Eindhoven (zespół ten wyeliminował kiedyś łódzki Widzew w Pucharze UEFA), chce spokojnie grać w piłkę. — Czy jest w dobrej formie? — Sami panowie to ocenicie — pada szybka odpowiedź i potężna postać „belgijskiego Rumcajsa" znika także w windzie. Bardziej rozmowny jest znany belgijski bramkarz — Jean Marie Pfaff.

— Cóż mam innego powiedzieć? Oczywiście, że wygramy. Dla mnie jednak stanowicie dobry zespół. To co mnie u was naprawdę zaskakuje, to umiejętność niesamowitej koncentracji przed bardzo ważnymi meczami, w obliczu finałów mistrzostw świata. Może i mamy lepszych od was poszczególnych piłkarzy, ale nie stanowimy w sumie kolektywu. Proszę jednak nie wyciągać z mojej wypowiedzi daleko idących wniosków. Spotkanie z wami będzie przełomowym dla naszej reprezentacji. Udowodnimy naszym kibicom, że i my potrafimy rozstrzygać na swoją korzyść ważne piłkarskie potyczki — mówił Jean Marie Pfaff.

— Kogo z polskich zawodników ceni pan najbardziej?

— Oczywiście, że Bońka. To znaczy na europejskim rynku piłkarz Groźny jest w akcjach pod bramką Smolarek, a i mój kolega po fachu — Młynarczyk zna swoje rzemiosło.

— Chętnie dzieli się pan z nami swoimi uwagami...

— Nie rozumiem o czym panowie mówią. Wykonuję określony zawód i muszę panom służyć. Przecież jesteśmy zawodowcami i wzajemnie pracujemy. To dla mnie nie pierwszyzna udzielać wywiadów tuż przed spotkaniem...

Belgowie zjawiają się na kolacji, dziennikarze nadają korespondencję do macierzystych redakcji, a ja usiłuję odwiedzić polskich piłkarzy. Dowiaduję się, że wypoczywają w starym zameczku pod Tychami. Udajemy się w tym kierunku samochodem. Dojechać niepodobna. Zatrzymuje nas jeden z niebieskich fiatów 125p „lotnej brygady" i zawracamy do hotelu. A tu wre „nocne życie". W barku panie najstarszej profesji na świecie oblegane są przez kibiców belgijskich. Stawki wygórowane. Jedna „usługa" kosztuje 100 dolarów. Według ludzi siedzących „w temacie" dwa razy drożej niż „stawki" obowiązujące w całym kraju. No cóż mecz Polska — Belgia zdarza się raz na kilka lat...

Na kolacji spotykam w restauracji wiceprezesa poznańskiego Lecha — Hilarego Nowaka. To barwna i ciesząca się szacunkiem w piłkarskim świecie postać.

— Słyszałem, że tak się wam spodobał Romke, że teraz widzielibyście w swoich szeregach następnego piłkarza Widzewa — Wijasa?

— Jak to, przecież odbywa służbę wojskową? Więc nie rozumiem tego pytania?

— Ma on jednak kontynuować ją nie w Łodzi, lecz w Poznaniu i grać w pańskim klubie?

— Zapewniam pana, że na razie nic na ten temat nie wiadomo.

Uśmiechamy się do siebie, wymieniamy wizytówki i żegnamy w poczuciu „dobrze spełnionego obowiązku" Dowiaduję się, że w hotelu „Silesia" zjawili się już sędziowie, jest obserwator z ramienia UEFA — Horst Schmidt z RFN. Opiekuje się nimi znany polski arbiter międzynarodowy — Alojzy Jarguz.

Środa rano. Kilka godzin przed występem biało-czerwonych w Chorzowie. Hotel „Katowice". Coraz więcej kibiców z Łodzi. Są zaprzyjaźnieni z Józefem Młynarczykiem i Mirosławem Tłokińskim znani łódzcy cukiernicy — bracia Zalewscy. Za chwilę od bramkarza Bolesty otrzymują oni karty wstępu przesłane im „przez „Józka" i nie posiadają się z radości. Ruch natomiast w hotelu ogromny. W jednej sali konferencyjnej obraduje GKKFiS, w drugiej prezydium PZPN. Chyba nie chodzi o wysokość premii pieniężnych, bo te zostały zapewne ustalone wcześniej, podczas pobytu ministra Mariana Renkego i prezesa PZPN — Zdzisława Brzostowskiego na obozie w Wiśle.

Godzina 15.40. Kilkoma autokarami ruszamy na Stadion Śląski w Chorzowie. Prowadzi nas milicyjny wóz na światłach, więc mamy wolną drogę. Szybko jesteśmy na miejscu. Znów starzy znajomi. Rodzice Smolarka, Tadeusz Gapiński, Paweł Kaczorowski. Są również dwie żony piłkarzy Widzewa — Smolarka i Wójcickiego. Żartujemy i oczekujemy na autokar, który ma przywieźć biało-czerwonych. Działa dziennikarska giełda, „czerwone diabły" rozbierają się już w szatni, dowiaduję się również, że przy stadionie umiejscowiono kolejnych do spraw wykroczeń. Wreszcie przyjechali. Na czele w polonezie Dolny z Górnika Wałbrzych, za nim w fiacie Komornicki z zabrzańskiego Górnika, dalej fiat z „drogówki" i wreszcie autokar. Wymiana uśmiechów i szybko znikają w szatni. Boniek zaś wita się ze znajomymi i po cichu zwierza się: — Drżą mi nogi...

Za chwilę jednak zjawia się w Biurze Prasowym, popija kawę, ze spokojem wymienia uwagi, twierdzi, że jego syn będzie jeszcze lepiej grał w piłkę nożną...

Udaję się do loży prasowej. Rwetes niesamowity. Cały stadion już wrze. Okrzyki przeplatają się z gwizdami. Punktualnie o godz. 17 zjawiają się na płycie stadionu Belgowie. Wita ich taki koncert gwizdów, że muszę zatkać uszy. Chcą chyba zmęczyć polskich kibiców. Po spotkaniu dowiaduję się, że w ramach prowadzenia psychologicznej wojny w ostatniej chwili zażądali oni sobie zapoznania się z murawą. Poprzedniego dnia to ich nie interesowało. Piechniczek był zdenerwowany, nie rozumiejąc kto ich wpuścił na boisko. Okazało się, że decyzję taką podjął obserwator z ramienia UEFA.

Pod bramką gdzie rozgrzewają się Belgowie pojawia się nagle znany aktor Bogdan Łazuka. To przyjaciel polskich piłkarzy od czasów pamiętnego hiszpańskiego „Mundialu". Ubrany w dres z napisem „Polska" ustawia piłkę na punkcie oznaczającym 11 metrów przed bramką i precyzyjnym uderzeniem umieszcza ją w siatce. Na trybunach wybuch radości.

Na 10 minut przed rozpoczęciem meczu spiker ogłasza składy obydwu zespołów. Belgowie bez Vercauterena, Polacy bez Buncola, ale z Komornickim i Dziekanowskim. Po przeczytaniu nazwiska tego ostatniego na trybunach rozlegają się przeciągłe gwizdy...

W szatni gratulacje składa piłkarzom wicepremier Mieczysław Rakowski. Trener Guy Thys zdenerwowany. Tłumaczy naszym kolegom po piórze z Belgii, że arbiter wypaczył wynik spotkania. Musiał przede wszystkim podyktować jedenastkę za faul na Geretsie. Nic dalej nie chce komentować i szybko znika pod prysznicem. Nie przyjdzie później na konferencję prasową, podobnie jak tamtejsi żurnaliści. Gerets każe pozdrowić trenera Piechniczka i życzyć mu sukcesów na meksykańskich stadionach. Belgowie szybko pakują się, wsiadają do autokaru i udają się na lotnisko, skąd swoim Boeingiem udają się do kraju. Z zaproszenia na wspólną kolację z polskimi piłkarzami nie korzystają. Jedzą ją w samolocie...

A na górze konferencja prasowa z Antonim Piechniczkiem. Witają go oklaski, gdy pojawia się na sali. Pada wiele bezsensownych pytań. Trener uparcie odpowiada:

— Panowie, oczywiście że można mieć zastrzeżenia co do poziomu spotkania. Nie zapominajcie jednak, że była to typowa gra o wynik. I co? Jesteśmy w finałach mistrzostw świata czy też nie? Dla mnie najlepszymi formacjami w drużynie były: pomoc (najlepszy mecz, jaki widziałem, tego członu zespołu od momentu kiedy prowadzę reprezentację), obrona, no i przede wszystkim Józek Młynarczyk. Czy z tego składu, którym dysponuje można zrobić drużynę marzeń? Kiedyś pracowałem w BKS Bielsko-Biała. Dyrektor zakładów produkujących „maluchy" zadał mi pytanie: — Panie Antoni, czy nie mógłby pan pokusić się o wywalczenie awansu do ekstraklasy? Odpowiedziałem: — A czy nie mógłby pan produkować „mercedesów"?... Dodam jednak, że możliwości drużyny, którą dysponuję są jednak duże...

Na dole oblegany jest przez dziennikarzy Zbigniew Boniek. Wskazują, że na początku spotkania wielu piłkarzy polskich przewracało się na boisku bez kontaktu z rywalem. Chcieli dociec czemu to przypisać? Pytali także dlaczego sukces został osiągnięty w tak słabym stylu? Zdenerwowany Boniek w końcu zripostował: — Panowie jesteście chyba polskimi dziennikarzami. Jesteśmy w finałach? Tak. To po co dzielimy włos na czworo... i udał się na wywiad do telewizji. Seans odbywał się na piłkarskiej płycie, gdzie pół godziny temu trwał zacięty, piłkarski bój. Typowe rozmówki. Gdy prowadzący rozmówki Andrzej Żmuda gratuluje Dziekanowskiemu dobrego występu „Zibi" z przekąsem rzuca z boku: — Nie przesadzajmy...

Schodząc z boiska rozmawiam z piłkarzem Widzewa — Kazimierzem Przybysiem.

— Ciężko było?

— Bardzo ciężko. Od początku spotkania miałem opiekować się Voordeckersem. On mnie uprzykrzał życie, ja jemu. W końcu ja otrzymałem żółtą kartkę i to tuż na początku spotkania. Nie powiem, że faulowałem umyślnie, bo byłaby to nieprawda, ale napastnik gości musiał wiedzieć z kim ma do czynienia.

— To dobry piłkarz. A jak było z tymi zagraniami, po których według opinii Belgów sędzia miał podyktować rzuty karne?

— Geretsa „ciąłem" na pewno przed linią pola karnego, a zagrania ręką w obrębie szesnastki nie było, ponieważ z tyłu nieprawidłowo atakował mnie rywal.

Wracamy do hotelu. W autokarze red. Stefan Szczepłek z „Piłki Nożnej" pokazuje mi, jaką pamiątkę otrzymał po dzisiejszym spotkaniu. Z dumą wyjmuje z torby trykot, w którym walczyli Belgowie. Patrzę na numer na plecach. Osiem, a więc koszulka należąca do Scifo, naturalizowanego w Belgii Włocha i znakomitego przede wszystkim piłkarza. Jest i czerwona z numerem dziewięć, a więc podarunek od Zbigniewa Bońka.

Hotel „Warszawa" w Katowicach. Razem z bohaterem meczu Józefem Młynarczykiem oraz jego przyjaciółmi śledzimy w moim pokoju jeszcze raz telewizyjny zapis tego spotkania. Józek z wielką uwagą słucha tego co mówi Jan Tomaszewski. Uśmiecha się co chwilę, gdy „Tomek" rzuca pod jego adresem same superlatywy.

— Józek to był twój naprawdę wielki mecz! Nie chce powiedzieć, że sam go wygrałeś lub jak kto woli zremisowałeś? Czy to, że grając w Bastii musisz myśleć za swoich obrońców i niekiedy wyręczać ich na polu karnym spowodowało, że grasz coraz lepiej?

— Nie przesadzaj. Rutyna, doświadczenie zrobiły po prostu swoje.

— Grasz jednak bardzo dobrze na przedpolu. W porównaniu ze zwycięskim meczem na stadionie w Lipsku, to można rzec że jest dzień do nocy?

— To prawda. Ale to przyszło wraz z liczbą, nie tylko reprezentacyjnych występów.

— Za ile graliście?

— Przyznam ci się szczerze, że podczas zgrupowania w Wiśle, nie myśleliśmy absolutnie o pieniądzach. To nie docierało do naszej świadomości. Po prostu chcieliśmy awansować, czuliśmy się Polakami i to nas obligowało do wzmożonego wysiłku, zarówno podczas treningów, jak i na boisku. Jakąś tam kwotę otrzymaliśmy...

Jaką? Z moich nieoficjalnych ustaleń wynika, że każdy z piłkarzy otrzymał po 300 dolarów i milion złotych polskich. Dużo czy mało?

W czwartek rano opuszczam pokój w gościnnym hotelu „Warszawa". Spotykam nie wyspanego kibica belgijskiego. — Przyjdzie nam jeszcze rywalizować z Holandią — mówi zmartwiony. My ten kłopot mamy już z głowy. Na dole w recepcji oddaję klucze. Ze zdumieniem stwierdzam, że w przegródce pod numerem 327 „leży sobie spokojnie" bilet na mecz Polska — Belgia. To niemożliwe żeby się zmarnował i żeby jeden z kibiców nie oglądał tego spotkania...

KRZYSZTOF ZAJĄC

Król westernu

O Bojszowach pisano w „Los Angeles Times", że są ojczyzną polskiego westernu, o Józefie Kłyku — że królem tego gatunku. Autor reportażu w amerykańskim piśmie zapomniał wyjaśnić, że Bojszowy to mała wioska koło Pszczyny, a Kłyk jest tylko dlatego największym polskim twórcą westernów, że jedynym. Należało też powiedzieć, że jest amatorem. Lecz tego Amerykanie chyba by nie zrozumieli. No bo jak można nazwać amatorem kogoś, kto przez niespełna dwadzieścia lat nakręcił osiemnaście filmów, krótko-, średnio- i długometrażowych.

Wkrótce po ukazaniu się tego artykułu, Kłyk otrzymał list od pisarza z USA, który zaproponował współpracę. — „Ja napiszę scenariusz, pan nakręci film, a razem zrobimy bussines". Kłyk odpisał po polsku, tłumacz przetłumaczył na angielski, że bardzo dziękuje za propozycję i proponuje szukanie polskich motywów. To był jego warunek współpracy. O pieniądzach nie wspomniał, bo tego to już na pewno pisarz by nie zrozumiał. Myśli taki sobie, że jak Kłyk dysponuje końmi, siodłami, karabinami, rewolwerami, ma aktorów i operatora... to musi to być poważny producent. Filmy też muszą na siebie zarobić. Dużo, bardzo dużo dolarów.

Podobnie, jak amerykański pisarz, myślą mieszkańcy wioski, choć znają przecież polskie realia. Oni przecież widzieli zagranicznych dziennikarzy i filmowców, czytali o Kłyku w gazetach, oglądali go w telewizji. Wiedzą, że dostaje różne nagrody. Niewątpliwie musi na tym wszystkim sporo zarabiać.

Kłyk twierdzi, że na kręcenie nie wydawał więcej niż inni na wódkę i papierosy — żona nawet wolała takie rozwiązanie, choć — jak to kobieta — duszy artysty zrozumieć nie potrafi. Na swoich filmach jak na razie Kłyk nic nie zarobił. Fiat, którym jeździ ostatnimi czasy, jest od ciotki z Anglii, która jak ujrzała go w tamtejszej telewizji, to tak się ucieszyła, że sprezentowała mu samochód. A nowy, lepszy sprzęt filmowy będzie od wujka z RFN — bo i tam pokazywali reportaż o Kłyku. Z tą ciotką i wujkiem to możliwe, że jest odwrotnie: ciotka żyje w RFN, wujek w Wielkiej Brytanii. Rodzinę Kłyk ma rozrzuconą po całym świecie i trudno spamiętać kto w jakim kraju żyje. Trudno oczekiwać by chodził do każdego i wyjaśniał, przekonywał skąd ma pieniądze — i tak by nie uwierzyli.

W brulionie w kratkę Kłyk notuje pomysły, opisy kostiumów, projekty dekoracji, notatki o tym, że trzeba namalować obraz nad ladą w saloonie, naprawić siodła, zrobić siodła, poręcze. Pod datą 25.03.1984 r. widnieje zapis: realizacja epizodu do filmu „Full śmierci" z udziałem ABC-NEWS. Trzy dni przebywali w Bojszowach szukając siły amerykańskiego mitu. Byli zdumieni, że filmy kręcono na tak prymitywnym sprzęcie, montowano bezpośrednio na projektorze. Zaskoczyło ich, że żaden z rekwizytów nie był sprowadzony z Ameryki, a *wszystko: siodła*, broń, ubrania, buty Kłyk wykonał własnoręcznie.

Dla polskich dziennikarzy Kłyk stał się tak upragnionym, najczęściej opisywanym, pozytywnym bohaterem. Gdy przyjeżdżają kolejni, on zawsze uprzejmy, wyjaśnia, opowiada, pokazuje i prosi... by nie pisać, że to wszystko on sam, własną pracą, osiągnął. Gdy w jednej z lokalnych gazet tak napisano to potem niektórzy obrażali się na Kłyka. Więc trzeba by ich wymienić wszystkich. Listy zasłużonych podawać nie będziemy, kolejka do kasy ustawi się bez tego.

Kłyk otrzymał nagrodę Śląskiego Towarzystwa Filmowego, na Festiwalu Gdańskim, w ubiegłym roku, wyróżniła go Gazeta Festiwalowa, prezentowano go — ironicznie — w kronice filmowej. A „bohater pozytywny" spaceruje po pokoju uspokajając płaczącego malucha. I gdy ten niewysoki, nie tak smukły jak niegdyś, trzydziestoparolatek opowiada o swojej pracy, wydaje się, że mówi nie o swoich dwudziestu latach pasji kręcenia, lecz że opowiada życiorys kogoś zupełnie innego.

Dopiero jak weźmie rewolwer — wprawdzie to atrapa, lecz huk i dym daje jak prawdziwy — i zacznie pokazywać sztuczki z bronią wyuczone po wielogodzinnych ćwiczeniach, jak miękko przejedzie ręką po siodle, gdy pokaże żartobliwy list gończy „Poszukiwany Józef Kłyk" wiszący na ścianie — wtedy zaczyna się wierzyć, że rewolwerowiec z filmów i on to jedna i ta sama osoba. Z pokoju, gdzie na ścianie wisi karabin, siodła leżą rzucone w kąt koło kominka, a regał rozpychany jest przez książki o Dzikim Zachodzie i stosy oprawionych roczników „Filmu", zaprowadzi do piwniczki będącej małą salką projekcyjną, saloonem, magazynem kostiumów i rekwizytów zarazem. Gdy projektor zacznie terkotać, gość raz po raz spoglądać będzie na obu: tego, który potężnym uderzeniem pięści powala na ziemię przeciwników i drugiego, niepewnie oczekującego na reakcję widza.

Codziennie, kilka minut po piętnastej, Józef Kłyk wraca do domu, jednego z kilkunastu identycznych znajdujących się na obrzeżach Pszczyny. Wraca z Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Kłobucku, gdzie jest konserwatorem maszyn. Dopiero w sobotę, gdy pogoda dopisuje, pakuje rekwizyty — a jest ich tyle, że żona i dziecko ledwo się mieszczą w samochodzie — i jedzie do rodzinnej wioski kręcić swoje filmy.

Chciał uczyć się w liceum plastycznym, tak jak mu radził ksiądz. Jednak na wsi myśli się praktycznie i ostatecznie znalazł się w technikum budowlanym. Przerwał naukę, by przez dziesięć lat wraz z kinem objazdowym wędrować po okolicznych wioskach. Co wieczór stał przy projektorze i pracę tę porzucił dopiero po założeniu rodziny. Dziś nie ma czasu na chodzenie do kina. Absorbuje go praca zawodowa, żona i niedawno urodzony potomek. W wolnych chwilach woli kręcić niż oglądać. Czasem tylko siada przed telewizorem, lecz po to by podglądać technikę mistrzów i zwykłych wyrobników kina. Siedzi w fotelu, palce składa w prostokąt, tak jakby to był obiektyw kamery i kadruje. Z chłopca zafascynowanego ruchomym obrazem przeobraził się w kontynuatora najstarszego mitu kina: mocnego człowieka walczącego ze złem.

Zaczynał w roku 1967, gdy kamera była czymś na tyle niespotykanym, że ludzie radzili mu pójść do sołtysa, zarejestrować. Kłyk, a wtedy jeszcze po prostu Józek, nie słuchał rad ostrożnych, lecz razem z kolegami wybrał się na strych gdzie kręcili swój pierwszy film. Nie przeszkadzał im brak światła ani scenariusza. Zauroczeni terkotem prostej „ósemki" wygłupiali się przed obiektywem kamery, ciekawi jak to będzie gdy celuloid uwieczni ich twarze i gesty. Taśma filmowa okazała się mniej tolerancyjna niż chłopcy i wkrótce okazało się, że utrwaliły się tylko jasne smugi światła wyłaniające się z ciemności. To doświadczenie nie zniechęciło Kłyka.

Kamerę skierował na telewizor i zarejestrował jeden z pierwszych filmów Chaplina. Potem wielokrotnie odtwarzając nakręconą opowiastkę obserwował zachowanie komika. Przed lustrem uczył się min, gestów. Budował dekoracje, przygotowywał kostiumy... aż nadszedł dzień gdy śmieszny człowieczek w meloniku z nieodłączną laseczką, stanął przed kamerą. Ktoś nacisnął spust. Już wkrótce koledzy oglądali Chaplina jak żywego i do tego w kolorze. Potem Kłyk nakręcił koncert Hendrixa. Aktorem był odpowiednio ucharakteryzowany kolega. Na dyskotece — możliwe, że to była pierwsza w Polsce taka dyskoteka — tańczący słuchając muzyki idola jednocześnie oglądali film z jego koncertu. A Kłyk cieszył się, gdy wszyscy pytali, jak zdobył ten film wierząc, że oglądali prawdziwego Hendrixa.

Nieśmiało, tak by nikt z wioski nie widział, Kłyk z kolegami wyniósł się pod las „Ameryka", kręcić pierwszy western. Przez ten las chodziło się jeszcze przed wojną do kopalni, której właściciel przywędrował w te okolice z USA. Czasem fabrykant zapraszał dziadka Kłyka, brał swojego winczestera, dziad flintę kupioną u Żyda w Krakowie i sprawdzali kto jest lepszym strzelcem.

Na łące podpatrzył chłopców stary woźnica. Ten zamiast naśmiewać się, zaproponował pomoc. Nauczył chłopców jeździć na koniu, użyczał własnej stodoły. Był pierwszym dorosłym w ich gronie. Za nim przyszli inni. Niektórych kierowała ciekawość, chcieli zobaczyć co też te chłopaki na łąkach wyrabiają. Niekiedy przychodzili by skontrolować czy pożyczonemu koniowi nie dzieje się krzywda, zobaczyć do czego potrzebna była bryczka, którą niegdyś jeździło się do kościoła. Jedni obserwowali, inni, gdy brakowało aktorów, występowali w jakimś epizodzie, lub pomagali przy ustawianiu dekoracji. Niektórzy służyli dobrą radą, lub dopingowali złośliwym żartem. Bywało, że kamerę uruchamiał podpity gospodarz i wtedy wszystko kręcone było ze sztywnego statywu, tak by obraz nie chwiał się wraz z „operatorem". W słoneczne niedzielne przedpołudnia na łące robiło się gwarno i wesoło jak na odpuście czy jarmarku.

Kręcono bójki. Chłopaki krewkie, a gdy jeszcze dla kurażu wypili co nieco, zdarzało się, że pięść docierała do celu zamiast markować uderzenie. Wtedy już nie zawsze pamiętano, kto w scenariuszu ma zostać zwycięzcą, a kto pokonanym. Nie zawsze ci co mieli wygrać, wygrywali. Godziła ich wspólna chęć zabawy w kino. Jednak największy kłopot był z końmi, które kierowały niewprawnymi jeźdźcami i za nic nie chciały uznać, że stajnia jest bankiem i wjeżdżać im tam nie wolno. Tak powstawały kolejne filmy, które potem Bojszowianie oglądali na rozwieszonym w chacie czy stodole płótnie, głośno komentując że tego to koń, tamtego bryczka, a ten przy barze to pewnie prawdziwie pijany bo gęba mu się świeci, a oczka takie maślane.

Przez lata Kłyk był wierny westernowi, lecz próbował też i innych gatunków filmowych. Powstał fabularyzowany, półgodzinny dokument „Ku Polsce" o walkach powstańców śląskich. Wielu „aktorów" pamiętało tamte czasy i oponowali, gdy Kłyk chciał im narzucać własną wizję wydarzeń. Nie chcieli zachować koniecznej dyscypliny na planie. Raz zdarzyło się, że jeden z ludzi przebrany za niemieckiego żołnierza wyskoczył na drogę i grożąc atrapą karabinu przeraził jadącą wozem kobietę. Ludzie nie mieli oporów przed przebieraniem się w niemieckie mundury, przecież niejeden nosił taki sam przed laty. Protestowali, gdy kazano im grać zbyt „czarne" charaktery. Oni wiedzieli, że ku Polsce szło się różnymi drogami. Mieszkańcy jednej wsi, ci wcieleni do Wehrmachtu i ci walczący w wojsku polskim, spotykali się niejednokrotnie w przeciwnych okopach. Dziś na zdjęciach w rodzinnych albumach ubrani w różne mundury, znajdują się tuż obok siebie.

Dla niektórych droga do polskości wiodła przez daleką Amerykę. To gdzieś z tych okolic w połowie XIX w. ksiądz Moczygęba poprowadził grupę emigrantów. Dotarli do Teksasu. Wyobrażenia, jakie mieli, zbyt drastycznie różniły się od tego co ujrzeli i rozgoryczeni wieśniacy wystąpili przeciwko swojemu przewodnikowi. Dźwięk dzwonów kościelnych przywiezionych z kraju uspokoił ludzi. Powstała osada, którą nazwano Panna Maria. Ten autentyczny fakt stał się dla Kłyka inspiracją do nakręcenia opowieści o śląskim emigrancie Wawrzku Złotko — kowalu z Bojszowów, który wędrując przez prerię spotyka rodaków służących w amerykańskiej armii. Kawalerzyści okazują się być mieszkańcami Panny Marii, do której Złotko wyrusza. W drodze do osady bohater grany przez samego Kłyka, walczy z mitycznym Buffalo Billem, bierze udział w licznych bójkach i strzelaninach. Trup ściele się gęsto, lecz Złotko, jak przystało na klasyczny western, ze wszystkich potyczek wychodzi zwycięsko. Specyficznego uroku dodaje filmowi fakt, że zamiast dialogów trudnych do technicznej realizacji, obraz w filmie komentowany jest śląską gwarą bohatera.

„Człowiek znikąd" — bo tak zatytułował Kłyk swój film, półtoragodzinny western, kręcony był przez trzy lata i jego produkcja ukończona została w 1983 r. Pracy nie przerwał stan wojenny, choć uczynił ją trudniejszą. Na planie często spotykali się najbardziej aktywni uczestnicy wydarzeń. Tu znajdowali wytchnienie, tu brali odwet kształtując rzeczywistość zgodnie ze swoją wolą. Czarno-biały świat westernu, prosty i jednoznaczny, gdzie dobro jest dobrem, a zło złem, był doskonałym remedium na trudną do zaakceptowania codzienność. Zdarzyło się, że Kłyk jadąc samochodem na plan, został zatrzymany przez milicjantów. Na widok karabinów ustawionych rzędem obok Fiata, przejeżdżający kierowcy gwałtownie zwalniali. A Kłyk myślał tylko o tym, by mu niczego nie zarekwirowali i o ludziach czekających na bojszowskich łąkach.

„Full śmierci" to aktualnie kręcony, dalszy ciąg opowieści o losach Wawrzka Złotko. Lecz choć Kłyk posiada lepszy sprzęt, choć różni ludzie deklarują swoją pomoc, kręcenie staje się coraz trudniejsze. Ludzie, gdy Kłyk umawia się z nimi na zdjęcia, pytają czy będą znowu jacyś dziennikarze lub filmowcy, bo inaczej to im się nie chce. Wszyscy wydorośleli, wyrośli z filmu. Każdy ma swoją rodzinę, problemy codziennego życia, a i pewnie trochę są rozżaleni, że cała sława przypadła Kłykowi. Gospodarze wypożyczający dotąd konie za pół litra, od „sławnego Kłyka" żądają więcej i butelką nie dają się opędzić. Zmienia się też otaczający świat.

Nad łąkami pociętymi kopalnianymi wykopami ciągną się linie wysokiego napięcia. Drewniane domy zastępowane są murowanymi klockami. Stare sprzęty rozpadają się, a konie tak niegdyś powszechne, są coraz trudniej osiągalne. Nie jest łatwo także Kłykowi. Kiedyś wystarczyło wychylić się z okna rodzinnego domu i jak była pogoda, można było szybko skrzyknąć chłopaków. Dziś kręcenie poprzedzają długie godziny pakowania samochodu i często nim Kłyk zdąży dojechać z Pszczyny do Bojszowów słońce ginie za ciemnymi chmurami i cały dzień jest zmarnowany. Dlatego nie wiadomo kiedy zostanie ukończona druga część opowieści o dzielnym Ślązaku walczącym ze złem. Czy Kłyk zawiedzie swoich bohaterów na powrót do Polski? Czy mając w pamięci ziemię, którą kiedyś zostawili będą się czuć w nowych realiach tak samo obco jak kiedyś w Teksasie?

Rzeczywistość Kłyka nie inspiruje. Kiedyś, gdy pracował w PGR poproszono go o nakręcenie filmu ze żniw i otwarcia remizy strażackiej. Podczas sianokosów, gdy obiektyw skierował na pijących wódkę, rzucono w niego butelką. W czasie uroczystego otwarcia remizy, stremowany ciążącą na nim odpowiedzialnością, nakręcił nie te uściski rąk co powinien. Ponadto dwukrotnie naświetlił tę samą taśmę i na tle gadających głów pojawili się interweniujący strażacy. Zleceniodawcy to się wprawdzie podobało, lecz Kłyk zniechęcił się do produkcji na społeczne zamówienie. Jeżeli nie będzie mógł kręcić westernów to sięgnie po bajdy, legendy, w których roi się od tajemniczych zjaw, upiorów i innych nieziemskich stworów. Jednak na razie Kłyk nie martwi się o przyszłość. Wierzy, że western przetrwa.

Młody polski reżyser, który chce kręcić film o Kłyku, wymyślił scenę, w której przez miasteczko kroczy uzbrojony po zęby rewolwerowiec. Patrzy na ludzi stłoczonych w kolejkach, biernie oczekujących. Przeciwko komu wyciągnie rewolwer? Jest ich dwóch. Jeden spokojny, bez pretensji do życia i świata — zwyczajny, drugi wyniosły, czasem bezwzględny, zapamiętały w walce o sprawiedliwość. Obaj dalecy od rzeczywistości natrętnie wciskającej się do zamkniętego świata prywatności i marzeń. Kłyk nigdy nie zwrócił kamery na swoją twarz, jak uczynił to Filip Mosz w „Amatorze". Czy powinien?

Filmów Kłyka obejrzeć się nie uda prawdopodobnie jeszcze długo. Nie ma on papierka zawodowca, nie jest związany z żadnym klubem filmowym. Kręci filmy za własne pieniądze, więc nawet za darmo nie wypożyczy ich jakieś okręgowe przedsiębiorstwo rozpowszechniania. Przepisy nie przewidują takich precedensów. „Człowieka znikąd" przekazał do Śląskiego Towarzystwa Filmowego, lecz okazało się, że mecenas jest w kłopotliwej sytuacji, gdyż także nie ma uprawnień do prowadzenia dystrybucji. Zagraniczni dziennikarze odwiedzający Kłyka przekonani, że z własnej woli nie pokazuje filmów w Polsce, proponują mu sprzedaż za dolary. Kłyk jak na razie odmawia. Boi się nawet wypożyczyć filmy, gdyż nie ma kopii — podobno nie ma u nas odpowiednich warunków technicznych na wykonanie tej operacji. Niemieccy dziennikarze proponowali, że wykonają mu to gratis. Życzliwi ostrzegają, że lepiej nie zgadzać się na takie rozwiązanie, bo gdy taśmy znajdą się za granicą, mogą już nigdy do Kłyka nie wrócić. Jeździ więc Kłyk z rolkami filmów, zapraszany do domów kultury, klubów filmowych. Odbiera rodzinie i filmowi cenny czas. A jego przecież interesuje tylko jedno: kręcić dalej. Jak długo jeszcze?

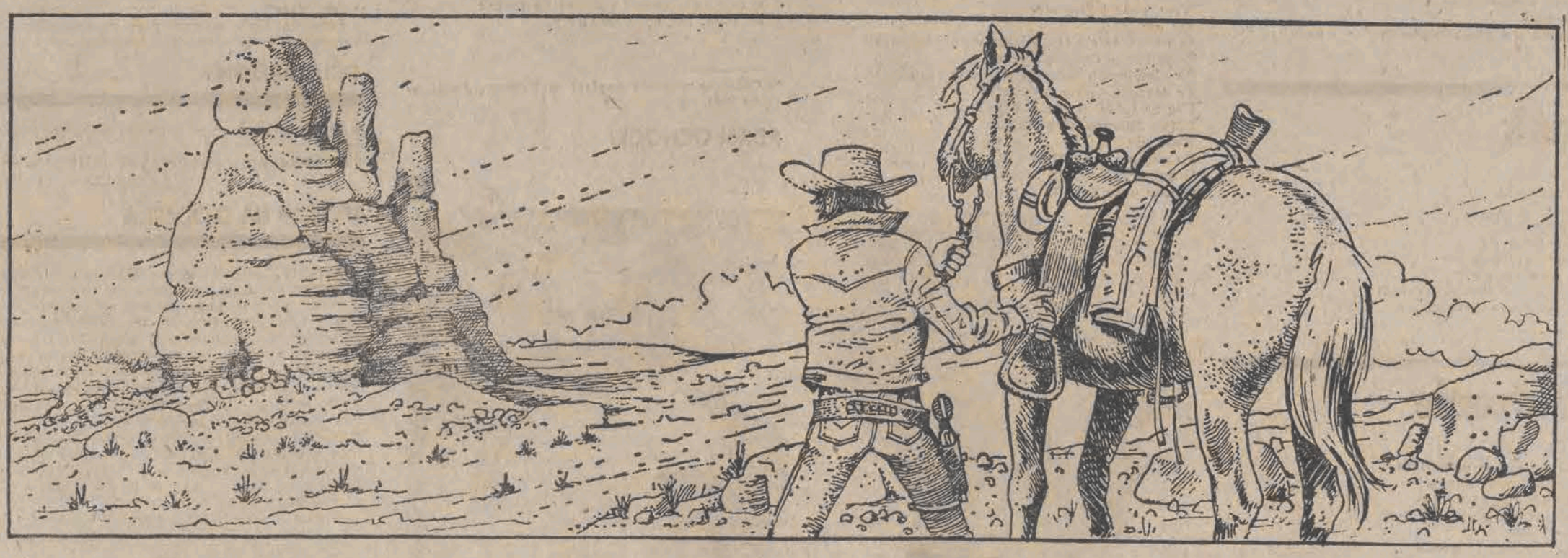

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Marek Czuku

(debiut)

☆ ★ ☆

walec
gniecie świat
ciebie mnie
osie mienią się
złotem
a za nim
na postronku
wlecze się
ludzkość

☆ ★ ☆

nie zabieraj mi nocy
noc jest narkotykiem
pod jego wpływem
płynę po wzburzonej rzece zdarzeń
które się nie zdarzyły
które się nie wyśniły
noc jest jaśniejsza od dnia
a jej ciemność
puszysta i kolorowa jak czerń
otula muślinową powłoką
spragniona jaźń
i strudzone ciało
nie krzycz na mnie
gdy zamykam się
w klatce nocy

Nauka

uczymy się poezji
od pijanego Gałczyńskiego
uczymy się malarstwa
od obłąkanego van Gogha
uczymy się muzyki
od głuchego Beethovena
uczymy się siebie
w prywatnej krainie intymności
którą kontroluje
nieodłączny subiektywizm
uczymy się od wielkich i małych
od wyklętych pokoleń
od dziadów kościelnych

Nemezis nauczy nas życia

Słowo

powiedz słowo
a policzone ci będzie
w słowach ptakach chmurach

powiedz słowo
a wysłuchane będzie
przez ciszę mgłę wiatr

powiedz słowo
a dane ci będzie
ogień woda słońce

powiedz słowo
a wymodlone ci będzie
wieczność za pocałunek

powiedz słowo
a uczynione będzie
zło dobro jedno z dwojga

powiedz słowo
a zabrane ci będzie
radość dom nadzieja

powiedz słowo
tylko nie za duże
to duże zostaw sobie
na koniec
w wersji dla głuchoniemych

Znak

na dany znak
machnij ręką
zamknij usta
kopnij leżącego
podpal świątynię
stań na baczność
pozostanie ci ślad w kieszeni
po trzydziestu srebrnikach

Widzenie

kształtu już nie pamiętam
beznamiętność zabrała
obraz ginącego księżyca
tego szarlatana zakochanych
widzę tylko
astro – hiper — stereo
skomputeryzowane serce

13 września br. minęła 91 rocznica urodzin Juliana Tuwima.

Juliana Tuwima łączyły ze starszym od niego o siedem lat Arturem Rubinsteinem nie tylko wspólne miejsce urodzenia i więzy przyjaźni. Poeta był skoligacony z wirtuozem poprzez swoją wujenkę Franciszkę z domu Landau, Henrykową Krukowską, której brat Maurycy ożenił się z siostrą Rubinsteina — Jadwigą.

Tę ciekawostkę rodzinną wyczytałem w przypisach wydanego nakładem „Czytelnika" dzieła: „Julian Tuwim. Listy do przyjaciół-pisarzy" Z notki dowiadujemy się dalej, że Rubinsteinowie wspomagali finansowo Tuwimów na obczyźnie, witali ich w porcie nowojorskim w maju 1941, później spotykali się od czasu do czasu. I na zakończenie — Tuwim jest autorem wiersza „Do Artura Rubinsteina" (Fragmenty), „Ilustrowana Republika" (Łódź) 1.1. 1929 r.".

„Republika" to przecież moja macierzysta, przedwojenna redakcja! A ja, chociaż pilnie chłonąłem wszystko, co miało związek z poetą, nie znałem tego wiersza. Uszedł jakoś mej uwagi. Wtedy, gdy został wydrukowany, chodziłem jeszcze do szkoły, kończyłem piętnaście lat. Nie czytałem go również później — utwór nie wszedł do żadnego z wydanych zbiorów poezji Tuwima.

Wyszukałem zatem pożółkły rocznik „Republiki" i przepisałem fascynujące strofy, w których Wielki Łodzianin, składając hołd Wielkiemu Łodzianinowi, wspomina ich rodzinne miasto i minione lata.

JULIAN TUWIM

Powiedz im, jak było wtedy...

Do Artura Rubinsteina

(Fragmenty)

Ten wiersz do ciebie, Arturze,
Zaczyna się jak mit,
Jak coś,
Co ci się dzisiaj może obcem wyda.
Zabawne... Słyszysz rytm?
Już od początku
— Toute proportion gardee —
Uderzył pod Norwida,
Pełen „niedocieczonego wątku",
Wikła się w ciemnym kątku
Pamięci,
Po czarno-białej wspomnień klawiaturze.

Oktaw, tonacji, próbuje:
Ta? Nie, nie ta...
Niżej... Wyżej...
Ta? Nie ta...
Dalej... bliżej...
Aż
Znajdzie!
I ciosem żelaznej pieczęci,
Czyli Poetyckiej Racji,
Jak wściekłą pięścią w twarz
Uderzy,
Zakuje,
Rozpęta na klawiaturze
Burzę
Rewolucyjnej etiudy
Tak, jak ty ją grasz,
Arturze.
Kto wie?... kto wie?...
A może będzie nokturn?
Może ballada?
Rytm,
Jak krew,
Faluje, pulsuje,
Słucham tego tętna jak doktor,
Ciągle, jeszcze próbuję
Tonu, tonu,
Struny łączą w akordy niepewne,
Po trzy... po dwie...
Znów tamten wiersz!
Jak opętanie śpiewne,
Jak wołanie dzikiego dzwonu,
Który mnie zwie i zwie,
Doskonałością kusi,
Więc może lepiej nie.
Ale nie.
Ja wiem, że się ten wiersz wywikłać musi!
Że miłośnie dygocące ręce
Po klawiszach palcami wreszcie rozpromienię
Że zagram wiersz o Szopenie
I że go tobie, Arturze, poświęcę.
Paryż, Buenos Aires, Rio...
Wszędzie
Po galopie koncertów
Grasz przyjaciołom tanga.
Olejne oczy kobiet,
Kobiet nagie ramiona
Ciepło się wiją,
Gdy ujeżdżasz fortepian,
Jak błyszczącego, dzikiego mustanga,
Wplątany w grzywę strun!
Poeci wino piją
W Londynie, w Barcelonie, w Rio,
Wszędzie.
I ja też, ja też,
Słucham
Umierając rozkosznie w legendzie
Dzieciństwa, które do zgrozy urasta:
I widzę fabryk ślepia,
Domów ponurych ślepia,
Milion oczu we mnie wlepia
Zwierzę brunatne i srutne
Naszego miasta.
Pędzi, cwałuje spieniony twój mustang-
-fortepian.
Miasto Łódź,
Łódź-Fabryczna,
Powiedz, proszę, markizom z Argentyny,
Zawiadom, proszę, baronessy i hrabiny,
Co od twojego grania
Łabędzieją po nocach jak Ledy
W mdłej narkozie lirycznej,
Powiedz im, jak było WTEDY,
W Łodzi fabrycznej,
W grotesce łódzkiego mieszkania!
Patrz:
Dziczejąc w tęsknocie,
Beznadziejnie dorosły i sam,
Z sercem głęboko w piersi pogrzebanem,
Gromadzę piętra zdań,
Górą rozpaczy nad przeszłością wiszę,
Straszliwy rapsod gram,
Pochylony nad huczącym fortepianem!
Mesdames!
Wonny wianuszku zachwyconych pań!
Ja panie uraczę peanem:
Łokciami i pięściami runę na klawisze!

Rio... Dwa razy przewija się w wierszu nazwa brazylijskiej metropolii, gdzie Artur Rubinstein bawił na gościnnych występach i gdzie „poeci wino piją". Czy mógł poeta przypuszczać, że po jedenastu latach losy wojny rzucą go do tegoż miasta i że właśnie tam, w Rio de Janeiro, szalejąc z tęsknoty za ojczyzną, zacznie tworzyć w listopadzie pamiętnego roku 1940 najpiękniejszy poemat swego życia — „Kwiaty polskie"? *).

Lazur skwarnego nieba odbijający się w Atlantyku. Strzeliste, kilkupiętrowe palmy. Skaliste góry. Kaktusy, plantacje kawy i bawełny. Murzyni. Mulaci. Różnokolorowe tłumy przewalające się tętnicą Rio — Avenidą. I te kwiaty!

I nagle mgła zasnuła egzoteczny krajobraz. Wiatr przywiał odurzającą woń polskich kwiatów, wplatanych w wiejskie bukiety („Bukiety wiejskie, jak wiadomo, wiązane były wzwyż i stromo"...) — woń róż, rezedy, bzu, narcyzów, chabrów, maciejki, z łąk i ogrodów wsi dzieciństwa poety — Bedonia i Inowłodza. Zwietrzał aromat zwrotnikowej roślinności, przestały pachnieć orchidee, owe wspaniałe „Flor de Ipé, Jasmin de Cabo, Maracujá i Flamboyanty" — napłynęły falą wspomnienia, przybliżając rodzinne strony:

Dziś w Rio dżdżysty polski dzień
I polskie chmury niebo kryją,
Jak okręt-widmo, okręt-cień,
Dziś Łódź wylądowała w Rio...

To Łódź, według słów poety, uczyła go gniewu i protestu przeciwko niesprawiedliwościom społecznym, spotykanym na każdym kroku. Skrajna nędza bezrobotnych, wyzysk robotników, głodujące rzesze — i obrastanie w sadło „panów fabrykantów, panów prezesów i bogaczy, zadowolonych posiadaczy pałaców, banków i brylantów". Klitki, w których gnieździło się po parę obcych sobie rodzin, eksmisje, gruźlica trawiąca dzieci łódzkie. Jako dorastający chłopiec był świadkiem zrywu rewolucyjnego łódzkiego proletariatu, słyszał trzask brauningów na barykadach 1905 r., widział szarżę „jekaterynoburskich chwatów" i pogrzeb szesnastu bojowców.

Echa dawnych wydarzeń przebiegły ponad kontynenty, dotarły do dalekiego Rio i ze zdwojoną siłą rozbudziły wyobraźnię poety. Wyzwoliły natchnione strofy, w których pełnym głosem, najpiękniej jak tylko można, powiedział nam, jak było **wtedy**.

*) Ostatnie zwrotki napisał w Nowym Jorku w lipcu 1944.

ADAM OCHOCKI

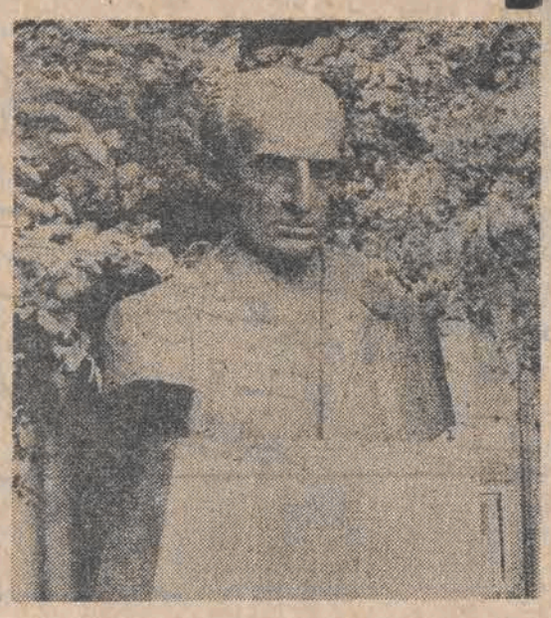

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

BIAŁA GĘŚ LEPSZA OD BIAŁEGO KRUKA

Adam Tytus Działyński (1795—1864) bibliofil, założyciel słynnej biblioteki w Kórniku koło Poznania, swój udział w powstaniu listopadowym przypłacił zaocznym skazaniem na śmierć przez Rosjan oraz konfiskatą dóbr i opieczętowaniem ruchomości przez rząd pruski. Uciekając w pośpiechu przed wyrokiem znalazł się wraz z rodziną w Krakowie pozbawiony zupełnie środków do życia. Anna Stanisławowa Potocka, córka Tytusa, opowiadała powtarzaną przez matkę powiastkę o zabawnym epizodzie charakteryzującym wybornie wielkopolskiego bibliofila:

„Sama zajęta dziećmi, do których nie mogła trzymać niańki, z domu wyjść nie mogła. Dawała Ojcu memu kilka reńskich, prosząc, by poszedł kupić mąki lub kaszy, aby było co na obiad ugotować; czekają i czekają, już blisko południa, garnczki puste stoją; nareszcie wpada mój Ojciec zadyszany, spocony, uradowany, z paczką w ręku; Matka i dzieci obstępują go zaglądając ciekawie, co przyniósł – a tu stara książka! Matka ręce załamuje, a mój Ojciec oburzony: „Alez Celinko! mówię ci, to biały kruk". Biedna Matka nie śmiała mu się przyznać, że by w tej chwili wolała białą gęś jak białego kruka!" (Anna Stanisławowa Potocka z Rymanowa, z Działyńskich ostatnia), Mój pamiętnik. Kraków 1927).

POMYSŁOWY KAZNODZIEJA

Pewien kaznodzieja, chcąc zbyć kazania, na które przygotować się nie chciał, wylazł na ambonę i powiada. „A wiecie wy, co ja mam powiedzieć?" Wszyscy odpowiedzieli, że nie wiedzą. „Otóż jeżeli wy nie wiecie, o czym mam mówić, to wam nic nie powiem" Na drugą niedzielę wylazł na ambonę i pyta: „A wiecie wy, co mam powiedzieć?" Wszyscy powiadają: „Wiemy". Otóż, jeżeli wiecie, to wam nic nie powiem". Na trzecią niedzielę wylazł znowu na ambonę i pyta: „A wiecie wy, co mam powiedzieć?" Jedni powiadają: „Wiemy", drudzy zaś: „Nie wiemy". „Otóż ci, co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą".

ILUMINACJA

Alojzy Gonzaga Fortunat Żółkowski (1777—1823) był autorem i bohaterem niezliczonych anegdot, z których niewiele tylko przetrwało do naszych czasów Jedną z nich powtarzam za „Kurierem Literacko-Naukowym" z 1933 r. (nr 30):

Już po Kongresie Wiedeńskim i po ostatecznym upadku Napoleona I, odbywała się w Warszawie w dniu imienin Aleksandra I wielka iluminacja. Każdy z mieszkańców starał się ją upiększyć stąd też sporo widać było transparentów. Między innymi wystawił i znakomity komik warszawski Alojzy Żółkowski nad oknami swego mieszkania transparent olbrzymich rozmiarów, na którym uwidocznić kazał litery N.A P.O.L.E.O.N

Kiedy o tym doniesiono wielkiemu księciu Konstantemu, kazał tenże zawołać do siebie artystę i z wielkim gniewem oświadczył mu, że jego koncepty już przebrały miarę, kiedy pozwala sobie robić drwiny z cesarza, że tym razem już mu nie przebaczy, lecz każe go natychmiast zamknąć do aresztu o chlebie i wodzie...

— Ale cóż ja jestem winien — odpowiada na to Żółkowski — że Wasza Książęca Mość i jego policja nie umieją czytać. W słowach na moim transparencie nie ma nic złego.

— Więc znowu jakaś farsa, gadaj prędzej, tłumacz się!

— Na transparencie moim znajdują się początkowe litery wyrazów „Najjaśniejszy Aleksander Pawłowicz, Opiekun Ludów Europy, Ojciec Nasz".

Podobno Konstanty uśmiał się serdecznie z konceptu i przebaczył Żółkowskiemu.

DRUK SREBRNY

Szkoda, że srebrnym drukiem książka drukowana,
Nie ozdobi druk srebrny, gdy myśl ołowiana.
Antoni Gorecki (1819)

SPOSÓB NA ZŁODZIEJA

Humiecki, wojewoda podolski, stojąc naprzeciwko zwierciadła, postrzegł, że filut, który się u niego na pokojach znajdował, srebrny lichtarz z kredensu zemknął. Wojewoda nie chcąc go zawstydzić, szczerozłotej tabakierki z kieszeni dobył i tamże ją położywszy, kazał pójść filutowi ku zwierciadłu i wziętą z kredensu do kieszeni tabakierę chowając, spyta się go, jeżeliby to widział. „Widzę", rzecze filut. Tęż dobywszy tabakierkę z kieszeni, gdy ją znowu na kredensie położył, powtóre spytał się, jeżeliby i to widział „Widzę", odpowiedział filut. „Toż samo – rzecze wojewoda — i ty ze srebrnym lichtarzem, który masz w kieszeni, uczyń, a ja naprzeciwko zwierciadła stanę"
Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1790

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

GRZEGORZ GAZDA

Paradoks Witkacego

Stulecie urodzin Stanisława Ignacego Witkiewicza, które obchodzimy w tym roku, jest wyrazem powszechnego uznania, jakim cieszy się na całym świecie dzieło tego genialnego reprezentanta dwudziestowiecznej awangardy. Od dobrych kilkunastu lat trudno sobie wyobrazić ambitny teatr, który nie miałby w repertuarze sztuk Witkacego, wystawę sztuki polskiej XX wieku, gdziekolwiek byłaby organizowana, na której jego płótna nie zajmowałyby poczesnego miejsca. Nie jest możliwym także pominięcie tego nazwiska w dziejach nowoczesnych teorii sztuki, fotografiki, estetyki czy wreszcie literatury. Twórczość Witkacego stała się jednym z najbardziej płodnych wątków roztrząsań krytyczno-literackich, analitycznych i estetycznych. Trafiła do szkolnych podręczników i bywa tematem licealnych wypracowań i uniwersyteckich egzaminów. I co warte podkreślenia, nazwisko Witkacy stało się nieodłącznym składnikiem polskiego udziału w dokonaniach światowej kultury artystycznej XX wieku. Tak jest dzisiaj, w stulecie urodzin artysty i — bez mała — w pięćdziesięciolecie jego śmierci. Bo gdyby spojrzeć na to prawdziwie bogate i zdumiewająco wszechstronne dzieło z perspektywy lat, w których powstawało, jego obraz „traci" swój kontur, wyrazistość i kulturową rangę.

Choć polska awangarda artystyczna dwudziestolecia międzywojennego, która zaczęła zdobywać teren po roku 1918, w porównaniu z europejską rewolucją w sztuce jest spóźniona o całe dziesięciolecie, wydaje się częściowo wtórna częściowo powierzchowna, to przecież zdołała skierować rodzimą kulturę na tory nowoczesności. Wschodnie i zachodnie inspiracje zrodziły programy, manifesty i idee, które zawładnęły świadomością artystów, krytyków i odbiorców sztuki. Powstawały grupy artystyczne, inicjatywy czasopiśmiennicze rozbrzmiewały dyskusje i polemiki. Zaskakiwano publiczność nawykłą do sztuki nobliwej przyporządkowanej wzniosłym celom, czy to narodowym, czy to społecznym, zabawą, zgrywą, śmiechem, anarchiczną dezynwolturą. Nie brakło też — jak w całej Europie — w tych nowych programach myśli antyburżuazyjnych, idei zmierzających ku innowacjom społecznym, kulturowym czy cywilizacyjnym. I polska awangarda chciała przewartościować wszystkie wartości w imię generalnej zasady europejskiego nowatorstwa „sztuka — życie — działanie". Nie miejsce tu, aby rozpisywać się o sprawach przecież wielokrotnie roztrząsanych i powszechnie znanych. Dwudziestolecie międzywojenne pierwszych dziesięciolecia obecnego stulecia są obecnie w nie, historia i ewolucja awangarcentrum uwagi literaturoznawców i krytyków sztuki. Futuryści, dadaiści, surrealiści, ekspresjoniści, konstruktywiści itd. itd., sakralizowani na różne sposoby, zapełniają podręczniki, grube dzieła historyków, sale wystawowe i czasopisma artystyczne. Jakkolwiekby jednak na tę recepcję nie patrzeć i jakichkolwiekby w niej motywacji poszukiwać, zainteresowanie tamtą awangardą ma charakter przecież zwyczajny. Po prostu, po dziesiątkach lat przyszła kolej i na awangardystów. I ich trzeba posegregować, ułożyć w odpowiednich szufladkach, zaetykietować i włączyć do historii. Renesans światowy Stanisława Ignacego Witkiewicza, który — jak powiedziałem — trwa od dobrych kilkunastu lat, jest zupełnie czym innym.

Witkacy, urodzony 24 lutego 1885 roku, w latach, kiedy rodziła się polska awangarda, kiedy młodzi studenci warszawscy zakładają „Skamandra", kiedy w Warszawie i Krakowie do głosu dochodzą futuryści, a w Poznaniu ekspresjoniści, jest już artystą na swój sposób ukształtowanym. Do roku 1920, który można uznać za apogeum rodzimej awangardyzacji, krzykliwej rewolucji debiutantów i młodzików, Witkacy jest autorem traktatów filozoficznych, wielu prób malarskich i graficznych, powieści „622 upadki Bunga, czyli Demoniczna kobieta", kilkunastu dramatów i prac teoretycznych. Dzięki podróżom po Europie bezpośrednio może obserwować to, co w ówczesnej sztuce nabiera nowoczesnych kształtów. Towarzyszy Bronisławowi Malinowskiemu w egzotycznej podróży do Australii przez Cejlon. Uczestniczy — można rzec aktywnie — w lutowej rewolucji 1917, podczas której przez swój pułk zostaje wybrany komisarzem politycznym. Nieobojętnym dla jego osobowości były także pogmatwane sprawy osobiste. Tak więc, gdy wraca do Polski w roku 1918 przerasta swoimi doświadczeniami i świadomością najmłodsze pokolenie samozwańczych nowatorów, których programy dopiero nabierają jakichś wyraźniejszych znaczeń.

Cała twórczość Witkacego od sztuk „okresu dziecięcego" („Karaluchy" pisze mając lat osiem), aż po „Tak zwaną ludzkość w obłędzie" z roku 1939, cała jego działalność artystyczna aż po samobójczą śmierć 18 września tego roku narodowej katastrofy, jest adekwatną niemal w każdym szczególe egzemplifikacją, można powiedzieć — kwintesencją tego, co przez awangardyzm należy rozumieć. Każdy myślowy, filozoficzny, estetyczny, światopoglądowy wątek tego pojęcia ma w dziele, w życiu i twórczości Witkacego, swoje zakorzenienia mniej lub bardziej wyraźnie zaznaczone linie, punkty programowego wyjścia lub dojścia. Po pierwsze, wszechstronność artystycznych tworzyw, w których się wypowiadał, wzajemna komplementarność wypowiedzi plastycznych, dramaturgicznych, literackich i filozoficzno-estetycznych. Po drugie, godzenie żywiołu zabawy, ludycznej zgrywy z metafizyczną powagą rozumienia sztuki jako uświęconego posłannictwa. Po trzecie, antytradycjonalizm wywracający na nice obowiązujące dotąd nie tylko w sztuce polskiej konwencje, wzorce i zasady. Po czwarte, postawa, która ma za nic społeczny konwenans, która wyzywająco kpi sobie z przyjętych norm obyczajowych i egzystencjonalnych. Po piąte, wieszczy profetyzm, stąd wątki katastroficzne i brak wiary w cywilizacyjną odpowiedzialność człowieka. Po szóste, permanentny eksperymentalizm, poszukiwania „istotnych problemów" tak dla własnej sztuki, jak i dla własnego życia. Po siódme, artystyczno-estetyczny anarchizm sztuki bez granic, a z drugiej strony, budowanie zrygoryzowanego myślowo i teoretycznie programu Nowej Sztuki. Po ósme, akulturalizm, czyli negacja gromadzonych przez Europę kulturowych doświadczeń, fascynacje prymitywem, pierwotnością i egzotyką, a na przeciwnym biegunie artystowski, elitaryzm, niefałszowana erudycja i uczoność. Po dziewiąte, kultywowana przez cały czas świadomość programowa swojego warsztatu, sztuki w ogóle, wyrażająca się w licznych „rozprawach" i wypowiedziach o charakterze programowym.

Tego rodzaju wyliczenia mógłbym prowadzić jeszcze przez wiele akapitów. Wszystkie one potwierdzałyby oczywiste przecież spostrzeżenie, od którego je rozpocząłem; dzieło Witkacego jest swoistym, oryginalnym i pełnym modelem awangardy historycznej, tej formacji społeczno-artystycznej, która ogarnęła Europę od lat dziesiątych do trzydziestych.

Jak to więc się stało — skąd wziął się tytuł tego szkicu — że Stanisław Ignacy Witkiewicz funkcjonował w kontekstach polskiej awangardy, jakby w jej odleglejszym tle, jakby na dalszym planie? Próbował przecież wiązać się z ówczesnymi „izmami" i ugrupowaniami. Nie był jakimś eremitą, zamkniętym w swojej pracowni, z myślami i dziełami nastawionymi na potomnych. Uczestniczył w wystawach, drukował recenzje, artykuły i utwory literackie. Jego nazwisko pojawiało się i w „Skamandrze", „Wiadomościach Literackich", „Linii", „Czartaku", „Zwrotnicy" i wielu innych, mniej lub bardziej wówczas znaczących czasopismach. Grywano jego sztuki (z reguły bywały to dwa-cztery przedstawienia, po których „ryki »autor« zagłuszyły ryki »hańba« i »precz«" — jak to sam Witkacy komentował. Był też autor „Tumora Mózgowicza" wcale aktywnym polemistą i recenzencyjnym obserwatorem życia literackiego. Mimo tego jednak jeszcze w roku 1976 Janusz Degler, wybitny witkacolog, swój esej wstępny do wyboru pism krytyczny i publicystycznych zatytułował „Witkacy nieznany". Bo też Stanisław Ignacy Witkiewicz nie związał się z głośnymi manifestami futurystów (wprost przeciwnie — ogłosił „Parę zarzutów przeciw „futuryzmowi" i inne teksty, w których ów importowany „izm" ocenił jednoznacznie negatywnie), jak najodleglejsza była mu poetyka skamandrytów, do tego, że drukował w „Czartaku" nie należy przywiązywać żadnego znaczenia, polemizował z programami ekspresjonistycznymi Jana Stura, cenił wprawdzie Peipera (z wzajemnością), ale nie miało to większych konsekwencji, jeśli chodzi o jakiekolwiek alianse. Atakowany niemal bez wyjątku zewsząd, nie pozostawał dłużny. W roku 1932 napisał: „przychodzi mi na myśl następująca refleksja: czy jest możliwym w jakimś cywilizowanym kraju, aby ktoś 1. musiał walczyć o wyższy poziom literatury i krytyki artystycznej jako taki, explicite, a nie pośrednio, i co ciekawsze, aby 2. był przez dwanaście lat tej walki albo ignorowany, albo gnębiony bez wyboru środków przez całą niemal sferę literatów i krytyków i żeby mimo sprecyzowanych poglądów jego nikt z nim rzeczowo nie dyskutował, a tylko wszyscy systematycznie utrącali go?"

Siła historycznej awangardy, gdziekolwiek ona się pojawiła, czy w Rosji, czy w Niemczech, czy we Francji były jej strategie-metody i sposoby oddziaływania na odbiorców w lawinowym naporze nowych programów, idei i manifestów do publiczności przebijały się te, za którymi stało zmasowane niejako działanie grupy dysponującej czasopismem, manifestem, kawiarnią literacką, grupy wspieranej przez krzykliwe i skandalizujące imprezy objazdowe, modne etykietki czy aktualne ideologie społeczno-polityczne. I polscy awangardyści, z mniejszym lub większym skutkiem, tymi strategiami się posługiwali. Stąd w opinii publicznej prym wiedli skamandrycy i futuryści, czy inne grupy bezkompromisowo zwalczające każdego oponenta czy polemistę. Twórczość indywidualisty Witkacego znana wówczas nielicznym, rozproszona bądź nie drukowana, od początku uznawana przez wpływowych krytyków za „majaczenie lunatyka w ostatnim stadium postępowego paraliżu", za „biegunkę słów" nie zdobyła swojej publiczności. I tak najwybitniejszy z awangardystów skazany został na rolę outsidera awangardy.

Dopiero obecnie, kiedy historia ustabilizowała artystyczne hierarchie, kiedy neoawangarda ostatnich dziesięcioleci zweryfikowała drogi i bezdroża tamtego nowatorstwa sprzed półwiecza, kierując jednych do muzeów i opasłych podręczników, a innych kreując na rzeczywistych rewelatorów nowoczesności, twórczość Witkacego wciąż inspiruje inscenizatorów, reformuje teatr, fascynuje czytelników i zdumiewa publiczność najbardziej prestiżowych wystaw sztuki XX wieku.

Czas pokazał, że ów outsider awangardy był jej najbardziej śmiałym przewodnikiem, tworzył awangardę awangardy. I dla dzisiejszych nowatorów jego twórczość to nie historyczna przeszłość z muzeów i podręczników, ale żywa teraźniejszość.

P.S.

Jaki był stosunek Witkacego do rodzimej (zresztą nie tylko) awangardy świadczy wydany przez niego i przyjaciół w roku 1921 „Papierek Lakmusowy". Rzadki to obecnie druk. Z przypomnianego przez Andrzeja Lama przed piętnastu laty („Miesięcznik Literacki" 1970 nr 9) tekstu przedstawiamy czytelnikom kilka fragmentów.

Papierek lakmusowy

NAJNOWSZA ARTYSTYCZNA NOWALIA !!PIURBLAGIZMII! TEORIA CZYSTEJ BLAGI. NAJLEPSZE UTWORY PIURBLAGISTÓW.

Manifest (Fest-mani)

W ostatnich dniach sierpnia 1921 roku powstały we Francji dwa nowe kierunki, tzw. „sprzężone" (conjoints): N'importe-quoi-isme i comme-pourquisme po polsku bylecoizm i jakdlakogoizm (..) Przyznajemy się do nich, jako do głównych nowalii i chcemy być jej importerami u nas, z tym zastrzeżeniem, że będziemy się starać ująć w ramy ścisłej teorii to, co jest u wyżej wymienionych artystów tylko poteżnym rozpierającym ich ducho-ciała instynktem (..).

1) Szczerość stała się niemożliwa. Rzadkie już szczere mamuty futuryzmu i formizmu (dla nas i dla publiczności to wszystko jedno. Ha! Ha!) zdychają w rozpaczy. Blaga toczy wszystkie kierunki w sposób dla ich twórców nieuświadomiony i tym zgubny.

2) Jeszcze raz pytamy, czym można zdystansować futuryzm i dadaizm? CZYSTĄ BLAGĄ. Co za swoboda! Co za rozkosz! Nareszcie zacząć swobodnie, rozkosznie blagować. Hurra! (...).

6) Nie uznajemy zupełnie różnicy płci, jeśli chodzi o twórczość. Nawet (powiedzmy otwarcie) kobiety mają pierwszeństwo (Babaizm).

7) Każdy może tworzyć byle co i ma prawo być z tego zadowolonym, byleby nie był w swej pracy szczerym i znalazł kogoś, który równie kłamliwie będzie to podziwiał. Ogarniamy wszystkie nie uznane dotąd kierunki: neo-pseudo-kretynizm, filutyzm, nadudka-wystrychnizm, (...) neo-naciągizm, małpizm, papugizm, neo-kabotynizm, fałszyzm, solipsoedryzm, mistyficyzm, nabieryzm, fiktobydlęcyzm, oszukizm, neo-humbugizm, krętacyzm, udawaizm (..) błaźnizm, nieszczeryzm, w-pole-wprowadzizm, z-mańki-zażywaizm, przecheryzm, igizm, łgarstwizm, brać-na-kawalizm, wmówizm, co-ślina-do-gęby-przyniesizm, zawraco-głowizm, zawraco-gitaryzm i zawraco-kontrafałdizm, omamizm, krecizm i krętacyzm. Wszyscy przedstawiciele tych kierunków odetchną w naszej rozkosznej atmosferze Czystej Blagi.

Utwory Piurblagistów

BABUJA (A LA STERN)

Bubuja abuja,
Buhaja kabuja.
Kabyla kabyl buja,
Kabylska, bestialska szuja
Kukuja zakuka jak wuja.
Bambulę bubuja buja —
może zabuja, a może odbuja.
Haruje kabyl nad balią,
Haruje szuler nad talią,
Szoruje szleję kabyla,
co buja córkę Tamila.
Tamiza tętni Tamil.
Król Jerzy w Londynie śni,
Bębnią bubuje we krwi,
Kamille gładzi Kamil.

Marceli Duchański-Blaga

MINITELE

Napisał Atanazy Gałasiewicz-Blaga

Cycyłyktus nadudlany
Macierzyńską cnotliwością
W ogrodzeniu Nadenkaru
Gronem bieli olśniewany
Cisz gołąbku
Czaraganda, czaraganda.
Ogniożerny, wypęczniały
Samcza dolą
Na wymionie wypierzonem
Grzebie istność obrzydliwą
Cisz gołąbku
Czaraganda, czaraganda.
Flegmopilec katarakta
ociemniały
Astmatyczny
Bez zachwytu śledzi gwiazdy
Cisz gołąbku
Czaraganda, czaraganda.

TARANTULA

Zobaczyłem Tarantulę
Pałak ciemny i kosmaty
Zdjąłem wszystkie swoje szaty
I cisnąłem w nią jak w kulę
Tarantula była cicho —
Aż się ziawił chłopczyk mały
Dał mi kwiatek z wosku biały
I ulotnił się jak licho.
Cicho mówi — Tarantula —
Strach mnie jakiś wnet
zdejmuje
Płomieniste usta czuję
Jakieś piekło mnie przytula
Tarantula, Tarantula
Długie łapy a kosmate
Zdjęły zwiewną moją szatę
Bo zwierzątko się rozczula.
Cicho, sza, już śpią podwiązki
Każdy mówi do swej g-ski
Cyrenajka Wód (Wood' Blaga

HAPSIO

Rumbor zgwajdlił Parblichenkę. „Chipczycie kwoblizdy najgnarpniejsze i chemblacie kierpozany grwędląc", tak gweporzył Hapsio, krwipakając na Rumbora. Bumbor krwipnął — ochempzdęknął i krwamtapkę rozgrzapypnął w machejdrzuzgi oblawontorzone. „Cakoparek", krampirknął Prablichenko i odwantroniwszy kreczkawą bamflondrygę, rozpajotrzył zaklęsłą tamę ponadosobowych wzruszeń przepięknych, zarolikientornych Anielic Wschodu.

Wojciech hrabia Borzechowski Blaga

(Zapraszam wszystkich na „popojkę" à la manière russe Borzechowice Dolne, powiat sanocki)

OSOBISTE ZWIERZENIA ROSJANINA

Jestem chory na snobizm — nic — to przejdzie. Nie żałujcie mnie. Życia użyłem jak trzeba. Zostałem obecnie Polakiem będąc wygnany z mej ojczyzny przez bolszewików. Książ Fiodor Iljewicz Dancarow-Puczków-Trisnienskij-Blaga.

1) Mówiąc wczoraj z Boyem zapaliłem mu papierosa. Śmiał się. Szeroka dusza — jej Bohu.

2) Piliśmy całą noc z Roztworowskim. Odniosłem go do domu, jak dziecko. Śmiał się. Czort z wami palaki. Szerokie dusze.

3) Spotkałem Żeromskawo. Cały czarny. Przyszczurzył jedno oko i zrozumieliśmy się. Śmiał się. Szeroki, jasnyj Pan. Czort s wazmi.

4) Jechałem koleją. Patrzę — Strug. No i czto z taboju — mówię, powiadam. Nic. Śmiał się. Szeroka dusza.

5) Boksowałem się zawczoraj z Hoesickiem. Cały w sińcach. Nic. Śmiał się. Ej szeroka dusza u ciebie, Hoesick, mówię. Żałko. Ot — gdyby tak dawniej.

6) Na koniec Zakopane. „A ty Winawer co tu robisz?" mówie do takiego wysokiego chudzielca. Nic. Śmiał się, tylko zęby mu błyskały. Szeroka, przeszeroka dusza. A taki chudy, taki biedniuteńki.

Tłomaczenia naszych braci we Francji

Claire Lafondru

NIENASYCENIE

Mękę trę
Na blę-blę.
Na Blundon Road,
Koak-koak
W loakę pchnę
Ciebie — ja cała schnę
Ja Maraude
Ja Maud
Ja pchlę.
Ehę.
My Paryż — my wszystko —
my — Ty!!
O mękę mękę trę
My — Ty!!
Zdejm te obrzydłe majtasy,
Co całe w pasy
Są, jak materace.
Ja cię ochwacę,
Na blundon Road ja sprzedam
siebie aniołom!
Na Oxford-Street — posiądzie
mnie duch — Pitt.
Ja chcę, ja chcę, ja chcę!
Il y a quelque chose de grand
Là dedans.[1]

(Tłómaczył Chwalistor Womiejek-Blaga)

[1] Uderza wybitny erotyzm, tak obcy naszej pozbawionej „płci i mózgu" kulturze rodzimej. (Przyp. Red.)

BLAGA TO CUDOWNA RZECZ!

(1)

Czy Pani jest szalona?
czyli noc z Violettą Villas

W upalną noc z 15 na 16 sierpnia br. Polskie Radio przygotowało swoim słuchaczom sensacyjną niespodziankę, umieszczając ją w popularnej i lubianej (szczególnie przez „nocnych Marków") audycji „Muzyka nocą". Na trzygodzinne spotkanie w studio I programu PR zaproszono samą VIOLETTĘ VILLAS, która po latach milczenia (także w radiu, ostatni wywiad emitowano 6 lat temu!) zdecydowała się na udział w programie, który idzie na żywo i jak mało który należy do słuchaczy.

Mimo późnej pory i zaawansowanej nocy w perspektywie, przy odbiornikach zebrali się prawie wszyscy wielbiciele Violetty Villas (spotkanie anonsowało rano „Lato z radiem"), radiowcy obliczają, że przy odbiornikach zebrało się pół Polski, a liczba telefonów do 3 dyżurujących osób (nie licząc pary prowadzącej i bohaterki) przekroczyła wszystkie dotychczasowe notowania.

Osoba, która przywróciła Violettę Villas do takich potęg wśród środków masowego przekazu jak TV („Studio Lato", program „Jak być sobą") i PR („Muzyka nocą") był jeden z najbardziej znanych męskich głosów, czyli spiker PR w Warszawie JERZY JAKUBOWSKI (prywatnie wielbiciel talentu V. Villas), w nocnym programie radiowym towarzyszyła mu Maria Szablowska.

A wszystko sprawił przypadek. Jerzy Jakubowski postanowił telefonicznie zapytać Violettę Villas — co u niej słychać, mając w pamięci dramatyczny artykuł „Ostatni sen o Violettcie" w „Odgłosach" (mojego autorstwa), z którego wnioskował, że ulubiona gwiazda popada w zapomnienie i nic nie zapowiada odmiany. To również on podpowiedział redaktorom „Studia Lato" i reżyserowi Feridunowi Erolowi (który kilkakrotnie pracował w TV z Villas) zaproszenie artystki do programu, na co ona sama chętnie przystała.

Ale w programie telewizyjnym jej występ był potraktowany dość marginesowo, za to w programie radiowym wypełniła sobą (łącznie z kilkudziesięcioma piosenkami z taśm archiwalnych) trzy godziny audycji. Jerzy Jakubowski zwierzył mi się w dwa dni po emisji programu, że bał się finalizacji całego przedsięwzięcia, po V.V. nie zawsze dotrzymywała terminów, nigdy nie była punktualna, a w dniu programu nie odpowiadał jej domowy telefon (uszkodzenie w słuchawce) i tylko przypadek sprawił, że Villas podniosła słuchawkę, kiedy na linii był Jerzy Jakubowski i można było ustalić szczegóły związane z przybyciem do studia.

O godz. 23.00 była gotowa, oczekując radiowców w drzwiach willi, która sprawiała wrażenie bardzo zaniedbanej nie zapraszając gości do środka z powodu malowania (a może ubóstwa tego, co w niej jeszcze pozostało).

Nieco wcześniej Krzysztof Gospodarek (syn) dostarczył zestaw kilkudziesięciu taśm z unikalnymi nagraniami matki, wśród nich rejestracja jej występów w rewii Cassino de Paris" w Las Vegas nieznane wielojęzyczne wersje niektórych piosenek, próby z fortepianem itp.

Violetta Villas ubrała się w białe spodnie, kolorowa bluzkę, włosy splotła w warkocz, przyozdabiając je czerwoną tiulową chustką, założyła okulary w różowych oprawkach.

Stremowana, miła, szalenie prosta w sposobie bycia i wysławiania się, zasiadła przed mikrofonami Polskiego Radia po długich, długich latach nieobecności.

GODZINA PIERWSZA (24.00—1.00) „SIŁA I MOC DUCHA"

Słynny przebój „Oczy czarne", który znany jest u nas przede wszystkim ze znakomitego, pełnego temperamentu wykonania Violetty Villas otworzył pierwszą godzinę spotkania. Wspomnienia dotyczące początków kariery (piosenka „Dla Ciebie miły"), rodzinnego Lewina (piosenka „W Lewinie koło Kudowy"), własnych kompozycji Violetty Villas („Mechaniczna lalka") to pierwsze 15 minut programu. Nie podaję zapisu tekstowego z taśmy, jako że wielokrotnie i niedawno opisywałem je na łamach „Odgłosów". Wszystkim zainteresowanym, którzy słuchali „Muzyki nocą" w całości, w części, fragmentach i którym się to nie udało — dedykuję zapis spotkania z Violettą Villas, zarejestrowany na taśmie magnetofonowej, z minimalnym retuszem stylistycznym wypowiedzi, rozmów, przy niewielkich skrótach całości.

Słuchaczka: — Pani Violetto, u pani gdy śpiewa, wyczuwa się ogromne zaangażowanie w to, o czym śpiewa...

V. Villas: — Bo serce, droga pani, musi iść w parze z głosem i wtedy dopiero osiąga się sukcesy. To jest tak samo, jak z duchem, który jest w nas, jeżeli będziemy śpiewać i dodamy do tego siłę i moc ducha, wtedy powstanie coś takiego, o czym pani mówi...

Słuchaczka: — Tak, tak, to wszystko jest u pani, to się po prostu wyczuwa, także w prywatnych wypowiedziach, których dotąd niewiele było, widać pani wielkie serce.

V.V.: — Dziękuję pani za to...

Słuchaczka: — Dla mnie jest pani wielką artystką, nie tylko piosenkarką, śpiewaczką operową, ale i aktorką.

V.V.: — Dziękuję bardzo, tyle miłych słów.

Słuchaczka: — Dlaczego nie śpiewa pani w operze?

V.V.: — Postaram się zrehabilitować i dla pani zaśpiewam kiedyś w przyszłości w operze.

Słuchaczka: — Pani z takim głosem powinna śpiewać w La Scali.

V.V.: — Ale i w kraju są znakomite teatry operowe.

Jerzy Jakubowski: — Być może przyjdzie na to czas, mam właśnie pani płytę z piosenką „Przyjdzie na to czas", stan techniczny jest niezbyt dobry, to zużyta płyta, ale posłuchajmy.

V.V.: — I tę piosenkę nagram w przyszłości po angielsku i będzie to szlagier światowy.

„Dwa dni mnie zna dopiero,
już chce na spacer iść,
przy swoim się upiera, nie
jutro, lecz dziś.
A w parku, w cieniu drzew,
całować chciałby mnie,
wolnego chłopcze, nie śpiesz
się...
Przyjdzie na to czas, przyjdzie
czas"...

J.J.: — Dzisiaj w „Muzyce nocą" będziemy słuchali nie tylko piosenek pani Villas, ale i tych słynnych piosenkarzy, których pani Violetta lubi i zna z okresu występów w Las Vegas. Pierszym z nich będzie Dean Martin.

V.V.: — Bardzo bym chciała go usłyszeć, śpiewałam z Martinem w Las Vegas. Jest utalentowany wszechstronnie, dobry aktor. Miły, bezpośredni niezar zumiały, a to bardzo ważne.

Maria Szablowska: — Czy czuła pani dystans wobec niego?

V.V.: — W ogóle miałam tremę, do wszystkich, do Sinatry, Barbry Streisand, Sammy Davisa, nie będę ich tu wszystkich wymieniała po kolei. Ale kiedy byłam zapraszana na bale, pierwsze przyjęcia, to byłam bardzo speszona, nie znałam wtedy języka angielskiego.

M. Sz.: — Posłuchajmy teraz, jak śpiewa Dean Martin.

Słuchaczka: — Hallo, czy to „Muzyka nocą"?

V.V.: — Witam, witam, dobry wieczór.

Słuchaczka: — Jestem z Łodzi, właśnie słucham pani w radiu, mam już 45 lat.

V.V.: — To bardzo mało.

Słuchaczka: — Cały czas śledziłam pani karierę, mówiono o pani tyle różnych rzeczy, ta uroda sex bomby, te włosy...

V.V.: — Włosy...

Słuchaczka: — To wszystko nieprawda, bo pani na pewno jest romantyczką, taką jak ja.

V.V.: — Bardzo się cieszę, że pani tak odczuwa.

Słuchaczka: — Bo ja to poznaję po pani piosenkach, po tembrze głosu wiem, jaki ma pani humor.

V.V.: — Co pani powie?

Słuchaczka: — To dobrze, że nie odeszła pani do opery, w pani prostych piosenkach jest tyle serca, można wszystko zrozumieć.

V.V.: — Miło mi słyszeć, bardzo miło, naprawdę! Bardzo dziękuję za ten miły telefon. Życzę dobrej nocy.

Śpiewa Dean Martin.

Jerzy Jakubowski: — Violetta Villas śpiewała w Las Vegas z Connie Francis, Frankiem Sinatrą, z kim jeszcze pani Violetto?

V.V.: — No, za długa lista nazwisk, naprawdę, z Barbrą Streisand śpiewałam bardzo piękną piosenkę „Free again", którą zaśpiewałam po francusku troszkę później.

M.Sz.: — O pobycie w Las Vegas opowie nam pani w drugiej godzinie programu.

J.J.: — A my posłuchajmy teraz „Ave Maria", „Granady". Po wiadomościach zapraszamy na drugą godzinę spotkania z Violettą Villas.

GODZINA DRUGA (1.00—2.00) „JAGUAR, BIAŁY KOŃ I POLICJANT PRZED GARDEROBĄ..."

Telefon radiowy: 44 72-71 dzwonił bez przerwy. Telefonowali różni ludzie, wśród nich autentyczni fanatycy Violetty Villas, wśród nich kilka wręcz chorobliwych przypadków. Prawie wszystkie rozmowy były podobnej treści z pytaniami: „dlaczego, dlaczego?" Na antenę wprowadzono tylko kilka rozmów V. Villas ze słuchaczami:

J.J.: — Dzwoni do nas mnóstwo słuchaczy, Szczecin, Zabrze, Olsztyn, Poznań, Warszawa, Łódź, wiele, wiele innych miast Polski. Wszyscy cieszą się, witają panią Violettę w radiu i możliwością posłuchania tylu piosenek na antenie radiowej. Jedna ze słuchaczek pyta, dlaczego autorzy piosenek piszą tak banalne teksty dla pani?

V.V.: — Ha, ha, czy ja mam na to jakiś wpływ? Bardzo czekam, że może ktoś wreszcie napisze dla mnie ciekawy, mądry tekst i bardzo wartościowy. Bardzo bym chciała, a te co były do tej pory, to już musimy przebaczyć.

M.Sz.: — Czy teraz dostaje pani jakieś propozycje?

V.V.: — Na razie nie mam. Ale bardzo bym chciała, żeby coś nowego napisano.

J.J.: — A więc jeśli słyszą nas autorzy tekstów, mają panowie pełne pole możliwości.

M.Sz.: — I panie.

V.V.: — Ja bym wolała panów. Ha, ha, ha!

J.J.: — Na estradzie bywa pani czasem uosobieniem seksu. Jak to z panią jest naprawdę?

V.V.: — Ach z tym seksem, wie pan, jak to się mówi na oko można się pomylić. Co na oko nie jest prawdziwe. Są dwa różne bieguny. Naprawdę to jestem bardzo skromna, cichutka !... Nie wiem, nie widzę u siebie seksu.

M.Sz.: — Czyli, to są pozory estradowe?

V.V.: — Tak, pozory. No, może ja po prostu jestem. Nie wiem, może pan coś powie na ten temat?

J.J.: — Popieram słuchacza, który zadał to pytanie.

V.V.: — Nie, nie, naprawdę. Ta opinia o mnie nie jest prawdziwa.

M.Sz.: — A teraz wróćmy wspomnieniami do Las Vegas.

V.V.: — Ten las wciąż za mną chodzi. Las Vegas, Villas, mieszkam teraz w Sekocin-Las.

M.Sz.: — Rzeczywiście dom stoi w lesie. Nie jestem sobie w stanie tego wyobrazić jak odebrała pani Las Vegas po przyjeździe?

V.V.: — O, to było wielkie przeżycie. Widzi pani, ja nawet teraz się mylę i czasami źle mi się coś powie, ale z góry wszystkich przepraszam za te małe pomyłki językowe. Nie umiem ładnie mówić, zawsze mówię zwyczajnie i prosto. Bardzo lubię prostotę i zwyczajny język polski, który wszystkim jest bliski i tym małym i tym wielkim. A że czasami się pomylę, to wie pani — z tremy. Wszystkich co mnie po tym programie skrytykują — przepraszam.

M.Sz.: — Wróćmy do Las Vegas...

V.V.: — Jak tam przyjechałam, to byłam zaszokowana tymi światłami, neonami, tym krzykiem, tym szykiem, tym, no nie wiem jakby to inaczej nazwać, ale wolę małe, zwykłe uliczki tutaj, niż tamte, wielkie, kolorowe ulice. Bardzo obco się na nich czułam. I nieswojo. A jak zobaczyłam neon z moim nazwiskiem na 21 pięter, to stanęłam sobie z boku i pomyślałam — czy to możliwe, czy ja nie śnię? Na schodach, po których schodziłam co wieczór i śpiewałam, też sobie usiadłam i nie wierzyłam. Na scenę wjeżdżałam jaguarem lub na białym koniu.

M.Sz.: — Jaguar był służbowy?

V.V.: — Tak, to był teatralny jaguar.

M.Sz.: — Czy to od razu tak było, że przyjechała pani i zaraz był wielki neon z nazwiskiem i od razu była pani wielką gwiazdą?

V.V.: — Nie, nie od razu. Najpierw byłam drugą gwiazdą w rewii. Po trzech miesiącach pierwszą.

M.Sz.: — Jak to się stało, że została pani pierwszą gwiazdą?

V.V.: — Nie chcę się chwalić, bo skromna jestem, a wolałabym nie mówić o tym, bo może by nie tak zabrzmiało jak trzeba.

J.J.: — W każdym razie pani Violetta odnosiła tam ogromne sukcesy.

V.V.: — Może, może. Ach, dużo by można o tym i o Nevadzie, o jej piaskach, o tamtych scenach i hotelach.

M.Sz.: — I o pani wielbicielach, tych, którzy przesyłali fioletowe róże?

J.J.: — A potem i samochód pani podarowali?

V.V.: — Tak, to był jaguar, bo takim wjeżdżałam na scenę i ktoś chciał mi zrobić niespodziankę. Przekazano mi kluczyk. Ale samochodu nie przyjęłam, bo był to za drogi prezent i zbyt podejrzany.

M.Sz.: — Czy te fioletowe róże były prawdziwe?

V.V. — Prawdziwe, codziennie były przysyłane dla mnie samolotem z Nowego Jorku ale po co wyciągacie takie rzeczy?

M.Sz.: — A czy to prawda, że pani garderoba była strzeżona?

V.V.: — Tak, miałam luksusową garderobę składającą się z trzech pokoi i strzegł mnie policjant z bronią, który pilnował, aby nikt do mnie nie wchodził.

M.Sz.: — Ale słyszałam, że Polacy mogli się do pani dostać?

V.V.: — Oczywiście, bez meldowania mogli wchodzić wszyscy z Polski i bardzo się cieszyłam na widok kogoś z kraju. Bardzo tęskniłam, wie pani, tak jak mały pies co nocą wyje do księżyca.

M.Sz.: — Była tam pani zupełnie sama?

V.V.: — Sama. Nie miałam nikogo, kupiłam pieska i uczyłam go rozumieć po polsku.

M.Sz.: — Mamy w studiu taśmę pochodzącą z pani prywatnych zbiorów z nagraniem słynnej arii Violetty z „Traviaty" Verdiego, zarejestrowaną w Las Vegas.

V.V.: — Ale to nie jest nagranie studyjne i trzeba to zaznaczyć, ponadto pochodzi z ostatniego przedstawienia, gdy robiliśmy różne kawały, bo było to tzw. zielone przedstawienie.

J.J.: — Słuchając taśmy zauważyłem, że partner nie śpiewa czysto, wygląda na to, jakby był po paru kieliszkach alkoholu?

V.V.: — Mój Alfred nie był śpiewakiem lecz wielkim solistą baletu, a odważył się ze mną zaśpiewać. Było to dla mnie wielkim zaskoczeniem, bo nie spodziewałam się, że ktoś wyjdzie na scenę, podczas gdy on przebrał się za kelnera, wziął tacę z kieliszkami, szampanem i scena rozegrała się na oczach publiczności. Cała draka.

M.Sz.: — On usiłował panią rozśmieszyć, sprowokować, żeby się pani pomyliła, zapomniała tekstu?

V.V.: — Tak, ale ja zaśpiewałam arie z „Traviaty" bez pomyłki.

M.Sz.: — Czy pani zdarzało się pomylić na scenie?

V.V.: — Tam czy tu?

J.J.: — W ogóle w pracy?

V.V.: — Oczywiście, że zdarza się i różne są tego powody, ale ja szybko czymś zaimprowizuję, zamiast „hotel" jest „fotel" i nikt się nie zorientuje.

M.Sz.: — Jakie są te powody?

V.V.: — Czasami zdenerwowanie, opóźnienie, raz bez buta wleciałam na scenę, bo tylko mam 30 sekund na przebranie, do każdej piosenki ubieram się w inną suknię. Różnie więc bywa, czasami zamek się zepsuje, czasami buta zapomnę, bo inny kolor ma suknia i innego buta do niej trzeba. Mogą zdarzyć się pomyłki. Teraz będę miała recitale estradowe zorganizowane przez Estradę Poznańską, są już prowadzone pierwsze rozmowy, ale nie chciałabym za wiele mówić.

M.Sz.: — I co się dzieje, jak pani wychodzi boso?

V.V.: — Lecę boso i udaję, że tak ma być.

J.J.: — Za dużo dobrego w tej rozmowie, teraz pora na bardziej przykre pytania. Mówią, że bywa pani kapryśna?

V.V.: — Ja kapryśna?

M.Sz.: — Jest taka opinia o pani.

J.J.: — Czasami się zdarzało.

V.V.: — Można to różnie nazwać, np. dlatego, że nie lubię chały, chałtury, tylko wymagam. Jeżeli mikrofon ma być dobry, to musi tak być, a nie jakiś bubel sprzed iluś tam lat, czy kamera. Po prostu wszystko musi być na wielkim, światowym poziomie. A jeżeli mi to ktoś psuje, nie dotrzymuje umowy, robi na złość, to wtedy jestem zła. Podpadnięty mi — mówi: ona jest kapryśna, ona to, ona tamto, a tak nie jest. Po prostu wymagam, od siebie, od baletu, od muzyków, od wszystkich jednakowo.

Piosenka w języku francuskim: „Nie, nie żałuję niczego" w wykonaniu Violetty Villas.

Słuchacz: — Hallo, dobry wieczór pani.

V.V.: — Witam pana.

Słuchacz: Dzwonię z Radomia.

V.V.: — Ach, z Radomia.

Słuchacz: — Jestem bardzo wzruszony, że mogę z panią rozmawiać, jestem wychowankiem Domu Dziecka i muszę pani powiedzieć, że naprawdę przeżywam przebój, gdy śpiewa pani „Do ciebie mamo".

V.V.: — Będzie za chwilę.

Słuchacz: — Jestem tak wzruszony, że choćby moje oczy nie płakały, to serce płacze.

V.V.: — Dla pana zaśpiewam tę piosenkę.

BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

Passent, hr. Dönhoff i ja

Na Danielu Passencie nie można polegać. Myślę, że do takiego wniosku dojdzie wielu Jego i moich czytelników po przeczytaniu felietonu w 36 numerze „Polityki". W listach od Czytelników, w pytaniach dziennikarzy powtarzała się bowiem podejrzliwa sugestia, że owa heca sprzed 2 lat wokół opublikowanego przeze mnie w „Odgłosach" fragmentu powieści „Raz w roku w Skiroławkach" była przez nas obydwu z góry omówiona, uzgodniona. On miał na mnie napaść, ja miałem odpowiedzieć, On miał odpowiedzieć, a ja miałem na Niego napaść itd., itp, aby w ten sposób On stał się Wielkim Inkwizytorem, a ja mógłbym dokonać przekształcenia się z zupełnie nieznanego autora w niezwykle popularnego pisarza. Owa „walka" między nami oraz powieść „Skiroławki" stały się w rzeczy samej przedmiotem ogólnonarodowej dyskusji, umożliwiły tygodnikowi „Odgłosy" osiągnięcie ogromnego nakładu, a nam obydwu napełniły kiesę. W istocie bowiem owa zażarta walka trwała dopóty nie został sprzedany ostatni egzemplarz II wydania książki, otrzymałem wysokie odznaczenie państwowe oraz znalazłem się w tzw. „Złotej dziesiątce" prozy polskiej za ostatnie Dziesięciolecie. Aby stępić czujność władz — podobno — nigdy nie spotkaliśmy się osobiście, nie popatrzyliśmy sobie w oczy, ale jak przystało na prawdziwych aferzystów posiadaliśmy coś w rodzaju skrzynki kontaktowej, za którą służyło nam biurko wycinków prasowych „Glob". Na ów „Glob" powołuje się zresztą obecnie Daniel Passent, bo dawniej powoływał się na anonimowy list z dopiskiem „Passent — bierz go" — czyli gryź Nienackiego.

Atoli tak się stało, że napisałem drugą powieść pt. „Wielki las". Zasugerowany przez dziennikarzy i niektórych czytelników postąpiłem zgodnie z poprzednią metodą, która przecież tak świetnie zdała egzamin. Znowu zacząłem drukować powieść w tygodniku „Odgłosy", choć uprzednio tu i ówdzie czyniłem małe prowokacje, a to drukując fragmenty w „Szpilkach", a to udzielając buńczucznych wywiadów, że wcale nie boję się Passenta. Stawałem na głowie byle tylko znalazł On jakiś materiał do ataku na mnie. Niestety, wszelkie moje wysiłki nie zdały się na nic. Wydrukowałem trzy odcinki — i cisza. Cztery — znowu cisza. Nawet naczelny redaktor zatelefonował do mnie z wyrazami niepokoju. Czyżby nowa powieść była gorsza od poprzedniej? Sprawa zresztą wkrótce się wyjaśniła, choć — wyznaję szczerze — przeżyłem chwile strachu. Otóż jak wynikało z felietonów Passenta w „Polityce" pojechał on na wczasy do czasopisma zachodnioniemieckiego „Die Zeit", którego wydawcą jest hrabina Marion Dönhoff. Powód zaś strachu był ten, że owa hrabina (była właścicielka ogromnych majątków w b. Prusach Wschodnich) bardzo mnie lubi, gdyż w swoich „Sikołapkach", jak nazywa Passent moją powieść, wykorzystałem duży fragment jej książki p.t. „Namen die keiner mehr nennt". Ta książka przyniosła jej dużą sławę, opowiada bowiem jak to hrabina Marion, przed zbliżającą się Armią Czerwoną uciekała z Prus Wschodnich na koniu — samotnie, podczas strasznej zimy, wmieszana w ogromne tłumy uciekinierów. W pobliżu Tczewa w wiosce, której nazwy nie zapamiętała, ukradziono jej futrzane rękawiczki. Była to dla niej bardzo dramatyczna chwila, bo przecież musiała prowadzić konia przy dwudziestostopniowym mrozie. Motyw owych rękawiczek przewija się przez tę książkę, a mnie po prostu zafascynował. Pisząc swoje „Sikołapki" postanowiłem w jakiś sposób przedstawić dramatyczne losy uciekinierów niemieckich i jednej ze swoich bohaterek nazwanej Ruth Miller kazałem przeżywać losy podobne do losu hrabiny Dönhoff — samotną ucieczkę na koniu, potem zgubienie futrzanych rękawiczek i związany z tym faktem dramat. Jeśli ktoś mi nie ufa radzę zajrzeć do drugiego tomu na stronę 256 i dalej oraz porównać odpowiednie fragmenty z książki Marion Dönhoff.

Protestów, że wykorzystałem autentyczną relację dla jej artystycznego przetworzenia — nie było ze strony czasopisma „Die Zeit", myślę więc, że mnie tam bardzo lubią, bo przecież uczciwie, na podstawie autentycznych niemieckich relacji dałem opis klęski faszystowskich Niemiec. Nie wiem też dlaczego moją książkę Passent nazywa „Sikołapkami", czyżby nie cenił relacji hrabiny Dönhoff mimo że pisze On o niej w „Polityce" z taką czułością? Jak by nie było, istniało realne niebezpieczeństwo, że na tych wczasach w „Die Zeit" będą Passenta odciągać od napaści na mnie. Niestety, nie posłuchał albo też chciał być wobec mnie lojalny i gdy opublikowałem już dziewięć odcinków „Wielkiego lasu" nagle znowu na mnie napadł wymyślając mi od autoreklamiarzy, a przecież to nie kto inny tylko On zrobił mi reklamę.

Tego wielkiego światowca, który był w Harvardzie, Oksfordzie, a także w czasopiśmie „Die Zeit", interesuje w literaturze tylko jedno: gołe pośladki i takie fragmenty znowu cytuje. Ale przecież ja już nie jestem ten sam, co byłem, a także powieść nie ta sama co poprzednio. Nawet zupełnie nie podobna. Jeżeli już tak lubi Passent wyszukiwać wszelkie obsceniczności, niechże raczej zajrzy do Irvinga „Świat według Garpa". Ba, w „Polityce" chwali się tę książkę właśnie za jej erotykę, piórem „Zp" (czyżby Zdzisława Pietrasika?). I czemu to tak jest, że u polskiego pisarza gani się toż co chwali u amerykańskiego? To przecież bardzo łatwo napisać, że u Nienackiego „erotyzm jest wulgarny", a u Irvinga „pozbawiony wulgarności", choć prawdę mówiąc jest na odwrót. Ale zaatakować amerykańskiego pisarza, uznanego autora, którego książka rozeszła się w trzech milionach egzemplarzy i to w USA? Nie, dżentelmen tak robić nie powinien. Godzę się z tym i rozumiem.

Zupełnie natomiast nie rozumiem, czemu Passent sugeruje, że tego samego — tzn. ujemnego zdania o mnie — jest nie tylko On ale i „Wolna Europa", „Stern", Jerzy Urban oraz Krzysztof Mętrak. Dlaczego zapomniał o Koźniewskim i o panu Kaufmannie z „New York Times'a"? Po co mieszać politykę bez cudzysłowu do swoich i moich erotycznych obsesji? Wydaje mi się, że między mną i Passentem nie ma żadnych różnic ideowych czy politycznych, a po prostu On jak słynny Musashi „poszedł drogą miecza", a ja „drogą pochwy", czego nie należy rozumieć dwuznacznie, a tylko to, że jestem mniej wojowniczy.

W tym miejscu godzi się oświadczyć, że Daniel Passent jest brzydkim kłamczuszkiem. Otóż Minister Jerzy Urban, Rzecznik Prasowy Rządu n i g d y nie wyrażał swojej jakiejkolwiek opinii o twórczości Zbigniewa Nienackiego. Nie zajmował się bowiem tą sprawą Rząd PRL. Drugim kłamstwem jest cytat z Mętraka, wypreparowany z tekstu jego recenzji. Wszak Mętrak to mój ogromny wielbiciel. Napisał o „Skiroławkach" w „Literaturze", cytuję:

„Stwierdzić bowiem należy, iż powieść Nienackiego odznacza się — jak na nasze warunki — pomysłowością konfabulacyjną, płynnością narracji, umiejętnością budowania napięcia, zdolnością zaciekawienia czytelnika. Rzecz zawiera elementy sensacyjno-kryminalne, w świecie przedstawionym realność miesza się z nierzeczywistością, pojawiają się wątki legendowo-mityczne, „pogańsko barbarzyńskie". Sprawy drobne i zwykłe co i raz wchodzą w orbitę niezwykłości i nierealności. Akcja rozgrywa się niby to w latach siedemdziesiątych, ale jakby przerasta w świat snu. Wioska Skiroławki, enklawa zagubiana wśród lasów i jezior, licząca 229 dusz, rodzaj „wygwizdowa" na krańcu cywilizowanego świata, w której odbija się cały ludzki ocean".

Starczy, aby zdemaskować małego kłamczuszka, specjalistę od fabrykowania i wybierania cytatów.

A teraz poważnie. Uważam, że nie należy robić z Czytelników głupców i udawać, że ja i pan Passent toczymy z sobą zażartą polemikę, dopóki ostatni egzemplarz „Wielkiego lasu" nie zostanie sprzedany. W ogóle nie dam się wciągnąć w żadną dyskusję „zamiast" prawdziwej dyskusji, choćby o literaturze, o wyborach, o reformie gospodarczej itp. Drugi raz już tego samego nie powinno się powtarzać, gdyż „nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki". „Wielki las" rozejdzie się bez pomocy Passenta, ma on zresztą następców, którzy się zatroszczą o moją reklamę. Należało atakować po trzecim odcinku, jak uprzednio.

A skoro jestem już przy głosie, to niech mi będzie wolno powiedzieć kilka słów na temat tego, co wywołało taką straszną wściekłość pana Passenta, a mianowicie krótkiej uwadze w tyg. „Odgłosy", że „Polityka" powinna być redagowana ciekawiej". Otóż nie, panie Passent, „Polityka" jest redagowana wrednie. Chce Pan przykładu? W ostatnich miesiącach odbyło się Ogólnopolskie Forum Pisarzy poświęcone ocenie literatury Ziem Zachodnich i Północnych. Na tym Forum zebrało się prawie 200 pisarzy, którzy dokonali bilansu osiągnięć i braków literatury jaka powstała na Ziemiach Odzyskanych w 40-leciu PRL. Na temat tego Forum nie ukazała się najmniejsza wzmianka w tygodniku „Polityka" tylko dlatego, że jej z-ca naczelnego redaktora siedział na walizkach przed swoim wyjazdem do RFN-u, gdzie może nie przyjęto by go tak mile. Forum Pisarzy Polskich nie było imprezą antyniemiecką, ba, w referacie Koprowskiego, wypowiedziach Kajtocha i innych znalazła się ocena literatury niemieckiej, niezwykle zróżnicowana. Wszak propagujemy twórczość pisarzy rozsądnych: Grassa, Kirsta, Lenza, a także naszego przyjaciela Hermanna Kanta i wielu innych. Forum było także próbą stworzenia pomostu między polskimi pisarzami i pisarzami z FRN, którzy nie zieją ku nam nienawiścią. Potrafimy odróżnić „Die Zeit" hr. Dönhoff od „Die Welt" i Springera. Ale to nie może być tak, że my będziemy tworzyć pomosty, a pan, panie Passent, prywatną kładkę dla przechadzania się tam i z powrotem. Komu się chce Pan przymilić nagle atakując pisarza, który współorganizował to Forum, otwierał je, — oczywiście, biorąc jako pretekst znowu „gołe pośladki". I akurat musi Pan atakować po swoim powrocie z „Die Zeit"?.

Niech Pan nie wyciąga rąk po Zbigniewa Nienackiego, bo te ręce może okażą się za krótkie. Albo znowu — jak uprzednio — dostanie Pan po łapach i będzie się Pan zasłaniał „Wolną Europą", „Sternem", a nawet rzecznikiem prasowym rządu.

I jeszcze jedno. Niech pan nie usiłuje sprawiać wrażenia, że jest Pan u mnie na procencie facetem od reklamy. Tedy publicznie oświadczam, że wymawiam Panu u mnie posadę.

Powiedziałem „A". Ale pan wie, że mogę powiedzieć jeszcze i „B". Czy naprawdę tego Pan chce?

ZBIGNIEW NIENACKI

PS. Daj Boże, aby znalazło się jakieś uczciwe centralne czasopismo, które przedrukuje ten mój artykuł, aby go Passent nie mógł przemilczeć, jak to ma we zwyczaju.

Z. N.

O dewiacji Passenta słów kilka

Zdarza mi się od czasu do czasu jako półinteligentowi — dokształcać się lekturą pisma dla elity „Polityka". Ostatnio w felietonie zastępcy naczelnego tegoż pisma (nr 36 z br.) Daniela Passenta zostałem zarekomendowany intelektualistom jako autor porno-wspomnień z budowy Omladinskiej Prugi.

Wspomnienia dotyczyły inicjacji młodego, rozpalonego erotycznie chłopaka i siłą rzeczy, zgodnie z zasadami psychologii — wiele było w nich erotyzmu. Kto tego nie przeżył, to trudno.

„Inicjacja" zajmowała w druku półtorej kolumny. Baczny czytelnik znajdował tam przecież zupełnie nieznany obraz środka Europy i Bałkanów z roku 1946, spotkał ogrom szczegółów o charakterze politycznym, obyczajowym... Ale nie Passent.

Zygmunt Freud był autorem powiedzenia, że dzieciństwo jest ważne, poza tym wiele mówił o dziecięcych namowaniach. Felietonista, który z półtorej kolumny tekstu wybiera uzasadnione postacią bohatera wspomnień fragmenty erotyczne i pokpiwa z nich na potęgę — musiał bardzo często po łapach od ojca nadmiernie surowego dostawać za masturbację. Stąd wstręt do erotyzmu jako grzechu. Nie mówię oczywiście wyłącznie o Passencie. Myślę o wszystkich Pirożyńskich, którzy mają za złe.

Nie uważam, żeby elementy erotyczne w moich wspomnieniach były nieuzasadnione i trąciły pornografią. A jeżeli już chodzi o pospolite świństwo Passenta, to wyjęte z kontekstu ostrzeżenia naszych brygadierów, że brudni, śmiertelnie zmęczeni ludzie, którzy przedzierali się z masywu Grammos — Smolikas — Vejon — mieli wszy. Tak, mieli wszy. Piszę o tym jeszcze raz przy okazji zabiegów higienicznych na wyspie Hvar. Więcej, panie Passent, ja również miałem te wszy.

Jeśli zaś chodzi o wieczne czepianie się pańskie pisarza Zbigniewa Nienackiego i jakieś klozetowe parafrazy w stylu „sikołapki" — to w jednym jedynym z panem się zgadzam. Otóż jako miłośnik zwięzłej prozy, jestem pewien, że gdyby Nienacki wybrał z historii o Skiroławkach kilkanaście kapitalnych opowiadań (chociażby epizod ze spaleniem stogu) — to proza jego odpowiadałaby mi jeszcze bardziej.

A jeżeli pan w swoich zadawnionych kompleksach lubi tak na grandę robić reklamę Nienackiemu, „Odgłosom", Andrzejowi Jorkowi — to z bogiem sprawa.

ANDRZEJ JORK

POWRÓCISZ GDZIE MUZYKI TEJ ZIEMIA

Tegoroczne VIII Łódzkie Spotkania Baletowe przeszły już do historii, lecz na długo zostaną w pamięci łódzkich i nie tylko łódzkich miłośników baletu.

Podczas występu słynnego Baletu Rambert miało miejsce niecodzienne zdarzenie. W czwartej odsłonie prezentowali oni ciekawy balet o życiu, przemijaniu i śmierci na kanwie muzyki peruwiańskiej. Zaskakująca była jednak reakcja widzów, na zakończenie ich występu, którzy ogromnymi brawami obdzielili zespół muzyczny tworzący podkład muzyczny, a nie solistów baletu. Wydarzenie to utwierdziło mnie w przekonaniu, że muzyka peruwiańska leży w płaszczyźnie naszych upodobań i naszej polskiej uczuciowości. Jest w niej jakaś energia, która wewnętrznie rozpala, lecz również jest w niej czynnik tonujący, kojący.

Jurek Michalski w swej niedawnej korespondencji dla „Głosu Robotniczego" z Ameryki Południowej, wspominał o jakiejś wewnętrznej sile, która nakłania do ponownego odwiedzenia Nowego Kontynentu. Jestem przekonany, że ta nieodparta chęć powrotu leży nie tyle w urokach krajobrazu, inności i majestatyczności gór, co w szczerości ludzi tam zamieszkałych i w dziełach ich serc, do których zaliczam przede wszystkim muzykę. Tyle w niej uczuciowości, liryki, kolorytu, impresji, melancholii i witalności, a zarazem beznadziei i poddania się tej przemożnej i bezwzględnej sile przyrody. Skąd się ta urokliwa muzyka bierze, gdzie leżą jej źródła.

W roku ubiegłym miałem okazję iść jej tropem, przy okazji udziału w wyprawie Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego na najwyższe szczyty Cordyliery peruwiańskiej, przemierzając przy tym znaczne obszary Peru.

Peru jest krajem pojęciowo odległym od naszej wizji. Za wąskim pasem costy, czyli wybrzeża, z wyjątkiem nielicznych dolin rzecznych, aż po pasmo Cordyliery Negry rozpościera się obszar pustynny. Dopiero tu, na wysokości 3 tys. m. następuje stopniowa zmiana klimatu, występują coraz liczniejsze opady życiodajnego deszczu. Dotąd jałowa ziemia zaczyna się zielenić coraz liczniejszą i różnorodniejszą roślinnością. Dopiero tu pojawiają się coraz liczniejsze uprawne poletka rozsiane na stokach górskich aż do wys. 4,2 tys. m., a w ślad za nimi wioski.

Oto wieś Colcobamba, zaszyta wśród wielkich andyjskich gór, leżąca na wys. ok. 3 tys. m. Domostwa rozsiane niczym na kobiercu puszystym i kolorowym, siłą woli i charakteru stworzonym, potem ciał ludzkich zroszonym. Składają się z części mieszkalnej i wydzielonej części gospodarczej, o ścianach z gliny zmieszanej z trawą i kryte strzechą. Na zapleczu, pod zadaszeniem warsztat tkacki, gdzie powstają tkaniny na poncha i bajecznie kolorowe spódnice.

Kurne chaty wieczorami gromadzą, przy roznieconym pośrodku ognisku, opatulonych w grube poncha, lecz bosych Indian. To tu po całodziennej, mozolnej pracy na swych stromych i kamienistych poletkach, z ogromnym trudem wyrwanych górom — odpoczywają. Po kątach uganiają się świnki morskie — wielki ich przysmak — przeganiane przez figlarną dzieciarnię. Ostre rysy twarzy, siedzących w kucki Indian, podkreślone grą światła padającego od strony ogniska, stwarzają wizję ludzi silnych, odważnych lecz zmęczonych.

Po pracowitym dniu jedzą pieczone ziemniaki i gotowaną kukurydzę, z namaszczeniem żują suszone mięso. Ten pożywny posiłek przywraca chęć do życia, a błogie uczucie sytości stwarza chęć do zabawy.

Ktoś bierze zamponę i dmie w jej bambusowe rury. Rozchodzą się niskie dźwięki, przejmujące i smętne, by powoli przejść w coraz bardziej przenikliwe i radosne. Zrazu wibrują gdzieś pod nie przeniknioną powałą, by po chwili zawirować wokół ogniska i z jego żaru wzniecać świetliste i ciepłe płomienie. Tymczasem ktoś zanucił pieśń, ktoś inny ją podchwycił — wraca nastrój szczęśliwości. Napełnione żołądki dostarczają energii, goreje w płomieniach ogniska oczy Indianek, a w ich świetle ponura chata wydaje się przytulniejsza. Wraca radość życia, radość istnienia.

Muzyka staje się barwniejsza, coraz bardziej przejmująca. To nic, że andyjska noc jest chłodna, już w żyłach płynie gorąca indiańska krew. Długie cienie układają się na ścianach chaty i podrygują w rytm huaynos. Niskie tony zampon niosą się nad poletkami, kąpią się w kryształowych wodach jezior andyjskich, tańczą z wichrem na szczytach gór, by zlecieć na niziny i oczarować zawartą w nich głębią uczuć, swą szczerością i intymnością, tych co przy warsztacie, tych co w ławce szkolnej, tych co z plecakiem i tych z walizką.

Przerażającą, iście hiobową wieść otrzymałem kilka dni temu — wieś Colcobamba już nie istnieje. W wyniku trzęsienia ziemi pękła morenowa zapora któregoś z wysokogórskich jeziorek. Olbrzymie ilości wody, mułu i kamieni runęły na wieś niszcząc ją doszczętnie. Lecz to co rozgrzane serca Indian stworzyły, unosić się będzie nad szczytami andyjskimi a zabrane przez alpinistę, turystę, marynarza... będzie w nich wzniecać tęsknotę do powrotu tam, gdzie muzyki tej ziemia.

WŁODZIMIERZ KORPECKI

„PERSONA NON GRATIS"

W czerwcu ub. roku popełniłem (określenie jest adekwatne do następstw) w „Sztandarze Młodych" tekst, traktujący o sprawie, której tropem poszła następnie red. Jolanta Wrońska. Niniejszym chciałbym wyrazić autorce artykułu „Persona non gratis" głębokie uznanie za odważne, wnikliwe i wszechstronne przedstawienie tematu. Należy tylko ubolewać, że sprawa do dziś nie doczekała się właściwego, zgodnego z zasadami zwykłej przyzwoitości rozwiązania. Przeciwnie: jak pisze red. Wrońska, ukręcono jej łeb. Nierzadko zdarza się ukarać zarówno człowieka dochodzącego sprawiedliwości, jak i głównego bohatera nieczystej sprawy. Tylko, że ten pierwszy oberwał (dosłownie i w przenośni) dotkliwiej i z pewnością na długo wybito mu z głowy donkiszoterię i dochodzenie prawdy. Moralny kac pozostał i u mnie, gdyż stałem się pośrednio przyczyną jego — oględnie mówiąc — kłopotów.

Z goryczą i zdumieniem czytam wyjaśnienia w prasie tzw. czynników kompetentnych, dotyczące sprawy dyrektora U. Były bowiem pokrętne i bałamutne, a intencją tej słownej żonglerki było zaciemnienie do imentu meritum. Aż nazbyt przejrzysta była tu źle pojęta, przynosząca szkodę nie tylko tej sprawie (nie żyjemy na pustyni, ludzie potrafią wyciągać wnioski..) lojalność wobec dyrektora. Przygnębiające jest zwłaszcza to że tak potraktowali ją ludzie odpowiedzialni za wychowanie młodego pokolenia. Niemal obsesyjnie powtarzany był argument, że ujawnienie sprawy spowodowało rozkład grona pedagogicznego w liceum. Czyżby zatuszowanie jej (bądźmy szczerzy: kto wierzy w prężność działania komisji, przecież główną przyczyną nadania sprawie żwawego biegu była właśnie jej — komisji — opieszałość) i godzenie się z ewentualnymi dalszymi incydentami i gnijącą atmosferą w liceum, miało zadziałać uzdrawiająco?! Panowie, jak jest z tą cywilną odwagą?!

W numerze 33 Waszego pisma pan kurator Mieczysław Struk, odpowiadając na tekst red. Wrońskiej, był łaskaw zająć się m.in. moją skromną osobą („nieodpowiedzialny redaktor „Sztandaru Młodych"). Nie będę w związku z jego niewybrednymi słowami podejmował kroków, jakie chyba należałoby podjąć. Ale nie tak łatwo mnie obrazić i szarpanie za nogawkę nie od razu wyprowadza mnie z równowagi. Mogę tylko pokiwać z politowaniem głową. Do kuratora Struka przez wiele lat żywiłem szczery szacunek, dziwi więc i zastanawia mnie jego postawa. Tempora mutantur... Najogólniej rzecz można podsumować w ten sposób, że kurator nie sprostał okolicznościom.

Jaśniejszym punktem całej sprawy jest artykuł red. Wrońskiej. Przynosi również i mnie satysfakcję oraz dowodzi, że życie nie składa się tylko z momentów mroźnych i że są jeszcze ludzie mogący patrzeć w lustro bez żenady. A moim kolegom po piórze życzę większego powodzenia w naruszaniu błogostanu grajdołków.

Łączy pozdrowienia i wyrazy szacunku

ANDRZEJ BASIŃSKI
Wałbrzych

ze str. 1

Ofiary z byków pod złotym półksiężycem

Wjeżdżamy do wsi. Przed chałupami, takimi samymi jak większość we wschodniej Polsce, siedzą na ławeczkach ludzie, na których twarzach geny wymalowały ślady niegdysiejszych czasów.

Patrzą na nas z nieufnością, ale bez niechęci. Przyzwyczajeni do obcych. Turyści często tu przyjeżdżają bądź by odetchnąć Orientem, poznać inną Polskę, bądź w poszukiwaniu sensacji. Ale gdy zatrzymujemy się przed meczetem, otaczają nas uśmiechnięte twarze. Przeważnie kobiety.

— Szybko! Biegnijcie do meczetu! — krzyczą jedna przez drugą — Tam ona jeszcze jest, to pokaże meczet!

„Ona" — to pani Bohdanowicz, pochodząca z rodziny od dawna opiekującej się meczetem.

— Zdejmijcie buty — nakazuje tak na wszelki wypadek, gdybyśmy nie wiedzieli.

— A głowy nie trzeba nakryć? — pyta się Zbyszek.

— Nie. Przecież się nie modlicie. Tutaj jest część kobieca. Kobiety modlą się osobno i mężczyźni osobno. Jedni od drugich oddzieleni drewnianą ścianką z wąskim oknem, które zasłonięte jest firanką.

— Kiedyś mówił mi jakiś muzułmanin, że lepiej modlić się osobno, bo jak się ma przed sobą taką wygiętą w modlitwie muzułmankę to nie można się skupić — szepcze mi do ucha Zbyszek.

W meczecie jest czyściutko. Ascetycznie skromna jest jego architektura i wystrój wnętrza. Bez żadnych ornamentów, ozdób. Podłoga bardzo szczelnie przykryta dywanami.

— To wzór afgański — trącam Annę.

Pani Bohdanowicz usłyszała to — Tak, ale ten jest z „Dywilanu" — mówi z lekką pogardą. — Tamten jest darem Marokańczyków, a ten Libijczyków, pokazuje na ciemnozielony i ciemnowiśniowy dywany w orientalne wzory.

— Nabożeństwo odbywa się w części męskiej — mówi przewodniczka — wszyscy mają nakryte głowy i wszyscy są dokładnie umyci przed nabożeństwem. Na podwórku nie ma studni, więc każdy myje się w domu. Czystość cielesna idzie w parze z czystością duchową.

Nad naszymi głowami błyskają flesze. Skośne brwi przewodniczki zbiegają się, a na jej płaskiej twarzy maluje się niepokój.

— Ach to tylko turyści robią na górze zdjęcia — uspokaja się po chwili — teraz tylu się tu różnych włóczy. Niedawno ktoś wyrwał „na pamiątkę" kartki z zabytkowego „kitabu" — wskazuje na niszę z małym okienkiem.

Stoi tam drewniany pulpit, a na nim leżą „kitaby" — święte księgi muzułmanów. Wszystkie napisane w języku arabskim. Daty nie można odcyfrować, a tylko po żółtym kolorze kartek domyślamy się, że są bardzo stare. W jednej z nich dedykacja pisana po polsku. Ofiarodawczyni pochodzi z Wrocławia.

— Ta nisza to „mihrab" — mówi pani Bohdanowicz — stąd modli się imam, stąd czyta kazanie. Mihrab jest zwrócony ku Mecce i jej świętemu miejscu Kaabie.

Z galeryjki nad naszymi głowami schodzą amatorzy zdjęć. Niegdyś było tam miejsce, na którym przebywał muezzin. Teraz nie tylko nie urzęduje na galeryjce, ale i nie nawołuje do modłów. Dlatego zamiast minaretu, niewielki meczet wieńczy kopulasta wieżyczka z półksiężycem na szczycie. Nad oknami napisy w języku arabskim, ale ani pani Bohdanowicz, która recytuje informacje jak z przewodnika, ani nikt z mieszkańców nie może nam wyjaśnić co one znaczą.

WIEKA OD TRUMIEN I ZAKRZYWIONA SZABLA POD MONTE CASSINO

Pani Bohdanowicz obdarzyła nas zaufaniem, więc dostaliśmy klucz od „mizaru". Mizar — cmentarz tatarski, jest obiektem zabytkowym, na którym zmienianie czegokolwiek jest zakazane. Tak głosi napis na poobijanej tabliczce z godłem państwowym.

Toteż niektóre miejsca wyglądają, jakby nikt ich nie dotykał przez stulecia. Najstarsza część mizaru porośnięta jest krzakami. Chwasty i pokrzywy sięgają do twarzy. Rozgarniamy zielsko, żeby odszukać zmurszałe kamienie nagrobków. Na bohonickim mizarze są groby z XIX wieku, w Kruszynianach z końca XVIII.

— Jak chowacie zmarłych? — pytamy się miejscowego gospodarza, Selima.

— Zwłoki układa się na deskach i obmywa. To robią kobiety. Płaci się im za to. Zmarłemu zamyka się oczy, zatyka się nos i uszy. Najczęściej watą. Ciało trzeba owinąć w białe płótno, a pod spód wkłada się wstążki z modlitwami. Przez całą noc odbywają się modły.

— Kobiety się modlą?

— Nie — mówi Selim — do tego wynajmuje się mężczyzn. Przeważnie emerytów. Mają czas. Modlą się noc, dwie. Zależy ile rodzina zapłaci. Nie ma ustalonej ceny. Płaci się co łaska. Jeżeli ktoś nie jest stąd, to gmina kupiła niedawno dom naprzeciwko meczetu i tam odbywają się modlitwy. Przed przeniesieniem zwłok na cmentarz wszyscy modlą się za grzechy zmarłego, za to co złego uczynił, za posty, które opuścił i przejmują to na siebie. To najważniejsza modlitwa. A potem kondukt z imamem na czele udaje się na mizar.

— Cały czas zwłoki niesie się na deskach?

— Tak i tak się je chowa. Problem jest jeżeli zmarły nie pochodzi stąd. To jak przywieźć ciało, skoro nie wolno transportować zwłok bez trumny? Tutaj na miejscu odrzuca się wieko, a spód zostaje.

— Czasami koła cmentarza walają się wieka od trumien — Ozdobne z dębiny albo z sosny — wtrąca inny Tatar.

— Chowa się głową na zachód?

— Tak — ciągnie Selim — Jak zmarły wstanie na Sądzie Ostatecznym to pójdzie od razu na wschód.

Grób po bokach obkłada się kamieniami i wszyscy są częstowani „sadogą". To cukierki i słodycze. Teraz jak jest ciężko mogą być owoce. Nie mniej niż 40 sztuk w torebce.

Czytamy napisy. Starsze cyrylicą. W czasie zaborów ze szczególną zaciekłością starano się Tatarów zrusyfikować. Grób Izmaiła Kardisza. Zmarł w 1868 roku. Służył w 25 Pułku Ułanów. Jakich — nie można odczytać. Obok Josif Stiepanowicz Jakubowski. Generał lejtnant. Nagrobek pułkownika Stiepana Osipowicza, tak jak i innych żołnierzy, jest świadectwem tradycji oręża tatarskiego. Opodal grób imama Mehmeta Olejkiewicza, zmarłego w 1968 roku. Obok imienia Mehmet — polski ekwiwalent — Maciej. Tak też jest na innych nagrobkach: Helena — Helim, Mustafa — Stefan. Takie imiona jak Fatyma, Aladyn, Mustafa, Dżemila, przynoszą powiew wschodnich opowieści. Są groby tych, którzy w ostatnich wojnach walczyli o Polskę — Kazmil Sulkiewicz, zmarły w 1922 roku, podporucznik Wojska Polskiego i Stefan-Mustafa Korycki, uczestnik walk II Korpusu pod Monte Cassino. Na pomnikach z kamienia półksiężyc z gwiazdą. Często zdanie pisane po arabsku. To wersety z Koranu. Na niektórych nagrobkach zdjęcia. To najświeższej daty odstępstwo od reguł religii. Wprawdzie sam Koran nie zakazuje fotografowania, ale w przypisach jest surowo wzbronione odtwarzanie postaci ludzkiej. Na zrobienie zdjęć w meczecie też trzeba mieć specjalną zgodę imama.

Zgrzytliwie skrzypi zardzewiała brama z kutego żelaza. Półksiężyc na niej, a obok aleja z białych brzóz.

— Dlaczego na nagrobkach imiona występują w dwóch wersjach? — pytamy Selima.

— Często człowiek nosi polskie nazwisko i polskie imię a dopiero jak go chowają to okazuje się, że to nie Stefan, tylko Mustafa. W latach 50-tych trzeba było zmieniać nazwiska na polskie. Jeszcze 10 lat temu miałem kłopoty z zarejestrowaniem imion mojego syna — Ali Sulejman. Urzędnik stanu cywilnego uparł się, ja też się uparłem. Więc mówię, ty poczekaj tydzień, może się namyślisz. Przyszedłem za tydzień, pogadałem, zapisali i jest Ali Sulejman.

— A gdyby pana córka chciała wyjść za mąż za katolika, czy pozwoliłby pan na to? — pyta Anna.

— Pozwoliłbym. A co miałbym nie pozwolić. Nie nakażesz temu lub owemu kochać, albo nie kochać.

— Czy są takie rodziny, które się na to nie zgadzają?

— A są.

— I co wtedy?

— Ano różnie. Czasami ona lub on zmienia wiarę. Znam taką parę mieszaną. Mają dwoje dzieci. Jedno wyszło za katolika i przyjęło katolicyzm. Drugie poszło za katolika i nawróciło go na islam.

— Ale lepiej by było dziecko wydać za Tatara?

— Za Tatara lepiej.

MECZET NAD ŚWISŁOCZĄ

Do Kruszynian jedzie się 10 kilometrów po kocich łbach. Wzdłuż granicy i Świsłoczy. Okolica wyludniona. Pagórki obrośnięte sosnowymi zagajnikami. Kępy brzóz, a pomiędzy nimi przydrożne kapliczki. Rozstaje, a przy nich prawosławne krzyże. W Kruszynianach chałupy jeszcze starsze niż w Bohonikach. Jakby nie 10 kilometrów a 140 lat oddzielało jedną wieś od drugiej. Kryte strzechą. Chylące się ku ziemi. Otoczone wianuszkami starych drzew. Drewniane.

— Gdzie jest meczet? — pytamy siedzącą na ławeczce gospodynię.

— Nu panie, też wy musicie do wsi podjechać. Do środka znaczy się — wyjaśnia.

— Czy tu dużo jest tatarskich rodzin?

— A gdzie tam — macha ręką — taż będą ze trzy.

— A reszta mieszkańców?

— Nu to i są panie i katolicy, Polacy i prawosławni, są i Tatarzy.

Jest meczet. Inny niż bohonicki. Ten ma dwie wieże. Ukryty wśród białych brzóz odbija się od nich ciemnozieloną farbą z białymi framugami wokół okien i drzwi. Mimowolnie kojarzy się z wiejskimi kościółkami. Stary. XVIII wiek. Podobno kiedyś w tym samym miejscu stał jeszcze starszy. Nad wieżyczkami króluje półksiężyc. Z tyłu, wysunięty mihrab wskazuje kierunek modlitwy. Tutaj wejście jest osobne dla kobiet i osobne dla mężczyzn. Meczet w Bohonikach jest położony bliżej Sokółki, częściej odwiedzany przez turystów i mieszkańców miasta. O Kruszynianach trochę Pan Bóg zapomniał. Zapomnieli i ludzie. Dlatego jest tu cicho, spokojnie i w powietrzu wydaje się unosić więcej owej „tatarskości", której tak szukamy. Przypomina o niej wystrój wnętrza meczetu. Boczne światła przypominają kołczany do strzał, a z żyrandoli zwisają pęki końskiego włosia, które kiedyś przyczepiano pod kulą na drzewcu buńczuka.

— Chcielibyśmy bardzo obejrzeć meczet — pytamy starca siedzącego pod chałupą naprzeciwko — czy to możliwe?

— Niemożliwe — kręci głową. Dłonie splótł na sękatej lasce. To Pan Popławski — imam kruszyniański. — Już po zachodzie. Nie można. A poza tym jestem kaleką i przejście na drugą stronę ulicy to wysiłek.

Zbyszek w okamgnieniu podjeżdża samochodem i udobruchany starzec otwiera dla nas meczet.

— Modlitwa odbywa się w melodyjnym języku arabskim — zaczyna opowiadać — Na ścianach widzicie porozwieszane modlitwy — to muhiry, wersety z Koranu.

— Czy dzieci i młodzież znają arabski?

— A skąd. Dorośli nie znają, tylko odmawiają modlitwę powtarzając za imamem. On musi znać modlitwę. Dlatego go mieszkańcy wybierają. Umie się modlić, zna Koran i jest moralnie nienagannie czysty.

— To kto będzie imamem z najmłodszego pokolenia?

— Ja uczę mojego wnuka. A poza tym młodzi teraz jeżdżą. Byli w Iraku, ale nie mogli tam wytrzymać. Brud i każdego ranka kto pierwszy ten lepszy, łapią za nie swoje łachy i ciągle ktoś nie miał się w co ubrać. Teraz są trzy tygodnie w Libii, a potem pojadą do szkoły do Sarajewa. Poza tym uczą się prywatnie. Jest nauczyciel arabskiego w Sokólce i w Białymstoku.

— Czy wierni mają Koran w języku polskim?

— Wpłaty były 10 lat temu, ale do dzisiaj ani widu, ani słychu. Mamy stare tłumaczenie na polski zapisane arabskim pismem. Ale tego jest mało.

— Ile jest rodzin tatarskich w Bohonikach i w Kruszynianach?

— Razem dziewięć. Muzułmanie mieszkają jeszcze w Gdańsku, w Białymstoku, w Warszawie. Są w Szczecinie i we Wrocławiu. W Gdańsku i w Białymstoku mają budować meczety, ale kiedy to nie wiem.

— Pana brat jest autorem kroniki o tych stronach?

— Tak. Skończył ją ze trzydzieści lat temu. Opisał co po Tatarach zostało. A coraz mniej zostaje. Pisał o wizycie Jana III Sobieskiego.

— W Kruszynianach?

— Tak. Te dobra król podarował pułkownikowi Samuelowi Murzy-Krzeczowskiemu, za uratowanie życia. Jan III udając się na sejm grodzieński zatrzymał się u pułkownika. Pokażę wam to miejsce, gdzie stał dworek Krzeczowskiego. Podobno był nawet stołek, na którym siedział król.

NA PAMIĄTKĘ OFIARY ABRAHAMA

Kurban-Bajram to święto na pamiątkę ofiary jaką Abraham złożył ze swojego syna Izaaka, zamienionej przez Boga na ofiarę z owcy. W spokojnych Bohonikach droga z dwóch stron zastawiona przez samochody. Głównie rejestracja — BKS. Przyjechali muzułmanie z Białegostoku, z Sokółki i z Suchowoli. Są samochody z Gdańska, Szczecina, Warszawy. Jest Audi z białą tablicą z literami Kassel. Przed maleńkim meczetem tłok. Do rosnących wokół niego starych lip przywiązano byki, barany i koguty.

— Ten jest mój — chwali się właściciel i pieczołowicie czyści biało-czarnego byczka.

— Ten brązowy i tamten duży — wyjaśniają mi jacyś usłużni chłopcy — to amerykańskie.

— ?

— No tak. Właściciel kupił je za dolary. Za każdego dał po 150 zielonych.

Byczków ofiarnych jest pięć. Baranów — dwa. Mało. Jeszcze są cztery koguty, ale mimo groźnych pazurów nikt nie zwraca na nie uwagi. Najpiękniejszy jasnobrązowy byczek przywiązany jest tuż przy wejściu na podwórko. Sam imam czyści go słomą.

Najpierw nabożeństwo. Jest może dwieście osób. Próbuję przecisnąć się do środka. Przede mną przepycha się jakiś człowiek z trzema aparatami fotograficznymi. Nie wiem jak tu w takim tłoku zdjąć buty. Same kobiety. Mężczyźni w równych rzędach stoją w pierwszej sali. Kobiety zaczynają nam dogadywać.

— Gdzie tam właziciel! Tutaj ludzie się modlą. Po co tam lezycie. Musicie?

— Muszę — tłumaczy scenicznym szeptem nieco skonfudowany fotoreporter. — Robię zdjęcia o Tatarach dla Interpressu.

Nie robi to wrażenia na kobietach. Sykają coraz głośniej. Dodają sobie wzajemnie odwagi. Nagle w wejściu do męskiej sali majaczy znajoma z filmów twarz warszawskiego aktora. Mężczyźni nie zwracają na niego uwagi pogrążeni w modlitwie. Dotykają skroni kciukami rozwartych dłoni, pochylają głowy, kłaniają się i monotonnym śpiewnym głosem powtarzają za imamem słowa modlitwy. Kobiety wyraźnie ożywione. Nachylają się do siebie, rozprawiają półgłosem o nieoczekiwanym gościu.

Korzystam z okazji by wymknąć się z meczetu. Przed budynkiem kłębi się tłum. Ludzie rozstępują się z szacunkiem przed starcem z długą siwą brodą. Każdy pozdrawia go grzecznie z wyraźną estymą.

— Kto to jest? — pytam się stojącego obok.

— To Jan Mucha — odpowiada zagadnięty — jeden z najstarszych mieszkańców wsi. Uważa się za Turka. Chciał swoją ziemię zapisać państwu tureckiemu, ale przecież u nas prawo nie pozwala na to by obcokrajowiec był właścicielem ziemi.

Tłum staje się coraz głośniejszy. Jakaś troskliwa mama poprawia dwudziestokilkuletniemu młodzieńcowi ozdobny fez, bacznie zwracając uwagę by tasiemki były proste. Sąsiedzi witają się owacyjnie, obcałowują, oglądają byki. Padają fachowe uwagi. Wszyscy czekają na kulminacyjny punkt programu. Asekuranci stanęli już wcześniej za siatką płotu. Byki, chociaż związane, mogą wierzgnąć.

Nabożeństwo skończone. Tłum rośnie. Kobiety częstują wszystkich sadogą. Będą robiły to jeszcze raz na mizarze, gdzie wszyscy pójdą po uroczystościach, by pomodlić cię za zmarłych.

Sulejman Starewicz ma 77 lat, ale nie wygląda na swój wiek. Rusza się dziarsko. Jest wszędzie. Pochodzi z Suchowoli i od 1968 roku jest imamem. W ozdobnym fezie na głowie, z otwartym Koranem w ręku, modli się nad bykami. Teraz wszystkie zwierzęta pędzone są wokół meczetu. Trzy razy. „Jasnobrązowy" zdaje się przeczuwać swój los bo opiera się z całej siły. Rzuca się na wszystkie strony. Kopyta niebezpiecznie świszczą koło próbujących go utrzymać mężczyzn.

Pierwszy byk już ma spętane nogi. Imam dogląda i doradza

— Od lewej nogi przez grzbiet.

To jednak nie takie proste. Byk walczy. Ludzie też. Jest specjalny człowiek, który będzie zarzynał byka. Opłatę gospodarz ukrył w białym kawałku płótna zawieszonym na rogach zwierzęcia.

Muszą być trzy cięcia. Ale zdarza się, że ktoś musi poprawić i to kilka razy. Nóż do zarzynania jest bardzo długi, jakieś 80 cm, przypomina maczetę. Bardzo ostry. Teraz byka trzeba przewrócić na grzbiet. Ktoś podaje wiechcie słomy. Trzeba bykowi oczyścić szyję.

— Już? — pyta mężczyzna mający dokonać ofiary. Niemalże leży na zwierzęciu, które łypie przerażonymi białkami oczu i wierzga kopytami.

— Poczekaj, aż imam skończy się modlić — odpowiada ktoś lepiej zorientowany.

Imam mruczy modlitwę i daje znak. Maczeta oburącz przyłożona do napiętej skóry zwierzęcia. Kilka sekund namysłu i mocne pchnięcie obydwoma, przyłożonymi do noża, otwartymi dłońmi. Krew tryska dookoła. Przerażone oczy byczka zachodzą mgłą. Jeszcze kilka beznadziejnych wierzgnięć kopytami, jakby chciał pogonić za umykającym życiem i nieruchomieje. Teraz trzeba poczekać, aż cała krew wypłynie. Jeszcze dwa pchnięcia. Już rytualne. I następny byk.

Mężczyzna w fezie jest fachowcem. Drugi z zarzynających — niestety nie. Toteż straszne charczenie wydobywające się z otwartej krtani drugiego byka słychać w całej okolicy.

— Zwierzęta nie powinny się męczyć — słyszę komentarze. Kilka kobiet opuszcza podwórko. Większość z obecnych jednak do końca uczestniczy w ofierze.

Teraz „jasnobrązowy". Człowiek w fezie, krępy, przysadzisty, około czterdziestki, jest wyraźnie zdenerwowany niepowodzeniami poprzednika.

— Dajcie tu kawał drzewa. Nie może się męczyć. Trzeba podłożyć pod szyję, wtedy jedno cięcie wystarczy — rozkazuje wymachując w zdenerwowaniu maczetą nad głowami zebranych.

Ten byk się nie męczył.

Obchodzimy pole wokół meczetu. Pobojowisko. Kałuże krwi nie zdążyły wsiąknąć w ziemię. Byki z otwartymi gardłami, z nienaturalnie odrzuconymi do tyłu głowami, zieją wnętrznościami, gdyż niektóre zaczęto już oprawiać. Rozwarty pysk baranka żegna nas gdy wychodzimy z podwórka. Za nami słychać krzyk ludzi i ogromna fontanna krwi bryzga na ścianę meczetu. Ludzie uskakują na boki. To „ten drugi" znów spaprał robotę i byk z poderżniętym gadłem wyrwał się trzymającym go mężczyznom.

Teraz mięso będzie dzielone pomiędzy wszystkich obecnych.

— Do tego mięsa nie pijemy alkoholu — mówi mi sołtys w Kruszynianach — Wie pan, jest tyle okazji, żeby się napić, że nie trzeba tego akurat robić przy świętym mięsie.

— Czy to prawda, że ofiarodawca byka powinien modlić się i pościć przed świętem?

— Powinien, ale może zapłacić komuś, kto to zrobi za niego.

— Nie przestrzegacie reguł wiary?

— Panie, główny dogmat mówi, że trzeba wybrać się na pielgrzymkę do Mekki. To kosztuje 2000 dolarów. Toteż po wojnie nie słyszałem, żeby ktoś tam pojechał. Z postami jest różnie. Z alkoholem też. Świń nie hodujemy, ale wieprzowinę jemy. W ramadanie to raczej pościmy, od wschodu do zachodu słońca. Ale też jest różnie.

— Pan, muzułmanin, mieszka pod prawosławną cerkwią.

— U nas są i prawosławni i katolicy i muzułmanie. Byli i Żydzi, ale teraz już ich nie ma. W Krynkach niedawno rozebrali resztki murów synagogi.

— Podobno Tatarzy byli znani z wyprawiania skór. Czy coś przetrwało z tego obyczaju?

— O tym kto tu nielegalnie skóry wyprawia, to ja panu nie powiem.

Na pożegnanie z Kruszynianami wchodzę do budy na której napis głosi, że jest to sklep spożywczo-przemysłowy. Sprzedawczyni rozmawia z klientką po białorusku. Wchodzi skośnooki mężczyzna i rozmowa toczy się po polsku. Na półkach stoi hiszpańskie wino po 260 złotych.

ANDRZEJ BETULSKI

Miss Lata'85

Zapach naftaliny

Pogoda była taka, że psy wyły nie chcąc wyprowadzać swych panów na niedzielny spacer. Telewizyjne „Studio Lato" zwinęło już żagle, a skauci piwni poszli się trzepać porządną vistulą. Tylko „Express Ilustrowany" przekonywał czytelników, że słońce na pewno zaszczyci swą obecnością wybory Miss Lata. Ale słońce widocznie „Expressu" nie czyta albo siódmego dnia odpoczywa, bo nijak nie chciało wyleźć zza chmur. Na „Fali" miały być tłumy plażujących golasów i trochę mniejsze urodziwych panienek, aż blady strach padł na opalone oblicza gospodarzy, którzy wyliczyli, że w takim tłoku może zabraknąć powietrza. Tymczasem od rana basen był pusty jak kurnik po wizycie lisa. Tylko paru facetów w wełnianych czapkach rozglądało się gdzie by tu wykombinować łyżwy. Do godziny jedenastej nie zanotowano nadejścia żadnej ładniejszej istoty. Potem nadjechał wóz starażacki przywożąc płetwonurków z tlenem, którzy ochoczo gruntowali dno basenu, prawdopodobnie w poszukiwaniu dychy, co ją prezes zgubił podczas kąpieli. W końcu dychę szczęśliwie odnaleziono i jeszcze dwa złote niewiadomego pochodzenia, które komisyjnie włączono do puli równie atrakcyjnych nagród dla Miss Lata. Niecierpliwi zaczęli wypatrywać nagrody głównej czyli tradycyjnego już turbo-Diesla, ale prócz zdezelowanej syrenki fotoreportera „Expressu", innych nowinek techniki nie zaobserwowano. Wtenczas paru dziarskich zatowników przebrało się w służbowe slipy i wskoczyło do basenu, żeby ratować honor organizatorów. Zewsząd towarzyszyła im radosna melodia dzwoniących zębów wszystkich ośmiu gapiów szczelnie opatulonych jesionkami. Ratownicy wyleźli z wody cali w soplach i bardzo chcieli pokazać typowe sposoby niesienia pomocy samobójcom, ale organizatorzy wyborów jeszcze liczyli na cudowne ocalenie. W promieniu kilometra nie odnaleziono żywej pomocy naukowej, na której z otwartymi oczami można by zaprezentować sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Dopiero pojawienie się osobnika w regularnym kożuchu przypomniało, że impreza ma na celu wybranie Miss Lata.

Nie zawiedli drobni pantoflarze, którzy pod pretekstem uczestniczenia w niedzielnej mszy, wymknęli się z domowych gniazdek, by pooglądać to, czego im los poskąpił. Bardzo się przy tym starali, by nie wpaść w obiektyw telewizyjnej kamery, albowiem ich ślubne nabyły ostatnimi czasy wspaniałe walki do ciast.

Kwadrans po jedenastej gruchnęła wieść, że zgłosiła się pierwsza kandydatka, lecz oprócz sprzątaczki nikogo w biurze organizacyjnym nie było. Niebawem jednak nadeszła kruczowłosa ślicznotka, a za nią peleton zbłąkanych kolarzy, którym gdzieś wcięło lidera, więc postanowili na „Fali" przeczekać do wiosny. Rychło też okazało się, że owa kruczowłosa piękność to basista z zespołu rockowego zaproszonego na wybory miss.

Dużym zbiorowym przeżyciem był występ dwóch kapel określanych jako muzyczne, a szczególnie tej wylansowanej przez MPK, w niczym nie ustępującej aktualnemu stanowi taboru swego mecenasa. Chłopcy świetnie walili w przyrządy, głośno że hej, co do złudzenia przypominało kres ostatniej drogi pershinga. Za to druga kapela zwana ODD pokazała jak brzmi country (w języku obcym strana), choć malkontenci postulowali, żeby zmienić nazwę na DDT i posłać młodzieńców do jakże słusznej walki z paskudnym żuczkiem kolorado.

Jednakże wszelkie pretensje merytoryczne należy wsadzić sobie w nos, albowiem kapele występowały w czynie społecznym, ponieważ organizatorzy wielkiej imprezy nie śmieli dzielić groszem. Obdzwonili więc wszystkie znane, mniej znane i zupełnie nieznane kapele proponując im niedzielny czyn społeczny w miejscu publicznym. Co usłyszeli w słuchawce, tego dokładnie nie wiadomo ale podobno brzmiało to mniej więcej jak propozycja pocałunku w bliżej nieokreślone miejsce. W tej sytuacji ewentualnymi kosztami leczenia słuchaczy wyżej wymienionych kapel należy obciążyć opiekę społeczną.

Kiedy wreszcie opadły muzyczne emocje, uradowany konferansjer oznajmił, że zgłosiły się pierwsze cztery panie, które czasowo zakwaterowano w pokoju numer trzy. Pobiegliśmy tam wszyscy, żeby zobaczyć co jest w rzeczonym pomieszczeniu, lecz nikt nie miał odwagi wejść do środka, bo na drzwiach wisiała tablica „Posterunek III-go komisariatu MO". Ustaliliśmy tylko, że przez dziurkę od klucza sączy się słodki zapach naftaliny. Ale zaraz musieliśmy pośpiesznie wracać, bo jakiś gość zupełnie bezinteresownie dzielił przecudnymi kalendarzami, jak raz ważnymi na 1985 rok, co szczęśliwie obdarowanym przysporzyło jeszcze ponad trzy miesiące uciechy. Ponieważ jednak nikt nie żądał pokwitowania darowizny, przezorni zwątpili nieco i uznawszy, że sprawa jest śmierdząca, pozbyli się trefnego towaru.

W samo południe kalendarzowego lata, kiedy temperatura sięgnęła plus ośmiu stopni Celsjusza, wspaniale zadudniły werble i w rytmach apelu poległych wyszły odważne dziewczyny. A było ich aż dziewiętnaście, co potwierdziło domysły że gęsta mgła, zachmurzenie i szansa na występ w płaszczu podbitym watoliną mocno poprawi notowania niektórych panienek. I stało się.

Zrazu objawili się zboczeńcy, którzy stanowczo żądali odsłonięcia choć części konkursowych wdzięków, bo nie po to jechali z Teofilowa, żeby oglądać za przeproszeniem tekstylne eksponaty. Potem i oni, przy pierwszej próbie zadośćuczynienia, zgodnie odstąpili od pomysłu, przekonani, że znacznie lepiej jest jak jest. Kreacje istotnie były pierwszorzędne, zwiastujące tęgą zimę, wobec czego tu i ówdzie odezwały się głosy, że należy złożyć broń i poczekać do wiosny.

Pierwsi poszli sobie mocno skacowani kibice, którzy liczyli na to, że jeszcze przed trzynastą uda się załapać na jakiś okolicznościowy toast — niechby i szampanem. Jednak bankietu na krzywy ryj nie było, za to były lody „Bambino" sprzedane przez obrotnego ajenta w ilości sztuk 1 (słownie jeden) grubemu facetowi, który mocno się napalił. W dalszej kolejności opuścili basen młodociani z tarczami na rękawach, mamrocąc pod nosem, że lepsze kawałki widzieli w telewizorze oraz pod ławką w IVb.

Zerkając na estradę dochodziło się do wniosku, że od czasu wymyślenia mody maxi, niektóre pretendentki do korony powinny dać na mszę w intencji dalszego doskonalenia tego cudownego wynalazku. Trzeba w tym miejscu odnotować, że znaleźli się skrajni radykałowie, zgłaszający postulat wprowadzenia kategorycznego nakazu chodzenia w pokrowcach. Na szczęście obyło się bez interwencji ortopedy, który notabene powinien obowiązkowo dyżurować na podobnych imprezach, ponieważ obuwie na obcasach jest przyczyną wielu groźnych kontuzji, z wstrząśnieniem mózgu i zwichnięciem obojczyka włącznie. Na moment powiało grozą, kiedy pozbawieni wyobraźni jurorzy kazali panienkom wykonywać kilka kroków tanecznych, szczęśliwie przerwanych w samą porę przez czujnych gospodarzy obiektu, którzy nie mają forsy na remont zdemolowanego kąpieliska. Poza tym było przyjemnie i fajnie, co zresztą potwierdzi trzech śniadych facetów z kamerą video, którzy obślinieni z emocji nakręcali każdą istotę płci odmiennej, gorąco zapewniając, że: „wy być piękne dziewczyny my mieć dużo czasu i chcieć was wylansować" — po odłożeniu kamery ma się rozumieć. Chyba jednak nic z tego nie wyszło, bo goście byli nikczemnego wzrostu i poza czosnkiem, niczym innym nie pachnieli. Zresztą o mało nie dostali po twarzach od bezdewizowych krajowców, bo nie wzięli pod uwagę, że niektóre panienki są już obstawione przez pełnej krwi kawalerzystów z fantazją. Oni to tłumaczyli jurorom jak nierozgarniętym dzieciom, że werdyktu nie pojmują, bo podobają im się całkiem inne panienki, głównie własne, którym — zanim zwiędną przy praniu pieluch — należy się korona z tektury.

Sporo niezdrowych emocji wywołał skład jury, a właściwie blondwiosa część tego składu w osobie Katarzyny Żarnik. Niestety nie dało się ustalić po diabła Miss Ziemi Łódzkiej bez odpowiednich kwalifikacji i praktycznych możliwości zabrała się do oceniania walorów konkursowych obiektów tej samej co ona płci. Tu padły nazwiska kilkunastu bardziej w tym zakresie kompetentnych osób płci odmiennej, akuratnie obecnych na rzeczonej imprezie. Wszak jesteśmy społeczeństwem zdrowym, czyli takim gdzie każdy wie co potrafi. Dlatego obecność innych sędziów: znanego dziennikarza i czołowego kulturysty, była jak najbardziej stosowna.

Ze społecznym zrozumieniem przyjęto pomysł „Expressu", by nie zaglądać w metryki kandydatek oraz bez ich zgody nie ujawniać innych danych personalnych. Dzięki temu urocze panie opowiedziały o sobie to co opowiedzieć chciały, a nam nie pozostało nic innego, jak zgodnie stwierdzić, że młodzież szkół podstawowych i licealnych mamy wyjątkowo rozwiniętą w formie oraz w treści. Najbardziej podobała się pewna uczennica klasy szóstej, którą nieodpowiedzialni osobnicy oskarżali o wykolegowanie z konkursu własnej pociechy. Momentami niedzielne zawody przypominały finały wyborów Miss Polonia, szczególnie wtedy, gdy oceniane eksponaty po wykrztuszeniu do mikrofonu imienia własnego, krzyczały obowiązkowe „dziękuję". W takich razach przybyły na imprezę znany wyłapywacz talentów, który w swoim długim życiu widział niejedno, nawet festiwal w Kołobrzegu, głośno obgryzał krawat, prawdopodobnie z niedostatku naturalnych witamin. Porządkowi musieli interweniować wielokrotnie, wynosząc rozczochranych facetów, z których jeden wykrzykiwał, że jest Napoleonem, drugi zaś podawał się za Sinobrodego. Kilku innych za nic w świecie nie chciało otworzyć oczu, nawet przy użyciu siły fizycznej, ale obiecali, że po zakończeniu wyborów zrobią to z przyjemnością. Łysawy jegomość, jeszcze w trakcie oglądania awangardy płci pięknej, ślubował uroczyście, że dorastającego syna zadekuje w męskim klasztorze. Zbłąkani kolarze orzekli, że na szczęście wynaleziono nowy rodzaj wypełnionych kół, bo o dobre szprychy coraz trudniej, po czym odjechali w nieznane. Było dopiero wpół do trzynastej, przeto inne znane sposoby na amnezję póki co nie wchodziły w grę.

Na krótko pojawili się sponsorzy z renomowanych firm, w tym, ze znanej wytwórni kosmetyków, lecz ci ostatni fachowo ocenili, że naszym finalistkom nic już nie zaszkodzi, bo i tak wyglądają jak ofiary zielonej nocy. Nutkę niepokoju wprowadziła jedna z przesłuchiwanych kandydatek, głośno zawiadamiając ogół zgromadzonych, że interesują ją wyłącznie zwierzęta. Odetchnięto z ulgą. Niektórzy przypuszczali jednak, że jest to cienka aluzja do głównej nagrody, pluszowego misia. Miś istotnie kiedyś był pluszowy, ale sfilcował się nieco i zamiast obiecanego metra wzrostu, przybrał rozmiary niemowlęcia z plemienia Pigmejów w czasie permanentnej suszy. Dostała go Miss Lata'85, wybrana jednomyślnie z powodu zbliżającej się pory obiadowej. Poza tym było klawo, wszyscy grzecznie poszli do swych domów, bo nie ma nic lepszego jak dobry pomysł w oparach naftaliny.

ROMAN KUBIAK

Foto: Grzegorz Galazinski

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Anastasis

(2)

JACEK SAWASZKIEWICZ

Jeszcze nie wróciła mi pamięć niedawnej sceny z Maxem Sternem i przeraziłem się, że spotkało mnie to, czego się obawiałem od lat: utrata panowania nad samochodem z powodu zaburzeń psychosensorycznych. W zeszłym roku pokonując zakręt wjechałem na chodnik i omal nie potrąciłem człowieka, który oglądał wystawę salonu z męską konfekcją.

— Nazywam się Myrna Saunders — powiedziała kobieta. — Jestem lekarzem. Pracuję tutaj, w tym zakładzie.

— W jakim zakładzie?

Pani Saunders czubkami palców pogładziła okładkę skoroszytu. Wciąż uśmiechała się z anie'ską dobrocią.

— Rewalidacji.

— Więc jednak miałem wypadek?

Ostrożnie poruszyłem wpierw jedną, potem drugą nogą. Zapragnąłem ściągnąć z siebie przykrycie i sprawdzić, czy nie jestem spowity w bandaże.

— To jest Zakład Rewalidacji Psychicznej — oznajmiła Myrna Saunders. — Proszę się nie obawiać, fizycznie jest pan zdrów. To nie był wypadek. Przynajmniej nie taki, o jakim pan myśli.«

W owym miejscu mego dziennika, ujęta w ramki, widnieje uwaga:

»Za szyldzikiem Zakładu Rewalidacji Psychicznej kryje się zwyczajny szpital psychiatryczny. Wszystko przemawia za tym, że otoczenie uznało mnie za umysłowo chorego. Zostałem obwołany wariatem. Zostałem pensjonariuszem Wesołej Chatki.

Przeciętnie dziesięciu na każdych stu pilotów trafia do takiego zakładu, a połowa z nich pozostaje tam do końca. Fred von Neheim od czterech lat jest pod opieką psychoterapeutów, Jurg Hoeström wkrótce też wpadnie im w łapy. Park Bohaterów, nieuleczalne choroby zawodowe bądź Wesoła Chatka to los większości weteranów lotów kosmicznych. Jesteśmy ofiarami ogólnoświatowego spisku.«

Pod tą uwagą, podkreśloną podwójną linią, jest dalszy ciąg mojej rozmowy z Myrną Saunders:

»Jej wyjaśnienie niewiele mi wyjaśniło.

— To nie był wypadek? — indagowałem. — Więc co się stało?

— Zawiodły pana nerwy — odparła. — Wczoraj po południu, w swoim domu, poturbował pan pewnego mężczyznę. Był pańskim gościem.

Przestała się uśmiechać, ale z jej twarzy nie schodził wyraz pogody i przyjaznego współczucia.

— Tak, teraz przypominam to sobie. — Naśladując jej pogodę, tyle że bez tego współczucia, dodałem: — Skułem mordę Sternowi.

Wyprostowała się.

— Och! Ten człowiek jest w szpitalu.

— Mam nadzieję, że szybko stamtąd nie wyjdzie.

Pani Saunders skarciła mnie gniewnym zmarszczeniem brwi i równocześnie posłała mi uśmiech, co mogło oznaczać, że potępia moją niegodziwość, niemniej jest skłonna okazywać mi wyrozumiałość jeszcze przez jakiś czas.

— On doznał wstrząśnienia mózgu, na szczęście lekkiego, i ogólnych obrażeń. Jest potłuczony i ma pęknięty nadgarstek.

— Nadgarstek? — Wolałbym, żeby pękła mu podstawa czaszki, zataiłem jednak to słodkie życzenie. — Czy ja robiłem coś z jego nadgarstkiem?

— To był pechowy upadek. Wywrócił pan łóżko, na którym oni leżeli.

— Wywróciłem łóżko? — zdumiałem się. — Nie pamiętam.

Nic takiego nie zachowało się w mojej pamięci. Z jej mroków wypływały rozmaite obrazy tamtych zdarzeń, ale żaden nie ilustrował słów Myrny Saunders, żaden nie ukazywał sceny z wywróconym łóżkiem.«

Tutaj właśnie, na pięciu stronach dziennika znajduje się opis mojej bijatyki z Maxem Sternem. Opis ten obecnie przeniosłem do rozdziału czwartego, aby zaprowadzić nieco porządku w swoich notatkach.

VI

»Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy i w jaki sposób wywróciłem to łóżko, ale zbyt dobrze przekonałem się na własnej skórze czym jest niedoczynność pamięci, by powątpiewać w prawdomówność pani Saunders. U bywalców obozów readaptacyjnych nagminnie stwierdza się tak zwaną niepamięć wsteczną, która jest wynikiem zaburzeń świadomości często występujących u pilotów odbywających dalekie rejsy. Po powrocie na Ziemię człowiek czyta swoje meldunki, nadane w trakcie półrocznego pobytu w kosmosie, jakby to było sprawozdanie z cudzej podróży. Przed laty zaliczyłem awaryjny lot na „Jove VIII", który w obie strony trwał jedenaście miesięcy, bo statki typu „Acer" w tamtych latach dopiero oblatywano. Z tych jedenastu miesięcy pozostało mi tylko jedno jedyne wspomnienie: trwającej godzinę awarii systemu chłodzenia reaktora i mojej rozmowy z widmową postacią manipulującego przy sterach O'Pavela, który wtedy od dawna już nie żył.«

VII

» — Działał pan w afekcie — powiedziała Myrna Saunders — przy zwężonym polu sensorium. Stąd te luki pamięciowe.

— Pamiętam natomiast, że ktoś mnie obezwładnił. Poczułem ukłucie między łopatkami i urwał mi się film. To był zastrzyk paraliżujący, tak? Aha, i dlatego jestem taki połamany.

Pani Saunders patrzyła na swoje dłonie splecione na skoroszycie. Jej wąskie paznokcie pomalowane były perłowym lakierem o różowym odcieniu.

— Musieliśmy to zrobić. Był pan nieobliczalny.

Czy byłem nieobliczalny? Przecież kierowałem swoim postępowaniem i mogłem je wytłumaczyć. Chciałem sprać Maxa Sterna tak, żeby unieszkodliwić go na zawsze. Wytknąłem sobie ten cel wyraźnie, nauczony bolesnym doświadczeniem z Pascolim, który w ciągu tygodnia wylizał się z kontuzji i ze wzmożoną werwą w swoim studio przystąpił do drapowania kapy pod rozfiglowaną Emmeliną.

— Jeżeli czegokolwiek mi żal — powiedziałem — to tego, że zjawiliście się tam, zanim rozpracowałem Sterna.

— Zjawiliśmy się? My? Gdzie?

— W moim domu. Z tymi obezwładniającymi argumentami w czarnej walizeczce.

— Och. Więc pan sądzi. To nawet dobrze, że poruszył pan tę kwestię.

Była zmieszana. Gdybym żył w dziewiętnastym wieku, napisałbym, że „jej lica okrasił blady rumieniec".

— Ja tu nie widzę żadnej kwestii. Ktoś was wezwał i wyście przyjechali, żeby poskromić szalejącego furiata, czy jak tam mnie nazwał ten ktoś. W porządku, milutka służba zdrowia zrobiła, co do niej należało. Jestem teraz pod wrażeniem waszych obezwładniających argumentów, ale kiedy to paskudztwo przestanie działać, załatwię Sternowi dożywotni pobyt w najlepszej szwajcarskiej klinice, na oddziale chirurgii urazów ciężkich.

— Nie o to mi chodzi, panie Cesara. — Z okładki skoroszytu pani Saunders przeniosła spojrzenie na mnie. Było to spojrzenie zakłopotane. Stwierdziłem, że ma ona w sobie coś rozpustnie świętoszkowatego, coś ze średniowiecznej zakochanej mniszki, która gawędząc ze swoim wielbicielem w parlatorium, dokonuje trudnego wyboru między wolą bożą a boskim powołaniem. — Uważam, że powinien pan o tym wiedzieć. Nikt od nas do pana nie przyjeżdżał. Nie było to konieczne. W pańskim domu gościł akurat nasz pracownik.

Nie byłem tym specjalnie zaskoczony. Chyba domyślałem się tego od początku, ponieważ od początku trapiły mnie niejasne przeczucia. Domyślałem się także, kto jest tym pracownikiem Zakładu Rewalidacji Psychicznej. Tylko jedna osoba wchodziła w rachubę.

— Anneliese Bragg — powiedziałem. — Nie mogę się mylić.

— Nie myli się pan. Doktor Anneliese Bragg jest specjalistką pierwszego stopnia.«

Tu widnieje kolejna uwaga:

»Bezsprzecznie jesteśmy ofiarami ogólnoświatowego spisku. Oni są wszędzie. Chodzą za nami, kontrolują każdy nasz ruch. Czyhają na moment naszej nieuwagi, by zatopić nam igłę w plecach i wsączyć w nas jadowitą substancję, po której stajemy się bezwolni i bezbronni.«

VIII

»Po krótkiej pauzie pani Saunders dodała:

— Mówię panu o tym, bo będziemy razem pracować.

— Nie rozumiem — oświadczyłem.

Ale już rozumiałem. Oplątywano mnie siecią.

— Chcielibyśmy, żeby pan pozostał tutaj przez kilka dni. Zastanowimy się wspólnie, co było powodem pańskiego wzburzenia.

— Ona i pani?

— I pan. — Głosem pełnym łagodnej perswazji Myrna Saunders zaczęła wyłuszczać, monologując: — My w tym Zakładzie pracujemy z reguły w trzyosobowych grupach terapeutycznych, które mogą wchodzić ze sobą w dowolne interakcje. Poszczególne grupy przeważnie składają się z dwóch pacjentów i jednego lekarza, ale bywa też na odwrót: jeden pacjent i dwóch lekarzy. Tak jak w pańskim przypadku.

Uśiadłem. Chwyciły mnie mdłości, krwawa mgła przyćmiła mi wzrok. Przezwyciężyłem słabość i wytrwałem w pozycji siedzącej.

— Pani uważa, że ja jestem chory?

— Powiedzmy, że ma pan problemy, a my jesteśmy gotowi pomóc panu w ich rozwiązaniu.

— Pani wybaczy, własne problemy wolę rozwiązywać sam. Już to mówiłem: kiedy się stąd wydostanę, zafunduję Sternowi dożywotni pobyt na oddziale chirurgii urazów ciężkich. I będzie po problemach.

Spojrzała mi w twarz. Oczy miała czyste i niebieskie niczym bezkresne niebo.

— Wobec tego ujmijmy to inaczej — rzekła. — Pańska reakcja była niewspółmiernie gwałtowna w stosunku do bodźca, który ją wywołał. Wiele wskazuje na to, panie Cesara, że pański wybuch gniewu miał głębsze podłoże.

— Chorobowe? To pani ma na myśli?

— Nie wiem. Za wcześnie na diagnozę. Za tydzień będziemy wiedzieli więcej. Mamy mnóstwo czasu.

— Mnóstwo czasu! Może pani ma mnóstwo czasu, ja nie. Piszę teraz powieść. Muszę ją skończyć w krótkim terminie.

Uśmiechnęła się — tym razem jak przekorny diablik.

— Pisać może pan tutaj. Otrzyma pan maszynę, materiały piśmienne, czytnik biblioteczny, końcówkę komputerową; wszystko, czego pan zażąda. Nikt nie będzie panu przeszkadzać.

Zebrałem się w sobie, by wrzaskiem wyrazić protest, ale nagle zupełnie opadłem z sił i jak pusty skafander próżniowy osunąłem się na poduszkę. Pani Saunders wstała.

— Nie wolno się panu denerwować — rzekła dobrotliwie, składając i chowając siedzenie pod tapczan. — Proszę wypoczywać. — Na stojącym obok węzgłowia nocnym stoliku położyła plastykowy skoroszyt. — Zostawiam panu informator. Są w nim omówione formy działania naszych grup zajęciowych, propozycje rozrywek, jest także rozkład dnia. Nie musi pan go przestrzegać, nie ręczę jednak, że stołówka wyda panu obiad o piątej rano, ani że pływalnia będzie czynna po północy.

Stojąc nade mną Myrna Saunders przez chwilę przyglądała mi się troskliwie i w skupieniu.

— Ma pan jakieś pytania? Jakieś życzenia?

— Nie.

Mocniej przytuliłem policzek do poduszki i zakopałem się pod pledem. Chciałem zostać sam. Chciałem to wszystko przemyśleć w samotności.

— Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mnie wezwać. Mnie albo Anneliese Bragg. Jedna z nas zawsze będzie do pańskiej dyspozycji. Przycisk radiofonii wewnętrznej jest na stoliku nocnym. Tu, gdzie położyłam informator.

— Mhm.

Usłyszałem, że ona odchodzi. Zanim wyszła na korytarz, powiedziała:

— Wie pan, nie zapytał pan o żonę.

— Nie mam żony — wymamrotałem w pościel.«

IX

O ile dobrze pamiętam, nazajutrz zinstalowano w moim pokoju końcówkę komputerową i wyposażono mnie w obiecany sprzęt IBM oraz w materiały piśmienne. Przez cały trzeci i czwarty dzień pobytu w Zakładzie Rewalidacji Psychicznej opisywałem przebieg swojej rozmowy z Myrną Saunders i przy okazji — awanturę z Maxem Sternem. Nie opuszczałem pokoju, odizolowałem się od świata i nie życzyłem sobie nikogo widzieć. Personel Zakładu uszanował to życzenie. Posiłki dostarczano mi dźwigiem łączącym kuchnię z wnęka kuchenną, poza tym byłem samowystarczalny więc miałem spokój.

Piątego dnia nie tknąłem dziennika. To samo było szóstego i siódmego dnia. Spacerowałem od ściany do ściany i układałem w głowie plan „Eskapizmu". Dopiero po tygodniu ponownie wziąłem do ręki pióro, gdyż wokół mnie zachodziły procesy godne odnotowania.

Czemu miały służyć te moje notatki? Nie było to przecież zbieranie materiału do przyszłej książki. Nie była to także forma gromadzenia dowodów przeciwko moim domniemanym prześladowcom. Prawdopodobnie ta tendencja do przelewania myśli na papier wynikała z monomaniakalnych cech mego charakteru. Opisując to, co widzę, przybliżałem sobie pewne sprawy i łatwiej mi było się w nich rozeznać.

»Zaczęło się to na drugi dzień po moim przybyciu do tego rzekomego Zakładu Rewalidacji Psychicznej. „Gdyby pan czegoś potrzebował — powiedziała wtedy na odchodnym Myrna Saunders — „proszę mnie wezwać. Przycisk radiofonii wewnętrznej jest na stoliku nocnym". Na tym stoliku nocnym opieram teraz łokcie, siedząc na tapczanie i pochylając się nad dziennikiem. Stolik ma cztery nogi z rurek niklowanych, trzy półki o wyglądzie wafli wyciętych z warstwy torfu i nakryty jest podobnym do nich blatem. Wmontowane w niego gapią się na mnie okrągłe szklane ślepia: cyferblat zegara, podziałka termometru, tarcza barometru i skala radioodbiornika, pod którą wystają karbowane łebki pokręteł. Przede mną leży dziennik, a po przeciwnej stronie blatu, w równych odstępach od obu boków połyskuje czerwony guzik.

„Przycisk radiofonii wewnętrznej jest na stoliku nocnym".

Kiedy informują nas o czymś, co możemy sami natychmiast naocznie sprawdzić, odruchowo kierujemy ku temu wzrok. To był normalny odruch, że po wyjściu Myrny Saunders zerknąłem na nocny stolik.

Zobaczyłem znajomy widok. Pod jego wpływem przypomniało mi się tych parę linijek tekstu pochodzącego z „Katharsis", z fragmentu, w którym opisałem komorę ciszy. „Z kąta matowoczarna tablica rodzielcza wytrzeszczała ślepia mierników. Nad przyrządami jadowicie czerwienił się taster o rozmiarach naparstka". To skojarzenie było brzemienne w skutki, dało mi powód do snucia dalszych domysłów. Odtąd baczniej i krytyczniej zacząłem obserwować swoje otoczenie i z większą rezerwą odnosić się do wszystkich tych ludzi i do tego, co oni mówią.

Oczywiście na początku, przez tydzień dawałem się wodzić za nos, bo lokal, który zajmuję, odbiega wyglądem od komory ciszy i łatwo ulec krzepiącemu złudzeniu, że jest to istotnie szpitalna salka, gdzie specjaliści od rewalidacji psychicznej roztocza nad człowiekiem opiekuńcze skrzydła. Niebawem jednak dokonałem pierwszych odkryć, które wyprowadziły mnie z błędu.«

X

»Dzisiaj, siódmego dnia, jak zwykle rano odbyłem spacer po swoim terytorium. Coraz bardziej nieodparcie nasuwa mi się myśl, że projekt tego lokalu powstał na desce kreślarskiej kogoś, kto architekturę wnętrz studiował na podstawie podręcznika o zasadach projektowania komór ciszy. Ten ktoś wykazał się na szczęście sporą inwencją twórczą, ponieważ w swojej brawurowej koncepcji uwzględnił okno.

Okno jest tutaj panoramiczne i wychodzi na park ogrodzony wysokim, cyklopowym murem prześwitującym zza szpaleru tui. Tuje rosną także bliżej budynków Zakładu, ale posadzone są tu rzadziej i symetrycznie względem centralnego klombu, który trochę na lewo od mojego okna wznosi się niczym kopuła podziemnego planetarium. Koncentrycznymi krętkami otaczają go małe klomby, każdy ozdobiony cisem tak strzyżonym, że przypomina figurę szachową. Wysypane białym żwirem ścieżki tworzą kunsztowne sploty, ale kiedy przez okno śledziłem ich meandry i wzajemne przecięcia, nikt się tam nie przechadzał; nie było tam nikogo.

— Gaj oliwny.

Ten głos dotarł do mnie słaby jak tchnienie wiatru. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Anneliese Bragg, która wzrokiem wskazywała na park.

— Tak to nazwał jeden z naszych pacjentów — rzekła. — Gaj oliwny.

Nie spojrzałem w okno. Powstrzymałem ten odruch i mruknąłem:

— Pani psycholog.

Miało to być zwykłe stwierdzenie, ale zabrzmiało jak ubliżający zarzut. Nie przejąłem się tym. Może chciałem jej ubliżyć.

— Przepraszam za to najście, „querido".

— Jakie najście?

— Żądałeś, żeby nikt ci nie przeszkadzał. My jesteśmy zobowiązani do respektowania żądań naszych pensjonariuszy. Możesz złożyć na mnie skargę.

— Nie będzie żadnej skargi. Nie przeszkadzasz mi. Na razie.

— Wobec tego, „cómo estas", pilocie?

To był mocny rewanż. Dla niej słowo „pilot" było słowem obelżywym i posłużyła się nim, by nie pozostać mi dłużna.

— Jesteś pełna sprzeczności — powiedziałem. — Twoje postępowanie przeczy temu, co mówisz.

— Naprawdę?

— Jestem z OKSZ, więc masz mnie za pedała, ale liczysz na to, że zostanę twoim kochankiem. Czy to nie sprzeczność? Wpakowałaś mi igłę w plecy, przywiozłaś mnie tutaj i zamknęłaś, żebym ci uległ.

Anne'iese przyłożyła dłoń do płaskiej piersi. Jej nozdrza, i tak już szerokie, jeszcze się rozszerzyły i zadrgały. Nie dałem się nabrać na te pozory hamowanego śmiechu. Było to wietrzenie zdobyczy.

— Aj, aj, aj. Niewątpliwie znasz się na kobietach, „querido". To jasne, że mam ochotę cię uwieść. Ale przede wszystkim chcę ci pomóc.

— Czym? — zapytałem. — Tym?

Żachnęła się z tłumioną radością.

— Leczenie seksem jest tak samo stare jak leczenie muzyką czy snem — powiedziała. — Jak psychoterapia zajęciowa, hipnoterapia i terapia Mari. My w tym Zakładzie poszliśmy krok dalej, eksperymentujemy...

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Sen o mieszkaniu

Wydaje się, że dwie sprawy dominują na spotkaniach przedwyborczych — usprawnienie służby zdrowia i problem mieszkaniowy. Ten ostatni zwłaszcza wyzwala spore emocje i rodzi najróżniejsze pomysły. Pomysły — niestety — skażone podstawową niemocą: mieszkań budujemy i remontujemy wciąż za mało i każdy pomysł na inne finansowanie budownictwa czy inny system rozdziału mieszkań streszcza się do ciągnięcia w inną stronę kusej kołdry...

Oto, na przykład, działacz związkowy Stanisław Nowakowski postuluje pozbawienie miejsc w kolejce po spółdzielcze mieszkania... właścicieli książeczek mieszkaniowych założonych przez zapobiegliwych rodziców dzieciom. Pomysł straszny, realizacja którego byłaby ordynarnym rozbojem dokonywanym w biały dzień, w majestacie prawa! Czy dotyczyłoby to również książeczek ufundowanych przez załogi wychowankom domów dziecka?

Tymczasem prawda jest taka, że mieszkań jest zwyczajnie za mało. Rację ma Jerzy P., że przepisy rządzące zamianami mieszkań są zbyt sztywne, i *w swej istocie* — aspołeczne. Wyobraźmy sobie jednak jak kwitłaby spekulacja mieszkaniowa, gdyby tak któregoś pięknego dnia powstał wolny rynek mieszkaniowy!

Słyszałem niedawno z gruntu mądry pomysł wprowadzenia wyższych czynszów na mieszkania położne w strefie ścisłego śródmieścia. Jasne, na całym świecie jest tak, że mieszkanie w centrum, ze względu na szereg udogodnień, a także — z reguły — wyższy standard, jest drogie. No, ale spróbujmy sobie wyobrazić praktyczną realizację tego pomysłu. Otóż, jak znam życie i skłonność naszej administracji do rozwiązań cząstkowych, niepełnych to zaczęłoby się od niewielkich, kilkusetzłotowych — przypuśćmy — podwyżek czynszów za mieszkania w centrum. Trochę więcej pieniędzy wpłynęłoby do kas spółdzielczych i miejskich, mieszkańcy śródmieść przyjęliby tę podwyżkę jako niezbyt dokuczliwą, ale zupełnie niezawinioną szykanę. Przecież nie starali się na ogół o mieszkanie w centrum. Przydział był raczej przypadkowy, a wielu z nich uznaje mieszkanie w centrum za rzecz raczej niemiłą i chętnie przeprowadziliby się do sympatycznego, zielonego osiedla podmiejskiego...

Natomiast radykalnej podwyżki czynszów mieszkaniowych w centrum, podwyżki, powiedzmy, liczonej w tysiącach złotych wprowadzić nie można bo... no właśnie trzeba byłoby wówczas zapewnić znacznej części mieszkańców śródmieść zamianę mieszkań. Utopia!

Te i tym podobne refleksje wymieniałem niedawno, właśnie po lekturze „Gry w mieszkania" Jerzego P. z moim znajomym. A oto — w skrócie — wynurzenia mojego znajomego:

Jestem skromnym urzędnikiem o zarobkach w granicach średniej krajowej. Mam lat pięćdziesiąt i od dwóch lat jestem praktycznie bezdomny — rozwiodłem się i wyprowadziłem ze wspólnego mieszkania. Wynajmuję mieszkanie od faceta, który ma dwa takie mieszkania i — oczywiście — nie wolno mi się w tym „lewym" mieszkaniu zameldować, nawet na pobyt czasowy. „Czynsz" inkasowany co miesiąc przez mego „dobrodzieja" pochłania połowę zarobku. Z pozostałej części muszę jeszcze pomóc studiującemu synowi. Zostają grosze... Jakie takie mieszkanie robi ze mnie nędzarza. Należę, oczywiście, do spółdzielni. Jak dobrze pójdzie dostanę mieszkanie mniej więcej w tym czasie, kiedy pójdę na emeryturę. W zarządzie spółdzielni leży moje podanie o mieszkanie rotacyjne, a w urzędzie dzielnicowym podanie o lokal zastępczy. Jestem realistą i wiem, że ani rotacyjnego, ani zastępczego nie dostanę, zawsze ubiegnie mnie rodzina wielodzietna albo ktoś schorowany, ja to rozumiem, i nie mam pretensji. Konkluzja — praktycznie do końca swego zawodowego życia będę biedakiem i przestępcą — wszak gdzie indziej mieszkam, a gdzie indziej jestem zameldowany... Mógłbym — oczywiście — zadenuncjować faceta, który wynajmuję mi mieszkanie. Ale nie jestem delatorem z natury, a na dodatek jaką miałbym z tego korzyść? Stracę dach nad głową, bo przecież mieszkania za ten donos nie dostanę.

Jak czytam w prasie takie różne kawałki o budownictwie indywidualnym, o dzielnych ludziach, którzy sami w soboty i niedziele tyrają na budowie to śmiech mnie pusty ogarnia: przy moich poborach z wiadomymi obciążeniami? Z moją „tężyzną" nabytą przez lata ślęczenia przy biurku?...

Czuję się — ja porządny, skromny człowiek — jak wyrzutek.

Co ja postulowałbym w kwestii mieszkaniowej? Budowę komunalnych albo spółdzielczych hotelowców. Dla takich jak ja. Bez prawa zameldowania na pobyt stały, z czynszem, w który wkalkuluje się uczciwy, niewielki zysk. Taki hotelowiec — pensjonat śni mi się po nocach. Za takie hotelowe mieszkanko oddałbym swoje miejsce w spółdzielczej kolejce.

ANDRZEJ KAROL

2

Spojrzenie znad szachownicy

Co czytamy pod ławką?

1.

Daniel Passent — mówiąc językiem rekrutów — przeczołgał „Odgłosy" w jednym ze swoich ostatnich felietonów, wszelako „Odgłosy" też mają w ekipie niezgorszych harcowników, tuszę więc, że dały Passentowi należny odpór i nie muszę w te dyrdy pędzić z odsieczą.

Oczywiście gdyby było już całkiem źle, mógłbym niby powtórzyć stary kawał i zawezwać Passenta na „sąd boży", czyli zaproponować pojedynek przy szachownicy, a potem — w najmniej spodziewanym momencie — przedłożyć remis, zwany pokojowym rozstrzygnięciem. Rozwiązanie takie, acz kuszące, ma jednak dwie przynajmniej słabe strony.

Po pierwsze — przynajmniej o ile mnie pamięć nie myli — Daniel Passent nigdy nie dawał do zrozumienia, że umie grać w szachy, choć skądinąd szachy uchodzą za grę uprawianą przez ludzi myślących. Brzydko jest kopać leżącego, ogrywać nie potrafiącego, słowem znęcać się nad słabszym, również słabszym w piórze, dodajmy.

Po wtóre — gdyby nawet Passent umiał grać w szachy i chciał stanąć do walki — grywałem dotąd o pryncypia, bądź dla przyjemności, nigdy jednak, za przeproszeniem, o d... Maryni. O rękę co innego, literatura pełna jest przykładów (patrz „Szachy" Kochanowskiego, choć nie tylko) gdy bój szedł o rękę i to najlepiej rękę królewny. Niestety wedle mojego rozeznania nikt z zamieszanych w całą sprawę nie jest akurat królewną na wydaniu, pozostają tedy pryncypia i ich będę się trzymał.

2.

Na wstępie felietonu „Nienasyceni" Passent wspomina niemalże mimochodem, że gdyby „Polityka" drukowała „o owo i jeszcze tamto, wówczas — cytuję — „...zamiast pisma dla inteligencji wydawalibyśmy pismo dla półinteligencji".

I tu stawia kropkę ciężką niby młyński kamień, tymczasem — przepraszam bardzo — półinteligent też człowiek i być może czasami chciałby coś sobie poczytać.

Oczywiście niech „Odgłosy" nie wezmą sobie tego z kolei do serca, żadnego konkretnego tytułu nie mam bynajmniej na myśli, sądzę wszelako, że nie da się zmieniać świata nie zmieniając człowieka, a skoro tak, to pismo które ćwierćinteligenta dźwigałoby do poziomu półinteligenta, zaś półinteligenta przekształcało w inteligenta, byłoby pismem pożytecznym. A jakie to ma być pismo i jak ma to robić — to już sprawa odrębna i nie należy do tematu.

3.

W dalszym toku swoich wywodów Passent daje do zrozumienia, że niezbyt wysoko ceni prozę Zbigniewa Nienackiego, poddaje też w wątpliwość celowość wprowadzenia utworów tego pisarza do lektur szkolnych.

Pozornie jest to logicznie spójne, ale pozornie tylko, „trafienie do lektur" nobilituje bowiem, ale zarazem i ukatrupia. Ważne jest przecież nie to, co leży na ławce, lecz to, co się pod ławką czyta! Ja na przykład pod ławką właśnie przeczytałem najsampierw wypożyczane z prywatnej biblioteki wszystkie niemal zbiorki felietonów Boya (zacząłem bodaj od „Dziewic konsystorskich", bo mi się tytuł spodobał), potem książki, które Boy tłumaczył — Villona do dziś całymi partiami mogę cytować z pamięci, a dla równowagi „Dobrze" Majakowskiego. Natomiast na ławce leżały zapewne książki zacnej pani Orzeszkowej, zarzućcie mnie jednak jeżeli wiem, o co w „Nad Niemnem" chodzi! Owszem, korzystałem z jakiegoś tam bryku, ale nieporadne streszczenie dawno już ulotniło mi się z pamięci.

Otóż nie uwierzę iżby felietonista z zadziornym temperamentem Daniela Passenta — nie zawsze musimy się z nim zgadzać, ale niemal wszyscy od niego właśnie zaczynamy lekturę „Polityki" — był kiedykolwiek grzecznym i pilnym dzieckiem, które chłonie szkolne lektury w lubej nadziei, że zostanie z nich odpytane. Skoro zaś tak, to — wspomniawszy lata chłopięce — może pozwolić sobie Passent na wizję pełną mściwej satysfakcji: na ławce leżą „Skirolawki", zaś pod ławką, dajmy na to, „Bywalec".

4.

I o to, że lepiej być autorem książek czytanych pod ławką, niż na ławce leżących, gotów jestem grać w szachy z samym Garii Kasparowem, a choć przegram, to i tak zdania nie zmienię. Dlatego też nie sądzę, iżby wprowadzając Nienackiego do lektur szkolnych wyrządzono pisarzowi tak wielką przysługę; raczej wręcz odwrotnie.

JERZY P.

3

Lewym okiem

O szkodliwości gazu

Czytałem niedawno uczoną rozprawkę teologiczną o niedopuszczalności antykoncepcji, czyli zapobiegania ciąży. Głównym i zresztą jedynym argumentem z punktu widzenia nauki kościoła jest w tym wypadku fakt, że zapobieganie ciąży sprzeciwia się boskiemu porządkowi rzeczy, ingeruje w ten porządek, wtrąca się i wykrzywia naturalny bieg rzeczy.

Ta ingerencja to oczywiście prawda. Można by zresztą powiedzieć, że cała cywilizacja i kultura są zakłócaniem naturalnego porządku rzeczy, są wtrącaniem się i nieproszoną korektą boskich wyroków. Jeśli zapalamy lampę, to zakłócamy odwieczny boski porządek, według którego nocą powinno być ciemno. To nie mój wymysł. Takim argumentem naprawdę zwalczano projekt oświetlenia gazowego ulic przed półtora wiekiem. Kiedy projekt taki dyskutowano w roku 1819 w Kolonii, tamtejszy dziennik „Kölnische Zeitung" wystąpił z energicznym protestem, przytaczając cztery „zasadnicze" argumenty:

1. teologiczny — gdyż oświetlenie nocą jest wkraczaniem w porządek, przez Stwórcę przepisany,

2. prawny — bo koszty oświetlenia muszą ponieść ludzie płacący podatki — i to nie tylko ci, którym oświetlenie będzie służyć,

3. zdrowotny — bo wyziewy gazu szkodzą organizmowi ludzkiemu, nie mówiąc o tym, że po oświetlonych ulicach będą się ludzie kręcić po mieście także nocą, będą się przeziębiać itd.,

4. ekonomiczny — bo koszty oświetlenia uszczuplą bogactwo narodowe.

Z analogicznych przyczyn koła teologiczne protestowały w swoim czasie przeciw szczepieniom ochronnym i operacjom chirurgicznym, np. usuwaniu wyrostka. Prawosławna sekta skąpców do dziś dnia nie uznaje nie tylko wizyt lekarskich, traktując je jako zakłócanie wyroków boskich, ale nawet zakazuje mężczyznom strzyc brody — niech sobie rosną, bo taka ich natura. Paznokcie wprawdzie obcinają, w czym można by już widzieć objaw niekonsekwencji, ale obcięte chowają do pudełeczek, żeby w momencie zmartwychwstania ciała nie zabrakło żadnej jego cząsteczki. We wszystkich religiach świata istnieją takie relikty myślenia sprzed setek, jeśli nie tysięcy lat.

A co do oświetlenia gazowego to musimy przyznać, że jeden z kolońskich argumentów był słuszny: ten zdrowotny. Nie przesądził on o niczym, na wiele dziesiątków lat wszystkie większe miasta świata oświetlono gazem, dziś używa się tego samego — lub podobnego — gazu jako źródła ciepła i energii. Mankamenty zdrowotne pozostały, ludzie trują się tysiącami, giną w wybuchach, wylatują razem z domami w powietrze. Mimo to buduje się wciąż nowe, tysiąckilometrowe gazociągi i nikt nie myśli walczyć z nimi metafizyczną ani żadną inną bronią. Przesądziły o tym w sposób nieodparty i oczywisty korzyści, przewyższające o całe Himalaje ryzyko, ponoszone przy manipulowaniu gazem.

Rachunek strat i zysków będzie ostatnią instancją w każdej sprawie. Ktoś, kto przed przystąpieniem do aktu męsko-damskiego zabezpieczy się przed spowodowaniem ciąży, czyli przed powołaniem do życia nie wytęsknionego w tym momencie dziecka, ponosi ryzyko (jeśli jest człowiekiem żyjącym ściśle według nauki kościoła, co zdarza się niesłychanie rzadko, albo nie zdarza się nigdy), że zostanie za to w przyszłości ukarany; jednocześnie odnosi korzyść, bo jeszcze jedną — i to bardzo ważną — dziedzinę życia wyłącza spod działania ślepego przypadku, podejmuje decyzję, nagina prawa przyrody do swych egzystencjalnych interesów.

I to chyba jest jeszcze jeden przejaw niczego innego, jak cywilizacji i kultury: ograniczać teren działania ślepego przypadku.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Kup pan mistrza

Z nastaniem jesieni rusza posezonowa wyprzedaż tego co urodziło się, dojrzało i rozkwitło na tej pięknej ziemi. Pod młotek idą więc nie żadne tam buble, ale towar najwyższej jakości, głównie opakowany w biało-czerwone trykoty. Jeśli uda się dobić targu z drugim obszarem płatniczym, to będzie straszna uciecha, bo za prawdziwe dolary można przecież kupić licencję albo brazylijski serial. Główny dostawca eksportowego towaru, firma „Sport", z należnych jej odpisów dewizowych nabędzie prawdopodobnie zagraniczne buty, łyżwy, skomplikowane kierownice do rowerów oraz gumę do wyczynowych majtek — od wieków nieosiągalną na krajowym rynku. Dzięki temu uda się wyhodować nową odmianę mistrzów, o silnych rękach, nogach, nerwach (niepotrzebne skreślić), wymagających wsadu dewizowego w postaci wyżej wymienionego oprzyrządowania. Towar ten po uzyskaniu międzynarodowego znaku jakości zostanie wystawiony na aukcję, a jeśli nie wszystko da się spylić, to reszta, czyli tzw. odrzut z eksportu, wróci na nasze stadiony ku frajdzie bezdewizowych kibiców.

Latoś obrodziło nam kolarzami, przeto nie powinno nikogo dziwić, że jako naród czuły na niedostatek innych, chcemy trochę tego towaru sprzedać takim patałachom dwóch kółek jak Włosi czy Francuzi. Niech sobie tamtejsi kibice poznają smak zwycięstwa, bo my rzygamy już od corocznych sukcesów w Wyścigu Pokoju, mistrzostwach świata i Tour de Pologne. Szef stajni naszych cyklistów, lekarz — trener — prezes dr Zbigniew Rusin rozpoczął nawet wstępne czynności marketingowe, zmierzające do upłynnienia rewelacyjnego modelu młodego championa typu „Piasecki Lech" (PN, 1985 — seria „Szurkowski Ryszard"), zalecając pośpiech, albowiem towar uzyskuje godziwą cenę, póki ma zdrowe zęby i parę w nogach. My zaś powinniśmy cieszyć się z utraty mistrza świata, ponieważ będzie za co spłacić odsetki od długów, dostaniemy kilka nowych rowerów z przerzutkami i do podziału zostanie jedna kartka na mięso. Najbardziej jednak cieszą się władze Gorzowa — rodzinnego miasta Piaseckiego, które przyobiecane mu mieszkanie, korzystając z nieobecności obywatela P., podarowały nie byle komu, bo najpiękniejszej Polce.

Jeszcze nie wiadomo ile celuloidowych piłeczek oraz drewnianych rakietek dostaliśmy za eksport tenisisty stołowego Andrzeja Grubby do Republiki Federalnej Niemiec. Wiadomo tylko, że jego macierzysty klub AZS Gdańsk zainkasował z tego tytułu aż półtora miliona złotych, bo tyle wyszło po przeliczeniu zachodnich marek na naszą walutę. Jest to niewątpliwie suma zawrotna, zważywszy, iż średnio zdolny junior, którego tenże AZS chciał nabyć celem uzupełnienia składu, kosztuje na krajowym rynku trzy i pół miliona złotych. Ale z drugiej strony junior taki dostarcza kibicom dużo emocji związanych z zawsze niewiadomym finałem pojedynków. Natomiast mistrz Grubba był zawodnikiem nudnym, ponieważ od paru lat dokumentnie roznosił wszystkich rodaków, przez co stale wyjeżdżał za granicę, aby szukać godnych rywali. I taki z niego pożytek.

Niebawem, bo już po przyszłorocznym Mundialu, ruszy wyprzedaż piłkarzy na rynki dewizowe. Tutaj jednak sprawa ma się znacznie gorzej, z tej prostej przyczyny, że w zasadzie nie ma czym handlować. Za paru najbardziej znanych mocno zużytych kopaczy nikt, po transmisji meczu z Chorzowa, nie chce dać złamanego lira. Prezesi klubów z drugiego obszaru płatniczego mętnie wyjaśniają, że wstępne rozmowy transferowe były owszem przyjemne, lecz pomyliły im się numery naszych zawodników — a w ogóle to do kasy klubu było włamanie. Inni kopacze warci są mniej więcej po dwie pary obuwia sportowego marki „Stomil" plus blazówka z pompką do kompletu. O reszcie towaru powinno się szybko i nieustępliwie pertraktować z zachodnimi klubami, ponieważ doszły nas pogłoski, że chętnie nam coś odpalą, ale za gwarancję odstąpienia od umowy kupna — sprzedaży. Najgorzej wygląda sprawa dostawy Józefa Młynarczyka na Korsykę. Otóż klub Bastia nie chce oddać forsy za naszego bramkarza, perfidnie wykorzystując go w każdym meczu pozostawionego bez pomocy obrońców. Za to Grecy nielegalnie handlują obcym towarem, albowiem spylili Niemcom naszego Kazimierza Kmiecika aż za trzy tysiące dolarów.

W obliczu takich machlojek oraz w interesie polskiego kibica, który też chce na żywo oglądać naszych dzielnych chłopców, apeluję o wystawienie chociaż części eksportowego towaru w placówkach „Pewexu". Na pewno znajdą się nabywcy, a towar i dewizy pozostaną w kraju.

REZERWOWA II

Wielki las

(12)

ZBIGNIEW NIENACKI

Rozdział piąty

Drugą dobę czekał Józef Maryn na sygnał dzwonka telefonicznego lub na odgłos pukania do drzwi pokoju hotelowego na czwartym piętrze. Pokój był zarezerwowany i opłacony, nie pytał przez kogo, ani na jak długo, bo i tak informacje, jakich by mu udzielono w recepcji, nie mogły mieć nic wspólnego z prawdą. Zresztą, prawda nie była do niczego Marynowi potrzebna — należało po prostu zamieszkać w pokoju i czekać aż odezwie się jakiś Robert, którego też Maryn nie znał i być może nigdy nie pozna, bo spotka się z nim ktoś bez imienia i bez nazwiska. Czekanie nie dłużyło się Marynowi — całe jego dotychczasowe zawodowe życie polegało na cierpliwym czekaniu na kogoś lub na coś. Kto nie potrafił czekać, okazywał niecierpliwość, nudził się i męczył czekaniem, prędzej czy później musiał zmienić zawód. W kiosku hotelowym kupił plik gazet, obłożył się nimi i czytał, w określonych godzinach schodził do restauracji na posiłki i wracał do siebie, znowu czytał lub patrzył w okno, myślał o tym lub owym, zapadał w sen lub tylko półsen. Umiał popadać w jakiś letarg, w którym krew i myśli jak gdyby wolniej płynęły, ale ani przez chwilę nie przestawał być czujnym. Długi czas się tego uczył aż przywykł. Dopiero potem, w leśniczówce w Mordegach raptem jak gdyby stracił tę swoją zdolność, nie mógł spać z powodu czyjegoś skrzypiącego łóżka, co teraz wydawało mu się po prostu śmieszne. Może stary Sobota miał rację, gadając, że las odmienia człowieka? Tak, musiało w tym coś być, skoro Maryn kiedyś potrafił, na przykład, załatwiać kobiety nawet i bez przyjemności, a w owej leśniczówce nie zdołała go podniecić myśl o żadnej kobiecie, rodziło się w nim podejrzenie, że istnieje miłość wielka i prawdziwa, niekoniecznie związana z rżnięciem. Oczywiście, nawet w Mordegach nie do końca utracił swoje dawne umiejętności — potrafił przecież czekać cierpliwie na Karasia, Budrysa i innych, którym narzucił jarzmo swojej przyjaźni. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia i należało do przeszłości. Z tego hotelu wkrótce wyjdzie zapewne nowym człowiekiem i jeśli będzie chciał być nim w sposób pełny, szybko musi zapomnieć o lesie, o Sobocie, a nawet o pozostawionej u Horsta izabelowatej klaczy, którą polubił. Niczego i nikogo nie wolno jednak tak naprawdę polubić, nawet klaczy. Zapominanie zaś o przeszłości, im szybciej następowało i doskonalej, tym łatwiej pozwalało żyć w nowej postaci.

O Eryce też chyba będzie musiał zapomnieć, wymazać ją z pamięci, choć to wydawało mu się trudne. Kilkakrotnie chwytał się na tym, że miał ochotę podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer własnego mieszkania, znajdującego się o osiem przecznic od hotelu. Aż do chwili powrotu do kraju nie miał pojęcia, że posiada tutaj kompletnie urządzone trzypokojowe mieszkanie w wieżowcu z domofonem i szwedzką windą. To mieszkanie załatwiła Eryka za jego plecami i przez jakieś swoje własne kontakty; on sam nigdy by o czymś takim nie pomyślał. Całkowicie zadowalało go mieszkanie po Bernadetcie — cztery pokoje nad sklepem z rowerami przy Dapperstraat i to drugie, późniejsze — na jednej z uliczek w pobliżu Square Severine. Mieszkał tam z Eryką przez trzy lata i zapewne mieszkałby jeszcze dłużej, gdyby nie zdrada Ivo Bundera. Zatrzymano go w kraju na Dworcu Lotniczym, to znaczy nie dosłownie zatrzymano, tylko przewieziono w bezpieczne miejsce. Na Dworcu Lotniczym podeszło do niego dwóch młodych ludzi i zaprosiło do swojego samochodu. „A co z nią?" — zaniepokoił się o Eryke. Wówczas ona wyjaśniła mu pogodnie że mają tutaj mieszkanie, rzuciła mu w pośpiechu numer telefonu i adres, i odjechała taksówką. On zaś dwa miesiące przesiedział w bezpiecznym miejscu, trzy razy był badany przy pomocy „wykrywacza kłamstw", niezliczoną ilość razy musiał odpowiadać na niezliczoną ilość pytań, choć chodziło tylko o jedno: dlaczego gadając przez całą noc z Ivo Bunderem i czując, że z tamtym dzieje się coś złego nie przeszkodził mu w jego wędrówce na policję. Następnie zrobił drugie głupstwo, wpadł w panikę i uciekał wraz z Eryką, choć — jak to się później okazało — mógł się czuć bezpieczny gdyż Ivo Bunder jego nie zdradził. Policja nigdy nie interesowała się mieszkaniem w pobliżu Square Severine. Podobnie stary Jawajczyk o strasznie długim nazwisku i jego żona Yvette, wciąż czekają aż do mieszkania nad sklepem z rowerami powróci z kupieckiej podróży niejaki Kristopher Bullow. Także i z motelu o nazwie „Dębowa altana" — nie było do tej pory żadnych złych wieści. Dlatego opuszczając po dwóch miesiącach „bezpieczne miejsce" był pewien, że natychmiast wyjedzie z kraju i zjawi się na Dapperstraat albo na Square Severine. W radosnym nastroju dał się zawieźć do swojego mieszkania, które pierwszy raz zobaczył na oczy. O Eryce wiedział od niej samej, że już sobie kogoś nowego znalazła i zapewne pozostanie w kraju. Tylko, że stało się coś nieoczekiwanego — przywieziono mu dowód osobisty na nazwisko Józef Maryn i dowiedział się o istnieniu wioski Mordęgi, gdzie będzie strażnikiem łowieckim.

CDN

Ale Horst Sobota tak jak stał, w pobielonym wapnem kombinezonie popędził piaszczystą drogą na skraju lasu w stronę Wilczego Rogu. Było duszno, z trudem chwytał powietrze w rozwarte usta, pot zalewał mu czoło, policzki i oczy aż chwilami ślepł i potykał się o wystające z ziemi korzenie drzew. „Nie, nie, nie" — bełkotał, podnosił się z ziemi i biegł w stronę półwyspu, nie słysząc coraz donośniejszego łoskotu burzy wychylającej się zza lasu.

Robiło się coraz duszniej. Romanikowa, doktor habilitowany, gruba kobieta w robionej na drutach jakby za obszernej sukni — pociła się. Na stołach zbitych z żerdzi i ustawionych u wejścia na plantację leżały na tłustych papierach pęta kiełbasy, pokrojone bochenki chleba i kilkanaście butelek wódki. Ona wypiła dwa kieliszki i nie chciała więcej bo od wódki i duchoty zaczęła ociekać potem, który spływał jej spod pach aż na tłusty pofałdowany brzuch, wciekał w majtki i przez nogawki sączył się na uda. Masłocha też nie pił, bo nie piła Romanikowa. Pijanego Wojtczaka i Tarchońskiego zawleczono do jednego z samochodów, które stały przed bramą plantacji. Traktorzyści, robotnicy gajowy Wzdręga co chwila podchodzili do leśniczego Kuleszy i przepijali do niego za pomyślność szczepów, które już jutro zacznie się tu sadzić. To przecież było ich święto — ludzi lasu. Można było pić, a nawet upić się jak Wojtczak i Tarchoński.

Ociekająca potem Romanikowa rozglądała się po pustym półwyspie i myślała, że wkrótce wyrośnie tutaj las. Inny niż wszędzie. Drzewa będą w równiutkich rzędach. Prawdziwego lasu prawie nie znała i go nie lubiła. Tak na dobrą sprawę ze trzy razy była w prawdziwym lesie. Od studenckich czasów i potem po studiach ciągle kręciła się po szkółkach doświadczalnych Instytutu Leśnictwa. W białym fartuchu segregowała nasionka, sadziła je w równiutkich rzędach, kazała podlewać w szklarniach i na poletkach doświadczalnych. Nie zawsze zresztą była taka gruba jak teraz. Kiedyś miała mały tyłek i twarde piersi, ale nawet już wtedy lubiła porządek. Krecili się wtedy koło niej młodzi ludzie ale nie widziała w nich skłonności do porządku. Byle gdzie rzucali śmierdzące skarpetki, niedopałki papierosów gasili w spodeczku ze szklanką po niedopitej herbacie. Co innego profesor Tara, który mieszkał przy Instytucie i jej także, gdy rozpoczęła studia doktoranckie, dał obok siebie mieszkanko. Był promotorem jej pracy doktorskiej. Lubił porządek, równiutkie rzędy małych sosenek dębów i świerków. Od niego nauczyła się jeszcze większego porządku który należało wprowadzić do lasu. Bo las był wielkim chaosem, mało produktywnym i rosnącym zbyt wolno. Dwa razy w tygodniu przychodził do niej Tara a ona wtedy rozbierała się do naga i kładła na plecach na tapczanie. Tara ją długo głaskał po piersiach, po brzuchu, po udach i ona zaczęła od tego głaskania odczuwać wielką przyjemność. Większą od tej jaką miała, gdy wkładał jej kutasa któryś ze studentów albo asystentów profesora. Nie, nie wyszła za mąż, bo nie chciała robić przykrości Tarze, który był dla niej dobry i pomógł jej zrobić doktorat. Jemu nie stawał członek, ale miał przyjemność od głaskania jej ciała. I nauczył ją porządku. Umarł, a ona podjęła jego dzieło. Zwalczyć leśny chaos. Zakładać plantacje nasienne, szczepić sosenki gałązkami najpiękniejszych drzew w kraju. A potem uzyskanymi nasionami równiutko jak pod sznurek sadzić lasy, uporządkowane dorodne. Ile lat minęło nim się doczekała tej plantacji? Zrobiła się gruba i teraz pot cieknie jej spod pach aż na brzuch i nogawkami luźnych majtek ścieka na uda. Czy ten leśniczy któremu Masłocha przeznaczył dla plantacji ma dostatecznie rozwinięte zamiłowanie do porządku? Ci ludzie nie mają pojęcia czym powinien być las. Gdyby nie było tak gorąco, kazałaby się zawieźć w głąb lasów. Pokazałaby im bałagan, chaos, marnotrawstwo. Na plantacji nie będzie przewróconych drzew nawet najdrobniejszej suchej gałązki. Ani trawki ani żadnego zielska. Ciągle tu muszą pracować kultywatory i niszczyć wszystko co się pokaże między sadzonkami. Jeśli ten młody inżynier nie ma zrozumienia dla ładu i porządku, to ona go tego nauczy albo każe zmienić na kogoś innego.

Czarna postrzępiona chmura wychodziła zza lasu. Grzmiało coraz donośniej coraz częściej. Robotnicy już opróżnili butelki i dzielili się resztkami kiełbasy.

— Czas na mnie — powiedziała do Masłochy.

I właśnie wtedy, między stojącymi samochodami, przez uchyloną bramę w ogrodzeniu, wpadł na plantację jakiś stary człowiek w pochlapanym wapnem ubraniu. Siwy, spocony, bełkoczący coś niezrozumiale. Pobiegł w głąb plantacji, potem padł na kolana, podniósł się i krzyczał coś, wygrażając komuś.

— Kto to jest? — zapytała Romanikowa.

— To niejaki Horst Sobota. Wariat — odparł nadleśniczy.

Zerwał się pierwszy ostry podmuch wiatru i uniósł w górę tumany piasku na rozległej płaszczyźnie półwyspu. Raptem zrobiło się aż ciemno od tej piaskowej burzy. Romanikowa pobiegła truchtem do czarnej limuzyny. Masłocha pospieszył do swojego czerwonego fiata, do ułazów wsiedli leśnicy i gajowi. Robotnicy gramolili się do obudowanej deskami przyczepy traktorowej, którą ich wożono do pracy.

Następny podmuch wiatru poprzewracał butelki na stołach, uniósł w powietrze strzępy zatłuszczonych papierów. Błysnęło. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun i powietrzem wstrząsnął ostry przenikliwy huk. Spadło kilka dużych i ciężkich kropel deszczu.

Wóz Romanikowej ruszył pierwszy leśną drogą w stronę szosy, tuż za nią ponedził Masłocha swoim czerwonym samochodem. Potem ułaz Wojtczaka i wreszcie ciągniona przez traktor obudowana przyczepa. Trzeci podmuch wiatru zmiótł ze stołu butelki i talerze, potem spadła na ziemię ulewa. Las rozbrzmiewał jak gdyby jednym nieprzerwanym grzmotem, półmrok rozświetlały co chwila połamane kreski błyskawic, przeorywujących niebo.

Na pustej połaci plantacji pozostał tylko jeden człowiek. Stał pośród pustych stołów w potokach ulewy — stary Horst Sobota. Siwe włosy oblepiały mu czaszkę i stały się czarne, po twarzy spływały mu strugi deszczu i łzy. Wołał coś, bełkotał, wymachiwał rękami jak gdyby odgrywał jakąś mimiczną scenę wobec pustych stołów i pustyni półwyspu. Łoskot grzmotów zagłuszał jego wołania, wyciągnięte ku górze ręce zdawały się sięgać aż po błyskawice. Ale ulewa przygniatała go ku ziemi, strugi wody spływały z nosa w otwarte krzykiem usta i zalewały gardziel. Chwilami, kiedy pioruny biły gdzieś dalej i błyskawice jaśniej rozświetlały półwysep, to drobna postać raptownie olbrzymiała i mogło się zdawać, że jak gdyby rzuca na półwysep jakiś wielki cień. Po chwili jednak ta sama postać kurczyła się, zlewała z tłem, znikała prawie zupełnie. Człowiek był niczym wobec żywiołu burzy i ulewy. Poiął to wreszcie Horst Sobota, znieruchomiał, wyciągnął ku górze obydwie ręce rzucając swoje ostatnie przekleństwa w stronę ludzi którzy stąd nie tak dawno odjechali. A potem wolno, zgarbiony od potoków deszczu — ruszył piaszczystą drogą do domu.

Oślepłe od wody oczy starego Horsta nie zauważyły jeszcze jednego człowieka który pozostał w lesie obok plantacji i widział go przeklinającego ludzi lasu. To leśniczy Steborek spóźnił się na przyjęcie zgotowane na plantacji, ponieważ jego żona, Malwina, bała się wychodzić z domu i nie bacząc na godziny pracy, musiał stanąć w kolejce w sklepie po świeży chleb. Zawiózł go do domu i okazało się, że ona nie chce rozpalić ognia pod kuchnią, więc zanim tego dokonał, czas upłynął. Swoim starym harleyem zajechał w pobliże plantacji, gdy Romanikowa i reszta zaczęli uciekać przed burzą. Stanął na motocyklu pod ogromnym starym świerkiem czekając aż deszcz ustanie. Oglądał podrygującego na półwyspie Horsta i jak stary Wojtczak (choć o tym nie wiedział), odczuł, że nie ma przyjemniejszego uczucia niż widok cudzego bólu. Obserwując Sobotę znajdował już siebie w domu z kolorowymi szybkami na ganku, Malwinę krzątającą się po kuchni Horsta Soboty, ich dziecko śpiące w jednym z pokojów wielkiego domu. „Będziemy szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi" — powtarzał sobie w myślach, bo tego był już pewien, że własne szczęście można osiągnąć jedynie przez cudzy ból i cudzą troskę. Nasunął potem na oczy motocyklowe okulary. Pokrył je deszcz i uczynił ślepym, ale tym bardziej wyraziste stały się jego marzenia o szczęściu.

A Sobota zjawił się przed ganikiem z kolorowymi szybkami akurat w momencie, gdy burza odeszła na zachód. Nic nie mówił, tylko trząsł się z zimna i w jego niebieskich oczach Weronika odkryła szaleństwo. Ale nie szalał, nie rzucał się nie przeklinał nikogo. Pozwolił się Weronice rozebrać do naga, natrzeć ciało spirytusem i położyć do łóżka pod grubą pierzynę. Kiedy mu wlewała w usta gorącą herbatę ze spirytusem, zapytał o Maryna.

— Jeszcze nie wrócił — odpowiedziała. — Ale będzie tu jutro lub pojutrze.

Kiwnął głową, że ją zrozumiał — Józwa Maryn nie mógł jeszcze powrócić, bo na pewno wyjechał gdzieś daleko. I zaraz zasnął, od czasu do czasu wstrząsany dreszczem.

Po burzy pokazało się czyste niebo, na drzewach połyskiwały krople deszczu i szeleszcząc na liściach opadały na ziemię. Powietrze pachniało żywicą i świeżym zapachem igliwia leśnego. Weronika poszła na łąkę, rozwiązała pęta na nogach mokrej klaczy i zaprowadziła ją do stajni, gdzie nad żłobem wisiało siodło i pejcz Maryna. Bezwiednie spojrzała na ten pejcz i zapewne pod wpływem tego, co jej rano powiedział Horst uświadomiła sobie, że Maryn nigdy nie zdejmował z gwoździa tego przedmiotu, nigdy go ze sobą nie zabierał do lasu. A przecież pejcz był piękny — z pleciona rękojeścią i małym uchem do zawieszania na gwoździu.

Na podwórku zobaczyła swojego męża. Był podpity, ale nie pijany.

— I co, ty głupia dziwko — przemówił do niej ochrypłym głosem. — Jak długo zamierzasz żyć z tym staruchem? Wystawiłaś mnie na pośmiewisko ludzkie. Wracaj natychmiast do domu. Do domu, powiadam, bo wezmę na ciebie bata jak na psa. Czy nie pojmujesz, że podłałem cię z gnoju i zrobiłem swoją żoną? Oddano mi do zagospodarowania największą plantację na naszym kontynencie. Uczyłem się swego zawodu przez sześć lat. A ciebie mieli wszyscy robotnicy.

Weronice pozostała w pamięci ta chwila jak sen. Równym krokiem wróciła do stajni i zdjęła z gwoździa pejcz na konia. Z tym pejczem w ręku i nieruchomą twarzą, w milczeniu podeszła do swojego męża.

A on, inżynier Kulesza — cofnął się najpierw o jeden krok. Później zrobił drugi i trzeci krok do tyłu. Zobaczył w tej kobiecie to, czego nigdy dotąd w niej nie zauważył — oczy przepełnione wyrazem nienawiści. Miała także zaciętę usta i pełzający przy jej stopie rzemienny koniec pejcza.

Kiedy ją poznał w autobusie — nic o niej nie wiedział. Potem spotykał się z nią, rozmawiał i jak mu się zdawało — pokochał. Mówili mu że jest „dziewczyną od Horsta Soboty", ale nie rozumiał, co to znaczy. I wreszcie powiedział mu ktoś (chyba Wzdręga), że kiedyś przyjechała tutaj na sadzenie drzew, upiła się i należała do wszystkich. Nawet do brudnego traktorzysty Budrysa. A jednak ożenił się z nią, bo podniecało go jej ciało. O swoim ślubie nie powiadomił rodziny, gdyż wstydził się, że taka dziewczyna, co należała do wszystkich, wziął sobie za żonę. Teraz rozwiedzie się z nią bez hałasu. Nie chciał już tej kobiety. Dwukrotnie zrzuciła go z siebie na podłogę i boleśnie rozbił plecy. Któreś nocy mogła go zamordować — poczuł lęk.

Zrobił jeszcze krok do tyłu, obrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł na drogę. Odchodził wolno skrajem lasu, a ona obojętnie patrzyła na mężczyznę, o którym jeszcze nie tak dawno myślała, że go kocha.

Rys. Janusz Szymański Glana